

AMERYKA-POLSKA

Nr. 6 MIESIĘCZNIK M. ARCTA Zł. 2,50

AMERYKA-POLSKA

Miesięcznik Ilustrowany
Literacko-Ekonomiczny

ROK III CZERWIEC 1925 Nr. 6

VADE MECUM

CUD W LISKOWIE—obok „cudu nad Wisłą" przejść musi do historji Polski. Nie dokonał go żaden mag czarnoksięski, obdarzony mocami nadprzyrodzonemi. Dokonał go człowiek pracowity; obywatel polski, świadomy swych obowiązków względem ziemi, która go wykarmiła, względem narodu, który go wychował. Jest nim ks. Wacław Bliziński. Ze wsi uboższej i bardziej zaniedbanej, niż jakakolwiek inna wieś polska, ks. Bliziński w okresie 25-ciu lat stworzył prawdziwe siedlisko kultury nowożytnej. P. Aniela Chmielińska szczegółowo opisuje tworzenie się tego cudu w Liskowie.

AUTOR znanej już czytelnikom naszym nowelki „Maharadża", p. Władysław de Bondy, nie obrazi się za naszą szczerość, gdy zdradzimy małą tajemnicę redakcyjną...? Prosiliśmy Go, mianowicie, o napisanie specjalnie dla naszego miesięcznika „coś w rodzaju amerykańskim". Bądźmy do końca szczerzy i wyznajmy: obawialiśmy się, że wyjdzie z pod pióra wysoce utalentowanego pisarza rzecz piękna i ciekawa, ale daleka od amerykanizmu. Płonne jednak okazały się obawy: p. de Bondy staje przed nami plus americain que l'Americain même, jak o tem przekonają się sami czytelnicy po przeczytaniu opowiadania „Manuskrypt człowieka, który zabił", w którem muza Filmona święci już ultra-amerykańskie triumfy.

CEZARY BARYKA zawdzięcza Stefanowi Żeromskiemu swój trwały byt w literaturze polskiej. List, który tu drukujemy i który zupełnie przypadkowo znalazł się w naszej Redakcji, niechaj posłuży za jeden z dokumentów, charakteryzujących zarówno samego Barykę, jak i epokę Polski, która go wydała.

PRZEZNACZENIEM Polski jest żyć w niebezpieczeństwie — oto słowa Paderewskiego, posłane na Kongres Wychodztwa Polskiego w Stanach Zjednoczonych. Znamienne słowa! Kongres ten dał nam świadectwo tego, iż Polacy nigdzie, nawet w Ameryce, o przeznaczeniu tem nie zapominają i odpowiednio się hartują, jak o tem mówi nam obszerne sprawozdanie, nadesłane przez specjalnego korespondenta.

PANI DOMU, jak wszystko w przyrodzie, ulega stałej ewolucji. P. Marja Romanowa wprowadza nas w tę zaciszną fabrykę pracy domowej, gdzie matka lub żona jest w jednej osobie i dyrektorem i majstrem i robotnikiem. Wytwarza ona szczęście rodziny, szczęście społeczeństwa. Z niecierpliwością też, mniemamy, będą czytelnicy oczekiwali na dalsze artykuły o ewolucji gospodarstwa domowego i o roli w niem pani domu.

UNIWERSYTETY amerykańskie to terra incognita dla młodzieży polskiej. Tymczasem jest to ziemia obiecana dla wszystkich tych, którzy chcą zdobyć prawdziwą mądrość życiową: wiedzę i zdrowie, dobrobyt i kulturę, siłę ducha i umysłu. Skierujmy przeto drogi wykształcenia wyższego z utartych szlaków niemieckich na nowe—amerykańskie. Artykuł p. P. Supera jest pierwszą w piśmiennictwie naszem informacją o uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych.

HIGJENA w Polsce ma nareszcie swój przytułek. Społeczeństwo bez ośrodka wiedzy i pracy higjenicznej to jest to samo, co człowiek bez wody, mydła, ręcznika i szczotki: żyć może, ale w brudzie, pracować może, ale niewydajnie. Państwowy Zakład Higjeny, któremu z tak szczodrą pomocą pośpieszyła filantropijna fundacja amerykańska Rockefellera, jest tym czynnikiem, który da Polsce lepsze warunki życia i pracy.

POWODZENIE w życiu, jak o tem pisze w swym artykule St. Centkiewicz, staje się już nauką. Praktyczni Amerykanie wyciągają z tej nauki odpowiednie korzyści i dlatego też cieszą się największym w świecie powodzeniem.

ROLNICTWO nasze przeżywa kryzys. Pocieszmy się: kryzys ten przeżywa nie tylko Polska, lecz i największe śpichlerze świata—Rosja i Ameryka. Wszędzie jednak, oprócz ogólnych warunków ekonomicznych, działają jeszcze swoje własne, lokalne czynniki, wpływające na bankructwo pracy rolnej. Artykuł p. B. Dobrzyńskiego ma na celu usunięcie tych lokalnych czynników, hamujących rozwój rolnictwa w Polsce.

SZCZEGÓŁOWY spis treści na ostatniej stronicy.

WYDAWNICTWO T-WA POLSKO-AMERYKAŃSK. I AMERYK.-POLSK. IZBY HANDL.-PRZEM. W POLSCE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA N-ŚWIAT 72 /PAŁAC STASZICA/

NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCTA W WARSZAWIE N-ŚWIAT 35.

WŁADYSŁAW DE BONDY

Manuskrypt człowieka, który zabił

Całość zebrana i zestawiona z archiwów firmy „Parker, Davidson & Company — Los Angeles"

Los Angeles, maj 1,— 192... r.

My dear boy!

Bardzo mnie ucieszyła wiadomość o Twym ślubie i Waszem szczęściu. My best wishes! Ponieważ moje biznesy [1]) idą tutaj coraz lepiej, postanowiłem zrobić Wam pewną propozycję. Tam, w Starym Kraju [2]) ciężko Wam będzie rozpoczynać nowe życie we dwoje bez pieniędzy. Mam dla Ciebie jeden biznes, na którym możesz zarobić bardzo dobrze, a mianowicie do 10,000 dolarów, o ile wypełnisz ściśle moje warunki. Twoją pejdę [3]) otrzymasz w czystym kieszu[4]), a nie żadnemi wekslami, jak tam u was. Ponadto biorę na mój rachunek wszystkie szyfkarty [5]) i tickety [6]) tam i z powrotem, naturalnie I klasą i Wasze utrzymanie w drodze. O ile akceptujesz moją propozycję, wiruj [7]) do mnie jedno słowo: „Agreed", to prześlę pieniądze na drogę. In that case[8]) nasz kontrakt rozpoczyna się od dnia wysłania przez Ciebie tego telegramu. Jedynym Twym obowiązkiem będzie wtedy od tegoż dnia zacząć pisać Twój dziennik, w którym będziesz regularnie i bardzo ściśle notował wszystkie Twoje osobiste przeżycia i uczucia, szczególnie od przyjazdu do Ameryki. That's all. Będziecie mieli splendidną [9]) podróż poślubną a i ja stary samotny tutaj będę miał przy sobie czas jakiś mych jedynych starokrajskich krewniaków.

Ściskam mocno Was oboje.

Your old uncle[10])
Mathew.

P. S. Wizy macie wyrobione. W Konsulacie złożycie oświadczenie, że jedziecie na trip [11]) poślubny celem poznania Nowego Kraju na trzy miesiące — po tym terminie, jeżeli zechcecie, możecie powrócić do siebie.

Wybacz, że piszę na tajprajterze [12]), inaczej już nie umiem.

Mathew Mac Ulson General Manager
Los Angeles
Parker, Davidson & Company

Agreed
Alexander.

---

21 maja.

Rozpoczynam oto mój obowiązek związany z przyjętym kontraktem. Dziś rano nadałem depeszę do wuja. Podarłem trzy blankiety, zanim mi się udało napisać to jego obecne nowe nazwisko „Mac Ulson", ręka bowiem sama automatycznie kreśliła po dawnemu „Makulski". Trzy dni spędziliśmy z Janką w jakimś chaotycznym kalejdoskopie wrażeń i uczuć. List wuja spadł na nasze szare życie nędzy urzędniczej, jak meteor w noc ciemną z nieba, rozświetlając nam nagle dalekie kuszące horyzonty.

To wszystko jest jak z bajki, w którą się mimowoli boi wierzyć, gdyż jest za piękna.

Wiem, że w Ameryce zarabia się wszystkiem, lecz czyżby płacili takie sumy za głupi dziennik? Przecież ja nie jestem ani literatem, ani znaną osobistością. Dlaczego list wuja jest taki lakoniczny i tajemniczy? Co to wszystko może znaczyć? Wiem tylko, że wuj jest zbyt poważnym człowiekiem, aby miał mnie brać na kawał. A więc precz zwątpienia! Wierzę, wierzę w naszą cudną, słoneczną bajkę poślubną!

23 maja.

Wczoraj rozpocząłem w swym urzędzie starania o zwolnienie. Wszystko mi idzie nadspodziewanie pomyślnie. Gdym oświadczył sekretarzowi szefa, iż pragnę wyjechać z żoną na parę miesięcy do Ameryki w gościnę do wuja, który nas wzywa, szef przyjął mię natychmiast, udzielił dłuższej audjencji, podczas której wypytywał bardzo szczegółowo i łaskawie o wuja i naszą projektowaną podróż. Czynił mi nawet lekkie wyrzuty, żem go nigdy dotąd nie poinformował o istnieniu wuja. Jest zdziwiony, że pragnę się zwolnić z urzędu, wiedząc, jak mnie tu cenią jako pracownika. Myśli właśnie o awansie dla mnie. Co zaś do naszego wyjazdu, to ten przecie łatwo da się załatwić drogą paromiesięcznego bezpłatnego urlopu.

Wyszedłem od niego olśniony jego uprzejmością i łaskawością. Pozostaję więc w urzędzie. Zacny, dobry szef.

---

[1]) Sprawy, interesy—(gwara Polaków amerykańskich).

[2]) dla Amerykanina Ameryka jest nowym krajem, — Europa — to „Stary Kraj", [3]) wypłatę, [4]) w gotówce, [5]) bilety okrętowe, [6]) bilety kolejowe, [7]) telegrafuj, [8]) w tym wypadku, [9]) prześliczną, cudowną, [10]) Wasz stary wuj, [11]) podróż, wycieczka, [12]) maszyna do pisania.



26 maja.

Mam już w kieszeni paromiesięczny urlop od dnia 10 czerwca. Dzisiaj otrzymałem depeszę od wuja o telegraficznem przesłaniu pieniędzy na drogę przez jeden z banków warszawskich. Żyjemy w ciągłej gorączce. Starania o paszport zagraniczny rozpoczęte. Zdążyłem być w tym celu już w 11 urzędach, pozostaje jeszcze tylko przejść przez 7 instancyj i sprawa będzie zakończona. Mój Boże, jakie to wszystko jest łatwe i proste! Jesteśmy oboje w takim nastroju, że chcielibyśmy przycisnąć wszystkich do piersi, wezbranej bujną miłością do życia i świata.

28 maja.

Biegamy z Janką po mieście, oglądając najpotrzebniejsze do wyjazdu rzeczy. Stan bowiem naszej garderoby, jak dotąd, nie nadaje się do podróżowania I-szą klasą statków transatlantyckich.

30 maja.

Podjąłem z banku pieniądze na drogę. Bilety na statek obstalowane. Bajka przybiera realne formy. A może, może cały ten interes z dużym zarobkiem dla mnie to tylko pretekst dla dobrego wuja, który chce nam ułożyć nowe życie, a zna moją ambicję? Ej, stary, nie kręć!... Ha, zresztą wszystko jedno! Podróż poślubną wolno mi przyjąć od wuja, który mnie tylko jednego ma na świecie — reszta wyjaśni się na miejscu.

1 czerwca.

Paszporty zagraniczne już posiadamy. Jutro idę po wizy. Zakupy poczynione. Przyszedłem dzisiaj do biura ubrany jak z igiełki, w nowym garniturze, obuwiu, bieliźnie. Mój wygląd wprawił tam wszystkich w podziw. Janeczka, patrząc na mnie rano, skakała jak dziecko z radości. Twierdzi, że wyglądam co najmniej jak książę. Co to za olbrzymia przyjemność czuć się przyzwoicie ubranym!

2 czerwca.

Jestem całkowicie przeobrażony. Wąsy zginęły. Teraz zaczynam imponować sam sobie swym modnym, eleganckim wyglądem. A Janeczka — marzenie w nowych sukienkach i kapelusiku. Laleczka z paryskiego żurnalu! Moje ukochane cudo!... Nie będziesz potrzebował się nas wstydzić, amerykański wujaszku.

3 czerwca.

Wizy otrzymaliśmy bez żadnej trudności. Konsulat był uprzedzony z Ameryki. Poczciwy wujek

o wszystkiem pomyślał. O, bądź błogosławiony za ułożenie tej naszej cudnej podróży poślubnej! Nie zapomnimy ci tego nigdy. Wrócimy do naszego szarego życia i pracy z zapasem nowych sił. Słońce na niebie, — słońce w naszych duszach, w naszych oczach.

6 czerwca.

Wprowadziłem już w biurze mego zastępcę w tok spraw, jakie miałem w urzędowaniu. Podobno mój awans po powrocie jest już pewny i mam do swego dotychczasowego biurka więcej nie wrócić. Tyle radosnych zmian naraz! Dziwnym zbiegiem zwykle tak bywa w życiu: jedno powodzenie pociąga za sobą drugie, podobnie jak bieda wlecze za sobą inną biedę. Moja cudna Janeczka szczęśliwa bezmiernie, dzwoni nieprzerwanym szczebiotem i śpiewem. Jak bardzo dopomagają do szczęścia pieniądze!

8 czerwca.

Żegnałem się dzisiaj z szefem, zwierzchnikami i kolegami. Cały jestem pod wrażeniem serca, jakiego doznałem od nich wszystkich. Szef uprzejmie życzył mi szczęśliwej podróży, zabawy i wypoczynku. Dużo kolegów wybiera się na dworzec, by nas odprowadzić.

9 czerwca.

Nagwałt kończę wszystkie sprawy, jakie musiałem załatwić przed wyjazdem. Wszystko się kręci wokół nas. Jesteśmy pijani myślą, że to jutro—już! „Express of Atlantic", na którym mamy zamówioną kabinę, odchodzi z Gdańska 12-go.



10 czerwca.

Jedziemy! Na dworcu, jak w chaosie, mignęły nam twarze licznych odprowadzających. Przedział w sleepingu, zajęty przez nas, zapełniony kwiatami i cukierkami. Jacy ci ludzie są dobrzy: dawniej nas prawie nie znali, dziś śpieszą cieszyć się wraz z nami naszą radością...

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker. Davidson & Company, Los Angeles:" Wonderful! Dorosły gentleman, który tak mało zna życie. Z chwilą, gdy pieniądz zaczyna mówić, mówi zawsze przekonywająco!).

...A wszystko poczciwy wujek! Nakoniec sami. Teraz, gdy już jedziemy, mogę się całkowicie poświęcić mojej Janeczce i mej miłości do niej. Z powodu mnóstwa kłopotów przed wyjazdem zaniedbałem ją trochę. Obiecuję sobie powetować jej to teraz.

Co za rozkosz czuć, że wszyscy w pociągu są tacy uprzedzająco grzeczni dla nas. Widocznie mają nas za podróżujących magnatów. Jak szybko mknie pociąg.

11 czerwca.

Jesteśmy w Gdańsku. Zwiedzamy miasto. Nadałem depeszę do wuja. Rzeczy już na statku. Jutro rano wyruszamy.

12 czerwca.

Płyniemy. Mamy przecudną kabinę. Jesteśmy olśnieni komfortem i przepychem, jaki nas otacza na statku. Czas cudowny. Morze spokojne, niby wielkie jezioro. Biegamy jak dzieci po statku. Zwiedzamy każdy kącik, oglądamy wszystko, wszystko nas zaciekawia i bawi. Ileż cudownych rzeczy istnieje na świecie! Teraz właśnie rozpoczęła się nasza właściwa podróż poślubna. Janeczka bała się trochę morskiej choroby, lecz po dzisiejszym dniu obawy jej minęły. Wieczorem mamy radjo-koncert, który będziemy wogóle słyszeć po raz pierwszy.

13 czerwca.

Niebo bez jednej chmurki. Rozkoszne słońce, połączone z wiatrem morskim, szybko poczyna nas opalać. Białe mewy krążą bez przerwy dokoła statku, kwiląc swe skargi. Przecudne modrookie, igrające ze sobą fale z radosnym poszumem przewalają się hen, w dole pod naszym statkiem, pieściwie kołyszą nas, słodko przytulonych do siebie, obezwładnionych potęgą działania dawno nieznanego, zupełnego wypoczynku, opanowanych




wszechwładnym czarem wiosny naszej miłości. Morze oddycha leniwie swą opalową piersią, co w jaskrawych promieniach słońca gra mirjadami...

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles:" Te wszystkie bardzo poetyczne głupstwa niepotrzebne do interesu. Wyrzucić aż do mającego dla nas wagę dalszego ciągu).

18 czerwca.

Przeżyłem dziś chwilę straszliwego wstrząsu wewnętrznego. Przeglądając najnowsze ilustracje amerykańskie, natrafiłem na wspaniałą fotografję Isi. „Ostatnia najmłodsza, najpiękniejsza gwiazda filmowa Dolores Issy, której niezrównany występ w monumentalnym filmie „Dom na wzgórzu" zwrócił na nią oczy całego świata" — tak głosił napis pod fotografją. Za pseudonim obrała sobie pieszczotliwe imię, którem ja jeden tylko ją nazywałem. Czyżby?... Nie, nie! Nie chcę myśleć o tem... Zanadto jestem wzburzony. Nie mogę pisać.

Tegoż dnia wieczorem.

Więc jednak postawiła na swojem? Jest znakomitością, sławą. Wszystko ma u swych stóp. Ta twarz, te oczy... Co za przepych klasycznego piękna. Tak bajecznie rozkwitła przez te parę lat od czasu, gdym odszedł od niej jako od dziewczęcia jeszcze...

Nie mogę się dotąd opanować. Janeczka mię dopytuje, co mi się stało. Męczę się.

Tegoż dnia w nocy.

Janeczka śpi. Ja nie mogę zasnąć. Przeszłość się budzi przede mną tak żywo, tak boleśnie. Co za dziwne fatum: znajduje się właśnie tam w Ameryce, dokąd ja w tej chwili płynę zupełnie niespodzianie dla siebie. Coś mną targa, coś się we mnie potępieńczo kołacze. Dlaczego musiałem natrafić na tę ilustrację? Nie sądziłem, że mnie to może jeszcze tak mocno poruszyć. Myśleć, że to cudo, które dziś zapewne pieści jakiś miljarder, mogłem posiadać na zawsze i sam rozmyślnie odtrąciłem... Ach, nie mógłbym nigdy dać jej tego, czego potrzebowała. Nie wytrzymałaby mego bezbarwnego, jednostajnego życia codziennej pracy i nędzy. Kochała mnie prawdziwie, och, jak kochała! Odszedłem od niej dla jej szczęścia. Byłbym dla niej kulą u nogi. Nie mogłem inaczej postąpić. Iśka, Isia!... Wszak ci z tem lepiej teraz. Czy pomyślisz, czy

zrozumiesz kiedy, jaką ofiarę poniosłem dla ciebie? — Wstyd!... Nie wolno mi dzisiaj powracać wstecz. Stało się. Skończone. Dziś mam moją ukochaną Janeczkę i o niczem innem nie mam prawa myśleć, jak tylko o naszem szczęściu. Biedactwo moje. Tak cudownie śpi. Czuję się w tej chwili jak złodziej, który chce ją okraść z najświętszych skarbów. Jakże mi wstyd mojej chwilowej słabości.

Świt zagląda w okienko naszej kabiny. Spać! Dość! — Janeczka wyciąga się tak rozkosznie przez sen. Pościel opadła. Jakaż ona cudowna! Janeczko, Janeczko, jak ja cię kocham... Szaleję!...

19 czerwca. Rano.

Zaraz po śniadaniu nieznacznie poszedłem na pokład w zaciszne puste miejsce i cichaczem wrzuciłem nieszczęsną ilustrację w morze. Unosiła się chwilę na falach, kołysana ich pieszczotą, aż pochłonął ją spieniony wir, wlokący się za śrubą statku. Skończone. Tylko ty, Janeczko, tylko ty!... Jeszcze mi się w głowie kręci z tej naszej cudownej obłędnej chwili nad ranem...

20 czerwca.

Staram się w dwójnasób wynagrodzić mojej Janeczce, żem na tę jedną chwilę wówczas odszedł od niej myślami. Mamy swój ulubiony zaciszny kącik na pokładzie, gdzie Janeczka z lubością stale przesiaduje, nieraz do późnej nocy. W tych cudownych warunkach beztroski i komfortu rozkwita mi poprostu z każdą godziną, jak przedziwny wiosenny pączek. Powiedziała mi dziś, że czuje tak bezmierne...

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles:" Co Janeczka robi, jak wygląda i jak się czuje, to nas wcale nie obchodzi. Wiadomo, jak się czuje kobieta ładnie ubrana. Dla interesu potrzebne są tylko jego przeżycia. Opuścić aż do następnego ważnego dla nas ustępu).

21 czerwca.

Chyba już nigdy w życiu nie będziemy tak szczęśliwi, jak teraz. Bądź błogosławiony, wujaszku! Chwilami tylko budzi się we mnie coś nakształt wyrzutu sumienia — to takie dziecinne — że aż się wstyd przyznać do tego. Otchłań morska od czasu do czasu szemrze mi cichutko zielonemi ustami fal, że ukrywa w swej głębi moją tajemnicę, a wiatr żałosnym poszeptem zdradziecko przypomina mi, żem popełnił morderstwo, żem utopił... I wówczas mimowoli, za każdym mocniejszym podmuchem, śledzę białe grzbiety fal, czy czasem nie wypływa z głębiny... E, głupstwo! Stargane ciężką pracą biurową nerwy wyłażą ze mnie. To już bezpowrotnie minęło i sczezło wraz z nią w otchłani, jak ciężki, straszny sen.

22 czerwca.

Czujemy oboje podniecenie przed decydującą chwilą. Jutro stajemy w New-Yorku. Nakoniec poznam tajemnicę, zawartą w liście wuja, która mnie tak męczy ciągle. Jutro zapewne dowiem się już dokładnie, dlaczego wuj kazał mi pisać ten pamiętnik.

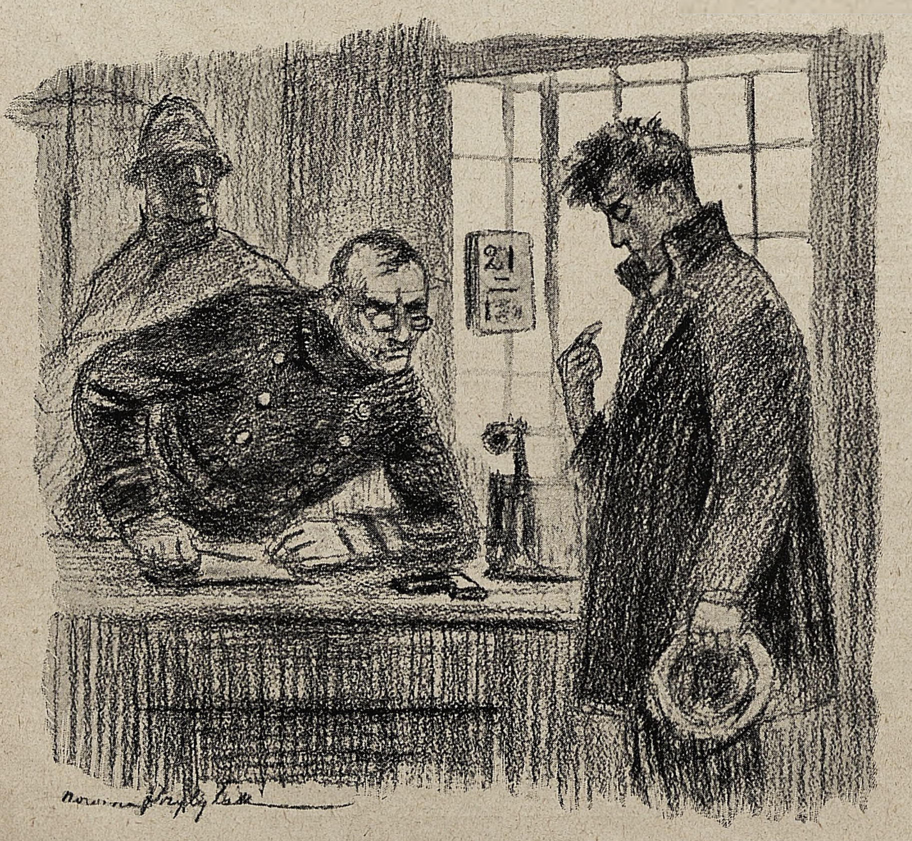
Ostatni dzień na statku spędzamy z Janeczką uroczyście i wesoło, niby dzień naszego święta. Piliśmy nawet dziś szampana. Wszyscy pasażerowie się nim raczyli na pożegnanie wolności alkoholowej przed wpłynięciem w strefę prohibicji. Chcemy, aby ten ostatni dzień okresu naszej zupełnej beztroski, jakiego zapewne już nigdy nie będziemy przeżywali, wraził się nam dobrze w pamięć. Nasze wzajemne uczucia...

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles:" ...są bez żadnego sensu dla sprawy i gentleman niepotrzebnie ciągle do nich powraca. Oddawna wiadomo wszystkim, jakie uczucia łączą młodą zakochaną parę w podróży poślubnej—dla nas ważnem było tylko stwierdzenie, że gentleman kocha swą żonę).

23 czerwca.

Wuj spotkał nas na przystani. Ucieszony był bardzo i serdecznie witał nas oboje. Odrazu wiezie nas z New-Yorku do siebie. Wygląda dzielnie i młodo, lecz jakże się zmienił! Ani śladu dawnego szlagona wołyń-

(Dalszy ciąg p. na str. 53)



TRZY RZECZY DO RZECZY

ROKUJĄ LEPSZĄ PRZYSZŁOŚĆ

Stały się takie trzy dziwne rzeczy (3 jest wogóle kabalistyczną cyfrą, bo to i szczęścia i nieszczęścia trójkami chodzą), że aż się wierzyć nie chce, że to naprawdę i że wszystkie trzy do dobrego końca dojdą.

Zaczniemy od ostatniej. Polska przyszła do wniosku, że można nie handlować z Niemcami, lecz że gdzie indziej trzeba sprzedawać swoje surowce, a przedewszystkiem skądinąd sprowadzać połowę swego importu. I na to trzeba dopiero było łaskawie okazanej nam pomocy krzyżackiej, wygórowanych żądań politycznych, bezczelności i kopnięcia w czułe i czarne miejsce, bo w węgiel... Przedtem trzymano się uparcie zasady: geografja jest geografją, a w tej geografji Niemcy naszymi najdroższymi sąsiadami, bez których ani rusz. I gdy grupa „warjatów" od roku 1919 wołała, gdzie mogła: uniezależnić się od Niemców, nie kupować u nich, choćby chwilowo ich towary były tańsze, zdobyć natomiast jedyny rynek konkurencyjny pod względem towarów nam potrzebnych, to jest Stany Zjednoczone, stale spotykaliśmy się z jawną niechęcią, albo, co jeszcze gorzej, z cichem, a skutecznem przeciwdziałaniem. Zaniedbano Amerykę tak dalece, że w tej chwili prawie wszystkie firmy amerykańskie przedstawicielstwa na Polskę ustanowiły... w Niemczech.

Miejmy nadzieję, że Rząd, kiedy walkę rozpoczął, doprowadzi ją rozumnie i w duchu naszych interesów, z korzyścią dla Polski, i do zwycięstwa. Zwracamy jednak uwagę, że przydałaby się nam bardzo pomoc Stanów Zjednoczonych: zarówno w dostarczaniu rzeczy nam niezbędnych, jak i w finansowaniu naszego eksportu, przyzwyczajonego dotychczas jedynie do pomocy banków niemieckich. Przypominamy, że Hoover tak, jak i dawniej dba o równowagę ekonomiczną świata, jako o podstawę pokoju i że tenże Hoover zna dwie znowu podstawy tej równowagi: zboże i węgiel; o jedno i o drugie teraz chodzi, gdyż i aprowizacyjna i opałowa równowaga jest naruszona przez zatarg polsko-niemiecki.

Druga rzecz dziwna to—że się Polacy przestali kłócić. Jakto wszyscy i wszędzie? Ależ nie, gdyby tak było, toby ziemia stanęła w przestworzach, a słońce zaczęło naokoło niej się kręcić. Lecz i tak na pewno będzie jakiś kataklizm, bo przecież nie może obejść się bez specjalnego w przyrodzie uczczenia faktu, że odbył się nareszcie Kongres Wychodztwa Polskiego w Stanach Zjednoczonych; i to wspaniale i uroczyście, i powziął rezolucje głębokie, mądre, kształtujące życie polskie i stosunek do Macierzy na długie lata. Zjechało się do Detroit półtora tysiąca delegatów, radzili, mówili, głosowali, poruszali najważniejsze swoje sprawy. I uchwalili: Ameryce — obowiązki lojalnych i przywiązanych obywateli, a Polsce — sentyment, cześć i wieczne pamiętanie. Lecz o tem obszernie w dziale „Polska w Ameryce".

A teraz trzeci cud: Polski Minister jedzie do Stanów Zjednoczonych, i to sam Minister Spraw Zagranicznych, członek gabinetu, pan Aleksander hrabia Skrzyński wyrusza, żeby powiedzieć Amerykanom, że Polska jest także wielką Demokracją i że ze wszystkich państw świata najbliżej siebie w duchu stoją Wielka Republika Ameryki Północnej i Rzeczpospolita Polska. Czyn wielkiej wagi i odwagi, wymagający długich i dokładnych przygotowań i ogromnego taktu politycznego. Wszystko przygotowane jak się należy, a sam pan Minister, ze względu na swe zalety osobiste, stanowisko w Lidze Narodów i zdolności dyplomatyczne, jest największym w tej sprawie atutem.

W najwłaściwszej chwili jedzie pan Skrzyński. Polska z granicami ustalonemi, z walutą najlepszą w Europie, z własnej ochoty płacąca długi, nie biorąca pożyczki na zbrojenie, z ładem i porządkiem wewnętrznym; Polska na tyle silna politycznie i okrzepła w poczuciu godności narodowej, że się nie daje sprowokować Litwie czy Gdańskowi; Polska, poddająca się bez szemrania Trybunałowi Międzynarodowemu i decyzjom Ligi Narodów,—to kraj, który można zaszczytnie reprezentować.

Pan Minister Spraw Zagranicznych nie jedzie po to, by zaraz coś konkretnego z Ameryki przywieźć, ani po dolary, ani po zdobycze polityczne. Jednak napewno przywiezie wartości ogromne w sympatjach zdobytych, rozgłosie dla Kraju, w ugruntowaniu zaufania do Rządu Polskiego. A przedewszystkiem zdobędzie kopalnię wiadomości i doświadczeń, z której będzie mógł czerpać złoto przyszłych czynów.

Nie wątpimy, że nie zapomni pan Minister i o naszej Emigracji. Należy im się ciepłe słowo za przeszłość, zachęta w poczynaniach obecnych i otucha na przyszłość.

Wyjazd Ministra Spraw Zagranicznych jest dowodem dalekowidztwa politycznego hr. Skrzyńskiego i zrozumienia sytuacji oraz należytej jej oceny przez p. prezesa Rady Ministrów, Grabskiego. Za tę decyzję, rozpoczynającą na pewno nowy okres stosunków z Ameryką, należy im się najgłębsza wdzięczność i „Szczęść Boże".

St. A.

List do Cezarego Baryki

Drogi Redaktorze!— Wypadek sprawił, że jestem w posiadaniu listu, adresowanego do Cezarego Baryki, tego samego, którego życiorys opisał w „Przedwiośniu" Stefan Żeromski. Autor listu, niejaki Zygmunt, w słusznej supozycji, że przyjaciel jego, Cezary, po zamachu na Belweder, musi być pozbawiony wolności, zwrócił się do niego pod adresem: Warszawa, Więzienie Malwederskie. Ponieważ, o ile mi wiadomo, więzienia takiego w Warszawie niema, przeto proszę o łaskawe opublikowanie listu, w nadziei, że Baryka go kiedyś przeczyta i, być może, pójdzie za głosem swego przyjaciela amerykańskiego. W każdym bądź razie przeczytają go towarzysze jego, których, sądząc z „Przedwiośnia", jest jednak spora ilość w Polsce.

Racz przyjąć, Redaktorze, i t. d.

A. Mikulski.

Drogi Przyjacielu!

Jak się to stało, żeś został bohaterem epopei, tak fragmentarycznie, wobec ogromu zagadnień, skreślonej przez mistrza literatury polskiej? Dzięki właśnie jego powieści dowiedziałem się o twym losie. Adresu zaś domyślam się tylko, szalony bowiem twój pochód na czele sfanatyzowanych wykolejeńców, takich, jakim ty sam zostałeś, na twierdzę Państwa Polskiego — na Belweder, mógł i powinien zakończyć się niczem innem, jak tylko więzieniem.

Teraz siedzisz zapewne w swej celi, jak w kraterze buntu, żywiołowego i wszechobejmującego buntu! Czuję, iż radbyś się porwać przeciwko wszystkiemu, co zorganizowane, społeczne, wzniośle lub ułomnie ludzkie, albowiem jesteś najgłębiej przeświadczony, że wszystko to jest tragicznym wymysłem, jakiemś zaprzeczeniem logicznego ładu społecznego, sprawiedliwości ludzkiej.

Co się więc stało z tobą, drogi Cezary? Wszak pamiętasz druha swego, aczkolwiek o lat kilka starszego od ciebie, lecz także, jak i ty, upajającego się marzeniami o uszczęśliwieniu ludzkości w pierwszych przebłyskach rewolucji rosyjskiej? Byliśmy razem w Baku, tam u podnóża skał prometejskich, w tej zaczarowanej krainie wiecznych ogni ofiarnych, dokąd Wschód starożytny odbywał pielgrzymki, by błagać bóstwa nieznane o litość, o miłość i zdrowie.

To było dawno. Myśmy widzieli zgoła inne pielgrzymki. Garnęły się do Baku narody z Zachodu. Pogasili ognie święte. Poczęli wydobywać z czeluści ziemskich płyn brudny, cuchnący, lecz droższy nad złoto. Widzieliśmy, jak płyn ten rozwożono po świecie całym, jak statki na Kaspju i Wołdze, jak fabryki w Rosji, samochody we Włoszech, samoloty we Francji przełykały go, trawiły i wytwarzały najcudowniejsze rzeczy na świecie. Wszystkośmy to widzieli, lecz niceśmy nie rozumieli. Nie rozumieliśmy twórczej potęgi kultury nowoczesnej.

Pamiętasz ostatni nasz dzień, gdy ciebie zmuszono ładować zwłoki ludzkie, a ja pod groźbą zostania w najkrótszym czasie takiemi do naładowania zwłokami umknąłem i długo wówczas nurzałem się w krwawych odmętach wszechrosyjskiego oceanu grozy i rzezi, zanim wypłynąłem na brzeg, na drugi brzeg kuli ziemskiej, w krainę już nie bolszewizmu lecz amerykanizmu.

I kiedy po kilku latach tak dalekiej i niewymiernie głębokiej rozłąki przeczytałem historję twego młodzieńczego życia, taka mną rozpacz ogarnęła na myśl, że ty, Czaruś, zdrowy, krzepki, przyszła chluba polskości na tym międzynarodowym skrawku ziemi bakińskiej, takeś się załamał w sobie, tak ci się wszystkie prawdy i bzdury powywracały w głowie, że nie uspokoję się, aż ci nie rozwikłam tych zagadek życiowych, przed któremi oszołomiony i bezradny stawałeś co chwila.

Ty może nie wiesz o tem, co mówią o tobie, a zwłaszcza o Żeromskim, który miał odwagę wprost bohaterską, powziął decyzję bezmała szaleńczą, opisania twego żywota i twego, jeżeliś go miał, światopoglądu. Pomawiają go więc o komunizm, ba, o sam nawet bolszewizm. Ty prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy z różnicy tych dwu pojęć? Jeżeli Leninowi, w zaraniu jego władzy, przyszła fantazja do głowy nazwać swoją partję komunistyczną oraz swój program komunizmem, by tem snadniej znaleźć oparcie w szerokich masach wynędzniałej ludności, to nie dowód i żaden argument, by myśl świadoma dziejów ludzkich, godziła się na takie dowolne określenie. Przykładów komunistycznych zrzeszeń oraz ich ideologji mieliśmy w historji wiele. Natomiast bolszewizmu, tak precyzyjnie przeprowadzonego w Rosji, nie mieliśmy nigdzie i nigdy jeszcze. Ale bo też ten bolszewizm nie ma nic wspólnego z teoretycznym komunizmem i dlatego nigdy nie należałoby tych pojęć plątać. Otóż jeżeli u Żeromskiego, w jego ciągłych, prawie że tragicznych, kontemplacjach o dobrem i złem, o cnocie i grzechu, o jednostce ludzkiej i społeczności, przejawiały się już dawniej, kiedyś ty, Cezary, był jeszcze niemowlęciem, tendencje do szczęścia komunistycznego (bo któż w pewnych chwilach swego życia nie pragnie najwyższego szczęścia dla wszystkich ludzi!). to w ostatniej powieści, w której ty tak fatalnie figurujesz, stawia on przed sobą w całej rozcią-

głości zagadnienie bolszewizmu. Tak, bolszewizmu p a r e x e l l e n c e rosyjskiego.

Więc pytam się ciebie: czy jesteś zdecydowanym bolszewikiem? Odpowiem za ciebie: nie, jesteś tylko materjałem, z którego zdecydowany i „uświadomiony" bolszewik urabiałby swą broń, swą partję; jesteś młodzieńcem, któremu brak podstaw, jeżeli chcesz, etycznych, a przedewszystkiem brak, ogromny brak, uświadomienia kultury nowoczesnej.

Więc może Żeromski... jak o tem szepcą różne niedowarzone, lub docna skisłe, głowy?... O sancta simplicitas! Czy Dante, opisując piekło, był djabłem? Czy Szekspir, odtwarzając psychikę tronów, był chociażby na jeden mig monarchą? Czy Mickiewicz, rysując zawadjactwa szlachty, był zawadjaką? — Żeromski to zawsze artysta, który ze spokojem zewnętrznym doświadczonego chirurga przecina najgroźniejsze wrzody i narosty ciała społecznego. Że podjął się tej bodaj najpotrzebniejszej operacji na świadomości narodu polskiego, należy mu się największa wdzięczność. Uczynił to tak, jak żaden filozof, historyk czy publicysta nie byłby w stanie zrobić. Dał objektywny, zimny i ostry, jak stal, obraz epoki naszej. Jestem przekonany, że gdy ty, Cezary, przeczytasz tę powieść o sobie, o swych przejściach i swem otoczeniu, powiesz, że jest to najohydniejsza rzecz, jakąś kiedykolwiek czytał, o ileś nie zapomniał jeszcze ohydy w powieściach Dostojewskiego, Gorkiego i innych ojców duchowych bolszewizmu rosyjskiego. Powiesz niezawodnie, że „Przedwiośnie" — to wszystko nie to, albowiem dla odtworzenia w dziele literackiem katastrofy bolszewickiej w Rosji potrzeba, by się zjawił nowy, nieznany dotąd twórca, obdarzony genjuszem Homera i umysłem nowoczesnym. Nie chodzi mi jednak o formę zewnętrzną. Chcę wniknąć w najzawilszą głąb zagadnienia Żeromskiego. W tę głąb, w której ty toniesz i ciągniesz za sobą duży odsetek naszej co lepszej młodzieży. Czaruś drogi, tyś stał się ofiarą pokolenia, które stanęło na rozdrożu, i napróżno szuka wyjścia na jasne szlaki rozwoju dalszego. Na takiem samem rozdrożu stanął, jako najwierniejszy syn tego pokolenia, sam Żeromski.

Powiem ci więc krótko. Epoka nasza na terenie całej kuli ziemskiej wyłoniła z dziejów ludzkich dwie nowe potęgi: b o l s z e w i z m i a m e r y k a n i z m. Pomiędzy temi dwoma biegunami sił cywilizacyjnych oscylują cywilizacje wszystkich innych państw i narodów. Jest to jakgdyby pierwsze rozdwojenie jądra komórkowego w najnowszym etapie rozwojowym ludzkości. Powstały dwa nowe jądra, połączone jeszcze między sobą niezbadanemi, tajemniczemi nićmi. Gdzieś na peryferji tych linij łącznikowych skłębił się odrębny wątek sił w postaci musolinizmu; jest to jednak twór efemeryczny, przypadkowy, w którym chromozomy obydwu zasadniczych jąder tkwią jeszcze w stanie niezróżniczkowanym, chwilowym. Wszystko zaś inne, wszystkie kultury starych państw europejskich, są to formy, pozbawione punktu ciężkości, i dlatego tak chwiejne, tak demokratycznie zmienne, tak niepewne jutra w swym politycznym i gospodarczym bycie.

Takiem właśnie państwem europejskiem, zewnętrznie, a nadewszystko wewnętrznie, niezrównoważonem jest Państwo nasze. Jeżeli je chwilami cechuje większy brak równowagi, niż inne państwa, to jedynem, niejako fizjologicznem, objaśnieniem takiego stanu rzeczy jest bezpośrednia styczność jego z tym terenem, gdzie jeden biegun ideologiczny — bolszewizm — zapanował niepodzielnie. Drugi zaś biegun — amerykanizm — i terytorjalnie, a zwłaszcza duchowo, jest zbyt od nas oddalony.

Wyobrażam sobie, jak to wszystko, o czem piszę, jest dla ciebie niezrozumiałe. Wszak ty znasz, a raczej jesteś tylko wytworem, jednego bieguna— bolszewizmu. O drugim zaś pojęcia nie masz. Wiesz przeto, że wszystko, coś widział w wymarzonej przez rodziców twoich ojczyźnie, składało się powoli na twój ostatni rozpaczliwy krok. I ci paskarze w kawiarniach, którzy tylko konsumują, a nic nie wytwarzają; i te Nalewki żydowskie, co jak mrowisko drąży zdrową glebę narodu polskiego; i ta polska Nawłoć, która dotąd jeszcze żyje i bawi się, i jeden tylko Bóg raczy wiedzieć, skąd czerpie pieniądze na ten swój beztroski żywot (dowiedziałeś się już chyba, że zjadają go i roztrwaniają ostatnie możliwości hipoteczne, ostatnie ostoje posiadania polskiego); i te grupy robotników, w których się ciągle wmawia, że gdy wytężą swą wolę do przewrotu społecznego, nic na tem nie stracą, a wszystko zdobędą; i ta ogólna atmosfera, którąś oddychał, a w której nie znalazłeś ani jednego ożywczego elementu, pobudzającego cię do zdrowej, jasnej, wesołej pracy dla siebie i dla narodu. Boć nawet ten twój dobroczyńca, idealny urzędnik i obywatel, autor wielkiego dzieła o nowej Polsce, to tylko statystyk, który nigdy nie mógł cię natchnąć żywym impulsem do czynu, do skromnej, pożytecznej działalności ludzkiej, jakiej Państwo wymaga od swych obywateli. Wszystko to pchało cię w objęcia nieuświadomionego buntu przeciwko rzeczywistości i byłeś najszczerzej przeświadczony, że recepty uszczęśliwienia ludzkości, których uczono cię w Rosji, są istotnie radykalnym środkiem na wszystkie nasze choroby społeczne.

Otóż nie! Cała ludzkość winna Rosji nieskończoną wdzięczność za doświadczenia, którym uległo żywe ciało narodu rosyjskiego. Jeżeli były jeszcze jakiekolwiek iluzje, wszystkie one giną w strasznym mroku tej „czystej" myśli, która ze szczytów niezadowolenia ludzkiego, zrobiła skok w potworną otchłań nierządu i grozy.

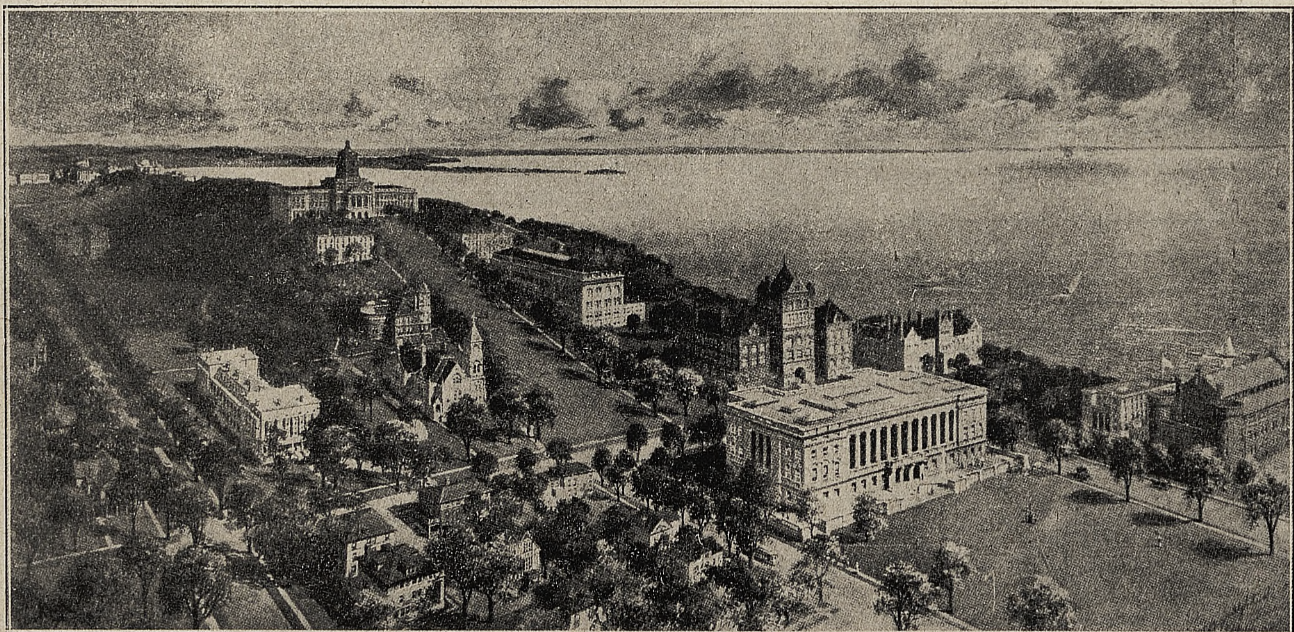
Jest jednak drugi biegun rzeczywistości ludz-

kiej — amerykanizm. Gdybyś go, Cezary, poznał, znalazłbyś właśnie to, czego ci w twem życiu brakowało. Tambyś takiej kawiarni warszawskiej, ani Nalewek, ani Nawłoci nie zobaczył. Tam cała rzeczywistość wciągnęłaby cię w szalony wir pracy wytwórczej i anibyś się spostrzegł, jak wszystkie twe młodzieńcze weltszmerce ulotniłyby się z twej duszy i stałbyś się nowym, dzielnym, pożytecznym dla wszystkich i cenionym w swoich własnych oczach obywatelem. Coprawda, niktby ci nie o p o w i a d a ł o domach szklanych, ale z n a l a z ł b y ś taki dostatek i takie wygody w życiu robotników i „chłopów", któreś znał chyba tylko z lat dziecięcych, z bogatego domu ojca twego. Jeżeliby ci jednak przyszła chęć budowania samemu takich domów, to wierz mi, że nicbyś na tej drodze współdzielczej, o której ci ojciec opowiadał, w Ameryce i w każdem innem państwie, nie zdziałał. To są właśnie te komunistyczne marzenia, które doprowadziły ciebie i doprowadzają innych do bolszewizmu. Amerykanin, który jest w życiu największym indywidualistą na świecie, tworzy taki układ społeczny, tak organizuje pracę, iż żaden najwięcej fanatyczny i ideowy komunista nie mógłby lepiej tego zrobić. Ameryka najdoskonalej i najkrócej realizuje ideały uszczęśliwienia ludzkości. Żadne inne państwo dorównać jej w tem nie może. Jeżeli zacznie budować szklane domy, to znajdzie źródło siły pędnej znacznie łatwiej i taniej, niż to, o którem ci ojciec opowiadał.

Dla ciebie, Cezary, są to wszystko rzeczy nowe i nie zdziwię się, jeżeli mi nie uwierzysz. Dam ci więc przykład, który cię może przekona. Czytaliśmy razem z tobą, będąc jeszcze w Baku, że do Moskwy przyjechał wódz komunistów amerykańskich, William Haywood, by pracować łącznie z bolszewikami rosyjskimi. Pamiętasz, jaka radość panowała wówczas między nimi: nawet Ameryka solidaryzuje się z rewolucją bolszewicką! Otóż ten Haywood, ideowy przywódca skrajnego socjalizmu amerykańskiego, z gorącą wiarą w dobro sprawy zabrał się do współpracy z bolszewikami, lecz gdy się przyjrzał rzeczywistości, gdy swoim zdrowym rozumem amerykańskim uświadomił sobie cały bezmiar tragizmu tego, gdy mu wreszcie kazano jechać do Ameryki dla propagandy bolszewizmu wśród Murzynów i zacofanych mas robotniczych, zbuntował się i cichaczem, by go nie złapano i zgładzono, uciekł z tej urzeczywistnionej krainy szczęścia komunistycznego. Gdy się znalazł już za granicami państwa bolszewickiego, oddał się w ręce poselstwa amerykańskiego ze słowami: wolę życie swoje zakończyć w więzieniu amerykańskiem, niż dłużej pozostawać w Rosji Sowieckiej. A czy wiesz, dlaczego tak powiedział? Myślał on, jak i ty, że bolszewizm stworzył nowy, wyższy, doskonalszy typ współżycia ludzkiego. Ale gdy się naocznie przekonał, że tak nie jest, że to jest tylko tragiczna omyłka, ze szczerą skruchą powrócił do swej ojczyzny, przekonany, że właśnie amerykanizm jest tą w świecie współczesnym najdoskonalszą formą bytu i istnienia.

Jeżeli cię, drogi przyjacielu, nie przekonałem jeszcze, błagaj o wypuszczenie cię z więzienia i przyjeżdżaj jak najrychlej do mnie, tu do Ameryki. Mam ci dużo do powiedzenia, czego nie zdążyłem napisać w tym liście. Pobędziesz tu ze mną kilka lat, a wtedy wrócisz do kraju oczyszczony ze wszystkich grzechów i poprosisz Żeromskiego, aby o tobie, już jako o nowym człowieku, napisał nową powieść.

Twój Zygmunt.



Uniwersytet w Wisconsin.

Życie uniwersyteckie w Ameryce

Paul Super

Gdy chłopiec amerykański lat 18-u kończy gimnazjum czyli, jak my mówimy, wyższą szkołę, i chce dalej się kształcić, może wybierać pomiędzy trzema rodzajami zakładów naukowych: staremi prywatnemi uniwersytetami, których klasycznemi przykładami są Harvard i Princeton, następnie wielkiemi uniwersytetami zachodnich stanów, z których największe są w Michigan, Wisconsin i Kalifornji; oprócz tego ma mniejsze prywatne kolegja, jak naprzykład Williams w Massachusetts, Dartmouth w New-Hampshire i Oberlin w Ohio. Ogółem może wybierać między 600 kolegjami i uniwersytetami, włączając w to kolegja prawne, inżynieryjne, medyczne i teologiczne.

Tak się złożyło, że z grupy siedmiu Amerykanów, znajdujących się w Polsce, do których liczby należę i ja, dwaj są z większych prywatnych uniwersytetów, Chicago i Yale, dwaj z uniwersytetów rządowych i trzej z pomniejszych kolegjów. (Wyraz „uniwersytet" w Ameryce oznacza grupę kolegjów, przeznaczonych zarówno do kształcenia młodzieży, jak i do badań naukowych).

Typowy uniwersytet składa się z kolegjum nauk wyzwolonych, kolegjum inżynieryjnego, rolniczego i ewentualnie kilku innych wydziałów, łącznie z wydziałem, przeznaczonym w zupełności dla ukończonych studentów (graduate stutents), t. j. takich, którzy już otrzymali stopień bakałarza (Batchelor of arts) i po odbyciu czteroletnich studjów są kandydatami na stopień magistra (Master of arts), lub doktora filozofji (Doctor of philosophy).

Kolegjum (college) oznacza zazwyczaj zakład, gdzie są wykładane nauki wyzwolone (termin ten oznacza u nas historję, literaturę, nauki przyrodnicze, filozofję, języki i matematykę). Studenta, który uczęszcza do kolegjum lub do uniwersytetu, nazywamy „a college man" i zazwyczaj oznaczamy tym terminem to, że posiada on stopień A. B. (Batchelor of arts — bakałarz).

Gdy zapytujemy młodego chłopca: „W którem kolegjum pan się uczył?" on może odpowiedzieć np. albo „W uniwersytecie Yale", albo „w kolegjum Oberlin".

Gmachy naszych kolegjów i uniwersytetów zajmują zwykle plac, oddzielony zupełnie od pozostałej części miasta, nawet wtedy, jeśli gmachy te znajdują się w samym jego środku.

I nowe i stare gmachy uniwersyteckie—wszystkie są w klasycznym stylu gotyckim, budowane w typie gmachów Oksfordu.

Zwiedzając kolegja i uniwersytety amerykańskie, interesowałem się napisami nad wejściami i główniejszemi bramami. Szlachetny napis nad bramą uniwersytetu stanu Wirginji najlepiej może wyraża ideały prawdziwego Amerykanina. Napis ten brzmi:



Uniwersytet w Yale.



Studencka drużyna basketballistów (piłki koszykowej).

„Wejdź przez tę bramę,
Aby znaleźć
Drogę honoru,
Światło prawdy,
Wolę do pracy dla ludzkości".

Program kolegjów daje słuchaczom cały szereg przedmiotów do wyboru. Nauki przyrodnicze i społeczne, jako wolne od tradycjonalizmu i więzów średniowiecznych metod badania, znajdują wielu zwolenników.

Psychologja, pedagogika, historja, ekonomja, polityka, nauka o skarbowości i socjologja są studjowane przez licznych słuchaczy. Na uniwersytetach państwowych np. wiele bardzo pożytecznych przedmiotów usunięto, najważniejsze zaś miejsce zajęły: ekonomja gospodarcza i nauka o handlu i przemyśle.

Amerykanie twierdzą, że uniwersytet nie tylko ma zadanie zrobienia z człowieka wysoce wykształconego gentlemana, lecz winien przygotować do obowiązków życia praktycznego. Cały program studjów jest ułożony zgodnie z tą teorją.

Ilość godzin waha się pomiędzy piętnastoma, a osiemnastoma. Oprócz tego niektórzy mają pracę w laboratorjach, a wszyscy w bibljotece. Obecność na wykładach jest przymusowa i, gdy student jest nieobecny więcej, niż dwa lub trzy razy pod rząd, winien się usprawiedliwić, w przeciwnym razie ponosi karę.

Słuchacze schodzą się na wykłady punktualnie i żądają takiej samej punktualności od profesorów. Profesor, któryby się spóźnił na wykład o pięć minut, znalazłby słuchaczy opuszczających salę, gdyż polski kwadrans akademicki w Ameryce równy jest pięciu minutom.

Metody nauczania są rozmaite: od bezskutecznego „wykładania" poprzez repetycje i dyskusje do pracy w pracowniach włącznie.

Normalnie nauka uniwersytecka trwa cztery lata, w ciągu których student nazywa się kolejno: „freshman, sophomore, junior i senior". Jest obecnie dążenie, aby studenci byli badani co do inteligencji zapomocą specjalnych „testów". Testy są ostatniem słowem nowoczesnej psychologji doświadczalnej i są bardziej pomocne w ocenie zdolności, aniżeli przestarzałe egzaminy, chociaż egzaminy nie są jeszcze zarzucone.

Nawet egzaminy z wyćwiczenia cielesnego w niektórych uniwersytetach istnieją w tym celu, aby wiedzieć, czy dany osobnik jest przygotowany do trudnych warunków studenckiego życia.

Prace piśmienne są oceniane zapomocą stopni. Niektóre zakłady wystawiają stopnie na zasadzie stustopniowego systemu, przytem liczba siedemdziesiąt jest uważana za stopień dostateczny. Inne zakłady stawiają stopnie: A, B, C, D i E, inne zaś używają innych znaków, jak np. E (excellent— celująco, S (satisfactory — dostatecznie) i P. (poor — słabo.

Profesorowie pilnie śledzą pracę i postępy swych słuchaczy. Studenci, którzy wybijają się na czoło danego kursu (mniej więcej siedem procent), w wielu kolegjach zostali członkami „Bractwa Honorowego Greckich liter — Phi, Beta, Kappa, którego godło — złoty kluczyk, często można widzieć na dewizkach Amerykanów. Nosi go również poseł amerykański w Polsce.

Wiele kolegjów wprowadziło obowiązkowe wychowanie fizyczne i żąda od słuchaczy systematycznego uprawiania gimnastyki. Wszystkie państwowe uniwersytety wprowadziły znów obowiązkowe wyszkolenie wojskowe i każdy student przechodzi kurs wyszkolenia wojskowego pod kierunkiem oficera służby czynnej w czasie od 1-go do 4 lat.

Życie studenckie w uniwersytetach amerykańskich jest pełne i bogate. Jest ono świetnie zorganizowane i zaspokaja rozmaite zainteresowania.



Studencka drużyna footballistów (piłki nożnej).

Dużą przyjemność w życiu studenckiem stanowi to, że studenci zazwyczaj mieszkają razem w ogniskach (dormitories) lub w tak zwanych czasami rezydencjach (residence halls). Ogniska te mieszczą często po trzystu studentów w jednym gmachu. Co do urządzenia ogniska różnią się między sobą; można śród nich znaleźć wszystkie rodzaje mieszkań, od najprostszych do najbardziej eleganckich. Demokratyzm i koleżeństwo w okresie życia studenckiego są podstawą do zawiązania ściślejszych węzłów przyjaźni, tak potrzebnych w dalszem życiu.

W związku z tem znajdują się typowo amerykańskie organizacje studenckie, bractwa greckich liter. Są to związki, składające się z 15 do 50 studentów, związanych między sobą tajemnicą przyjęcia nowych i rytuału. Stanowią one podstawę życia społecznego i koleżeństwa w uniwersytecie. Stowarzyszenia te wszystkie mają greckie nazwy, których początkowe litery stanowią godło organizacji, jak np.: Beta, Theta, Pi; Phi, Delta, Theta i Sigma Ni.

Kluby studenckie posiadają często własne wspaniałe gmachy. Grały one dawniej znaczną rolę w społecznem życiu uniwersytetów i miały wielki wpływ na podniesienie znaczenia wyższego wykształcenia. Na wschodzie Stanów Zjednoczonych organizacje te obejmują większość studentów, na zachodzie mniejszość.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech życia studenckiego są sporty. Najważniejszemi sportami amerykańskiemi są: piłka nożna, bieg, baseball i wioślarstwo. Studenci, którzy są zwycięzcami, grając w drużynie uniwersytetu, otrzymują prawo noszenia inicjałów jego na koszulkach sportowych, co jest uważane przez wszystkich studentów za wielki zaszczyt. Inne sporty, chociaż mają mniejsze znaczenie, jednak są również uprawiane. Hockey, lacrosse, piłka koszykowa, pływanie, tennis, fechtunek i inne, wszystkie znajdują swoich zwolenników.



Studencka drużyna baseballistów (piłki ziemnej).



Studencka drużyna pływacka.

Żaden jednak z tych sportów nie może porównać się z piłką nożną, dla której są wybudowane olbrzymie stadjony, mogące pomieścić siedemdziesiąt tysięcy widzów na zawodach uniwersyteckich Yale-Harward. Te wielkie stadjony powstały coprawda niedawno, rozpowszechniają się jednak coraz bardziej i każdy większy zakład albo już je ma, lub też dopiero buduje.

Podczas zawodów zachęcanie graczy jest doskonale zorganizowane. Doświadczeni „krzykacze" stoją w przejściach i dyrygują okrzykami i śpiewami podczas gry. Namiętna gra na boisku, muzyka i dziesiątki tysięcy okrzyków unisono wytwarzają takie podniecenie i entuzjazm, które mogą być zrozumiane tylko przez tego, kto sam osobiście widział to i słyszał. Często tysiąc studentów towarzyszy swym kolegom, aby być obecnymi na zawodach w obcem mieście, leżącem o sto mil. Często są potrzebne specjalne pociągi, składające się z setek wagonów, zatłoczonych tłumem, śpieszącym na zawody uniwersyteckie Yale w Princeton. W tym czasie miasteczko Princeton, liczące pięć tysięcy mieszkańców, ma o czterdzieści tysięcy mieszkańców więcej; jest to dla niego wielkie święto.

Inną jeszcze cechą życia studenckiego w Ameryce, jest to, że studenci pracują, aby zarobić na życie w ciągu studjów.

Wielu młodych ludzi przychodzi do uniwersytetu bez grosza w kieszeni, jednakże opłaca wszystkie koszty nauki i kończy uniwersytet, posiadając pieniądze. Niema takiej rzeczy, którejby nie robili studenci: od palenia w piecach i usługiwania w restauracjach aż do nauczania języków, matematyki, filozofji, sprzedawania polis ubezpieczeniowych i oprowadzania wycieczek po Europie.

Zainteresowanie się religją śród studentów amerykańskich jest większe, niż wśród studentów Europy. Stowarzyszenia religijne grają wielką rolę w życiu studentów. W niektórych uniwersytetach są odprawiane codzienne nabożeństwa, na których obecność jest ogólnie dowolna, lecz w wielu zakładach jest ona przymusową. Organizacje religijne studentów posiadają setki członków, największa z nich jest Young Men's Christian Association (Stowarzyszenie Młodzieży Chrześcijańskiej) i Young Women's Association (Stowarzyszenie Młodych Kobiet Chrześcijańskich), które posiadają dla swych potrzeb piękne i duże gmachy.

Oprócz tych organizacyj są i inne pomniejsze, jak np. Newman club. Z liczby 250 tysięcy studentów mężczyzn, 85 tysięcy w przeszłym roku było członkami studenckiej Y. M. C. A.

Studenci interesują się także bardzo swemi wydawnictwami różnego rodzaju. „Rocznik Studencki" (Student Annual) jest wydawany corocznie przez młodszych studentów i zawiera również wizerunki różnych studenckich grup i organizacyj, których liczba sięga często stu i więcej. Pismo to jest świetnie wydawane przez studentów i ukazujej się zwykle wiosną.

Każdy znaczniejszy uniwersytet posiada jedno lub więcej pism studenckich, między innemi i humorystyczne, jak np. „Paszkwil Harwardzki" (Harvard Lampon) i „Wdowa Kornelska" (Cornell Widow), które zdobyły sobie ogólne uznanie. („Wdową" w studenckim żargonie amerykańskim nazywa się dziewczyna, która kilka lat spędziła na nauce i brała udział w życiu studenckiem, nie znalazłszy sobie męża). „Paszkwil Harwardzki" ma obecnie zatarg z rządem Stanów Zjednoczonych, gdyż posunął nieco za daleko swój dobry humor.

Trzeba zaznaczyć, że w życiu studenckiem „polityka" gra nieznaczną rolę. Takie demonstracje polityczne, jakie można widzieć w Polsce, są całkiem niemożliwe w Ameryce.

Kluby zabaw i kluby mandolinistów urządzają często wspaniałe koncerty, a nawet gościnne występy w innych miastach. Przedstawienia dramatyczne w języku angielskim, francuskim i niemieckim są wypadkami wielkiej wagi i mają często powodzenie nawet poza murami uniwersytetu, dawne natomiast zainteresowania studentów — wymowa i dyskusje, osłabły bardzo. Na ich miejsce przyszły inne aktualności.

Wiele zakładów naukowych posiada organizacje studentów najwybitniejszych pod względem naukowym. Być przyjętym do takiej organizacji jest to wielki zaszczyt. Najsławniejsza z nich jest organizacja „Czaszek i Kości" w uniwersytecie Yale. Tysiące pragną zaszczytu wstąpienia do organizacji.

Wszystkie te sprawy mają również wielkie znaczenie wychowawcze. Takie zalety, jak znajomość sportów, pewność siebie, umiejętność rządzenia, administrowania i doświadczenie życiowe są rezultatem udziału w zajęciach pozauniwersyteckich studentów i grają one dużą rolę w przygotowaniu młodych ludzi do przewodnictwa narodowi. Dają one niemniej, niż zajęcia w salach wykładowych i przygotowują człowieka do życia. Między innemi wytwarzają owego ducha demokratycznego, który cechuje życie studentów amerykańskich i który uznaje tylko jedną arystokrację — arystokrację talentu i poświęcenia.

Kto pracuje i przyczynia się do rozwoju życia uniwersytetu, ten jest wysoce szanowany. Ekonomiczny stan jednostek nie gra żadnej roli, a idea poświęcenia jest przyjmowana entuzjastycznie i w niektórych instytucjach ideał altruizmu osiągnął swą pełnię, tak iż doprowadził studentów do wielu przedsięwzięć filantropijnych. Uniwersytet w Chicago stał się ośrodkiem pracy społecznej, uniwersytet Yale wysłał Misję do Chin, a uniwersytet w Princeton finansuje Y. M. C. A. w Pekinie.

Około dwudziestu lat temu obce kraje zaczęły wysyłać wielu studentów do Ameryki i teraz żaden uniwersytet amerykański nie obejdzie się bez organizacji studentów cudzoziemców, która skupia się w Klubie Kosmopolitycznym, gdzie panują stosunki najzupełniej braterskie. W roku zeszłym uniwersytet w Wisconsin, oprócz studentów i studentek z 48 stanów amerykańskich, posiadał studentów-cudzoziemców z trzydziestu krajów obcych. Wielu z nich przybyło, aby kształcić się w technice, rolnictwie, chemji i naukach społecznych, t. j. przedmiotach, w których uniwersytety amerykańskie celują. Wiele innych stron życia studentów amerykańskich jest godnych bardziej szczegółowego opisu, jak np. pochody studenckie z racji zwycięstw barw uniwersytetu, w zawodach sportowych i zjazdy byłych słuchaczy uniwersytetu.

Między ludźmi, którzy spędzili cztery lata w uniwersytecie, istnieje taka solidarności i braterstwo, że niepotrzebne są już nikomu żadne rekomendacje, o ile jest wiadomem, że był studentem.

Lata spędzone w murach uniwersytetu są doświadczeniem życiowem wielkiej wagi, wobec którego wiele rzeczy niknie, a z którego właściwie wszystko bierze swój początek.

Tłum. K. Osmólski.

SPROSTOWANIE.

W artykule ppłk. Stanisława Wężyka p. t. „U źródeł sił państwowych. — Wychowanie fizyczne i moralne społeczeństwa" („Ameryka-Polska" Nr. 5) wkradła się omyłka drukarska w nazwisku słynnego fizjologa szwedzkiego: wydrukowano Sing zamiast Ling.

O nowy program szkolny

Autoreferat.

Od Redakcji: Autor artykułu niniejszego p. Jan Bełcikowski, który od badań filozoficznych oraz prac z zakresu krytyki literacktej przechodzi w ostatnich latach na teren praktycznego ruchu spółdzielczego i wychowania publicznego, wypowiada nadzwyczaj śmiałe myśli w tak aktualnej sprawie, jaką jest reforma, a raczej najwłaściwsza organizacju szkolnictwa polskiego. Ze względu na to, że prasa pedagogiczna poświęca obecnie tym zagadnieniom dużo miejsca, chętnie zamieszczamy autoreferat p. Bełcikowskiego w charakterze materjału dyskusyjnego, wierząc, że z Apostolstwa Pracy takich apostołów, jak nieodżałowanej pamięci Stanisław Brzozowski, Stanisław Szczepanowski i ostatnio szanowny autor, wyłoni się wreszcie zdrowy ruch ideologiczny, który wykreśli pracy, tej jednej tylko z funkcyj ludzkich, właściwe jej miejsce w życiu naszem. Zagadnienie pracy musi być w Polsce należycie zrozumiane i każdy przyczynek do jej zrozumienia winien być skrzętnie notowany.

Nowy program szkolny winien być oparty nie na systemacie przedmiotowym, nie na dogmatach, aksiomatach, nie na teorjach, nie na wzorach swoich i obcych, nie na potrzebach nawet, a na koniecznościach życiowych.

Do takich konieczności życiowych należy w pierwszym rzędzie dziedzina pracy.

Stąd nauka pracy i o pracy winna stać się jedyną powszechnie obowiązującą i ogólnie kształcącą nauką w szkołach.

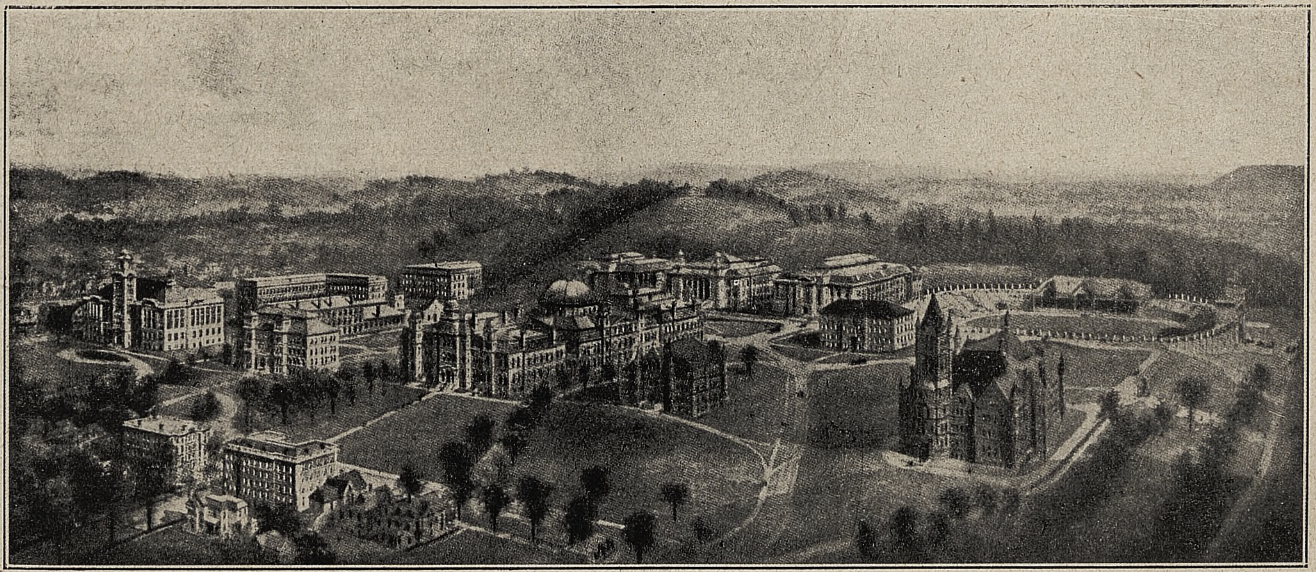
Literatura, historja, geografja, matematyka, przyrodoznawstwo w tym programie będą uwzględniane o tyle jedynie, o ile rzucają one światło na te lub inne zagadnienia, związane z pracą.

Wobec złożoności tak postawionej kwestji nie będziemy, oczywiście, w krótkim artykule szerzej argumentować i teoretyzować naszą tezę.

Ale odrazu przystąpimy do przedstawienia faktu już dokonanego, pewnego, będącego już w opracowaniu Kursu Nauki o Pracy dla dorosłych.

Otóż przygotowany już do druku pierwszy tom tego Kursu nosi tytuł ogólny: Sprawiedliwość a Praca i zawiera w sobie rozdziały: Sprawiedliwość państwowa i społeczna wobec Pracy. Sprawiedliwość wobec Pracy w Literaturze Polskiej. Z dziejów prac nad Sprawiedliwością w Polsce. Na zakończenie podaje autor artykuł pomocniczy, p. t. w Pracowni żywej harmonji.

W rozdziale I-ym autor omawia następujące tematy: Traktat wersalski a praca. Konstytucja 17 marca a praca. Kodeks francuski (Napoleon) a praca. Napoleon a handel. Napoleon a sądy rozjemcze. Międzynarodowa Ochrona Pracy. Praca i opieka społeczna w Polsce. Ochrona robotników rolnych. Kogo nazywamy robotnikiem rolnym? Związki zawodowe w rolnictwie. Ustawa o załatwianiu zatargów zbiorowych między pracodawcami a pracownikami rolnymi. Ugoda ziemian ze związkami zawodowemi rolnemi w r. 1921. Słabe strony tej ugody. Sprawa dnia roboczego na roli. Nauka katolicka a płaca sprawiedliwa (okólniki papieża Leona XIII). Reforma rolna — dwa pro-



Uniwersytet w Syracuse.

jekty: rządowy i „Wyzwolenia". Reforma rolna a konkordat z Rzymem. Praca intelektualna. System Taylora. Kogo zaliczamy do pracowników intelektualnych? Ustawy i rozporządzenia o pracy w handlu. Praca biurowa. Ochrona pracy twórczej: w Grecji (epoka Peryklesa), w Rzymie (epoka Augusta); w okresie Renesansu; w Polsce, od wieku XVI: magnaci, królowie, zwłaszcza Stanisław August aż do dni dzisiejszych. Międzynarodowa ochrona pracy twórczej od r. 1921. Uchwały Kongresu w Brukseli, w sierpniu r. 1921. Prawo autorskie. Konfederacja ludzi pracy (w Polsce). Ilość robotników przemysłowych w Polsce. Ilość pracowników zależnych wogóle. Źródła ustawodawstwa ochronnego pracy. Ubezpieczenia społeczne, Kasy Chorych. Ustawa o urlopach (wyjaśnienie Sądu Najwyższego). Inspekcja Pracy. Charakterystyka harmonji społecznej na podstawie danych Inspekcji Pracy. Prawo autorskie (art. 44 i 63). Podmiot produkcji. Specjalizacja a zawód. Naukowa organizacja Pracy. Duchowa organizacja Pracy. Konferencja pracodawców w Brukseli w r. 1921. Praca najemna. Praca wyzwolona. Rady fabryczne. Upaństwowienie produkcji. Uspołecznienie produkcji. Socjalizm bezpaństwowy. Ruch spółdzielczy i syndykalizm.

W rozdziale drugim, p. t. „Sprawiedliwość wobec Pracy w literaturze polskiej", autor Kursu Nauki o Pracy porusza takie tematy: Praca w świetle wielkiego romantyzmu. Norwid a Praca. Brzozowski a Praca. Prus, Żeromski, Berent, Reymont a Praca. Orzeszkowa, Konopnicka a Praca. „Zawody" Bandrowskiego a Praca. Poezja pracy w okresie pozytywizmu. Prof. Zieliński a Praca. Stanisław Szczepanowski a Praca i t. d.

Rozdział III omawianego Kursu, autor poświęca pracom nad Sprawiedliwością w dawnej Polsce, uwzględniając ścisły, organiczny związek, który zachodzi pomiędzy Pracą a poczuciem sprawiedliwości.

W artykule pomocniczym, p. t. „W Pracowni Żywej Harmonji", autor przedstawia ideologję ruchu spółdzielczego i prądów mu pokrewnych.

Podaje następnie Wyciąg ze Statutu Instytutu Organizacji Pracy.

Tom II projektowanego przez autora Kursu będzie poświęcony sprawie najwyższej produkcyjności władzy i rozkazu i będzie nosił tytuł: „Władza wobec Pracy".

Następne tomy poruszą zagadnienia: Pracy a Niepodległości Duchowej; Pracy a Przyrody; Pracy a Matematyki i t. d.

Plan powyżej przedstawiony, zawiera bezsprzecznie pewne braki; w pierwszym rzędzie, wobec „przedmiotowego" ukształtowania sposobu myślenia naszego nauczycielstwa, wprowadzenie w życie tego planu natrafiłoby na poważne trudności.

Bezwzględna atoli jego wartość polega na zdecydowanem uproszczeniu programu wykształcenia powszechnie obowiązujacego, na skoncentrowaniu całej uwagi pokoleń na jednym procesie życiowym zasadniczym, na próbie, wreszcie, usunięcia zbytecznego podziału na szkoły powszechne, średnie i wyższe, przez wprowadzenie, właściwie, dwóch typów szkoły: powszechnej i zawodowej.

Bądź co bądź, panujący obecnie program nauki szkolnej, oparty na kilkunastu, oderwanych od siebie i od źródeł życia, przedmiotach, rozpraszając na wszystkie strony serca i umysły młodzieży, powinien być uznanym za wroga Świata Pracy.

Jan Bełcikowski.



William M. Jardin, Minister Rolnictwa w St. Zjednoczonych.

Dr. FRANK CRANE — TŁUM. Z. KOCZOROWSKI

Będziesz szczęśliwy, gdy uwierzysz w te prawdy

Przeszło miljard jednostek ludzkich, zamieszkujących obecnie powierzchnię naszej kuli ziemskiej i wiele miljardów, które ją już zaludniały w przeszłości, poszukiwały i uganiały się za szczęściem; musiały więc już chyba wyłonić się jakieś ustalone prawidła tej gry o szczęście.

I rzeczywiście, na podstawie doświadczenia, zdobytego w ciągu wieków przez ludzkość, przychodzimy do pewnych praktycznych, w tej zasadniczej dla człowieka sprawie, wniosków. — Oto one:

1. Niema szczęścia bez pracy. Innemi słowy, głównem źródłem naszego szczęścia jest zużytkowanie sił, któremi uposażyła nas natura. Bez względu na to, w jaki sposób, powinniśmy jednak pracować. Jesteśmy bowiem podobni do jakichś ludzkich maszyn elektrycznych, które dopiero wówczas szczęśliwie egzystują — gdy się kręcą.

Wszelkie wysiłki, zmierzające do odnalezienia szczęścia ze strony człowieka trwającego w stanie bierności i bezczynu, pozostaną bez rezultatu. Będąc bowiem istotami z natury czynnemi i skłonnemi do wyładowania swej energji, możemy znaleźć trwałe szczęście jedynie robiąc coś użytecznego.

Pomiędzy stanem szczęśliwości a przyjemnością jest wielka różnica. Przyjemność jest zawsze tylko chwilową, a szczęście jest trwałem. Możemy tak uczynić, aby nasze przyjemności doprowadziły nas do stanu trwałego szczęścia, lub też odwrotnie, mogą one zburzyć nasze szczęście. Przyjemności mają jedynie styczność z instynktem lub namiętnościami.

2. Szczęście można znaleźć jedynie idąc i patrząc wprost przed siebie. Jest to cecha młodości. Starość rozpoczyna się z chwilą, gdy zaczynamy patrzeć poza siebie. Jesteśmy szczęśliwi tylko wówczas, gdy mając cokolwiek do uczynienia, mając jakiś przedmiot do osiągnięcia lub pewną sprawę do zakończenia — idziemy naprzód.

A zatem, człowiek mogący powiedzieć, iż osiągnął i zakończył — stał się już starym.

3. Aby być szczęśliwym, należy się do życia przystosować. Należy więc pogodzić się z tem, że natura jest silniejszą od nas i że szczęście nasze uwarunkowane jest posłuszeństwem dla praw Natury.

Powinniśmy uczuwać przyjaźń do wszystkiego, do praw rządzących wszechświatem, w którym się znajdujemy i do wszystkich ludzi.

Im bardziej będziemy dla nich przyjacielscy, tem więcej będziemy mieli dowodów ich przyjaźni, i los nasz stanie się szczęśliwy. Jeżeli zaczniemy oskarżać ludzi i zwalczać naturalny bieg wypadków, to przez to samo przyjmiemy na swe barki tak wielkie zobowiązania, iż w końcu ulegniemy, gdyż okażą się one od nas silniejsze.

4. Niema trwałego szczęścia bez odmawiania sobie. Szczęście zbudowane jest na odmawianiu sobie. Człowiek posiadający bardzo silne pożądania z wielką trudnością tylko dostrzega tę prawdę. Zdolność ludzka do żywienia w sobie silnych wogóle pragnień i trwałość tej zdolności ugruntowana jest i wrośnięta korzeniami w odmawianie sobie.

Goethe powiedział: „Entsagen musst du. Musst du entsagen". Musisz odmówić sobie. — Mądry ten człowiek zdawał sobie bowiem sprawę z tego, iż każde trwalsze szczęście w życiu wyrasta z odmówienia sobie.

5. Nie ulega wątpliwości, że najlepszą i najtrwalszą postać szczęśliwości osiąga człowiek wierzący w coś doskonalszego od siebie. Kwintesencją każdej religji jest to, iż istnieje niezależna od nas moc, dla której warto jest żyć i umierać.

Wiara, iż jest coś większego i bardziej wartościowego od istoty pojedyńczego człowieka, stwarza patrjotów.

Każdy grzech i wszelkiego rodzaju przestępstwo ma swe źródło w egoizmie ludzkim. Nie osiągniemy nigdy szczytów szlachetności i wrodzonych nam talentów i zdolności, jeżeli nie wyrzekniemy się egoizmu.

Wyda się to, być może, czytelnikom zbyt trudnem, niemożliwem nawet. Na to odpowiemy, iż dla tych, którzy znajdują szczęście jedynie w zaspokojeniu swego egoizmu, niema już wogóle żadnej nadziei.

L I S K Ó W

WZOROWA WIEŚ POLSKA.

Lisków — wieś w powiecie kaliskim, posiada: „Sierociniec" dla 331 dzieci-sierot, Seminarjum Nauczycielskie, Szkołę Rolniczą, Szkołę stolarsko-zabawkarską, mechaniczno-zabawkarską, kursy rękodzielnicze dla dziewcząt, dwie szkoły powszechne, Dom Ludowy, Straż Ogniową, Kółko rolnicze, Koło gospodyń, Koła młodzieży, Koła sportowe, drużyny harcerskie, trzy orkiestry, chóry śpiewacze, zespoły teatralne, klub dla inteligencji, stowarzyszenie spożywców, piekarnię spółdzielczą, bank ludowy, spółdzielnię mleczarską, stowarzyszenie zbożowe, spółdzielnię budowlaną, szpital ze stałym lekarzem, ambulatorjum, gabinet dentystyczny, budynek kąpielowy, pralnię mechaniczną.

Lisków posiada: oświetlenie elektryczne, częściowo kanalizację, trzy studnie artezyjskie, dużą ilość drzew owocowych, drogę brukowaną, pocztę, telegraf, telefon.

Lisków przed 25-ciu laty była to wieś uboga, nie różniła się niczem od innych, była może uboższa i bardziej zaniedbana. Ziemia naogół była licha, o ulepszeniu jej nie myśał nikt, hodowla inwentarza stała na najniższym poziomie.

Dzieci pozostawały bez nauki, szkoły nie było, natomiast trzy karczmy, — stąd 87% analfabetów. Mieszkańcy ratowali się od głodu, emigrując do Prus na roboty.

W jaki sposób z nędzy doszli do zamożności?

Silna, nieugięta wola, niestrudzone pokonywanie wszelkich przeciwności, pracowitość i zupełne zapomnienie o sobie, nie dające chwili wypoczynku jednego człowieka, sprawiły ten „cud". Tym pracownikiem jest ks. Wacław Bliziński, dwudziestopięcioletni proboszcz parafji Lisków.

Jak ks. Bliziński tworzył ten „cud"?

Umiłował ideę czynu społecznego, zapragnął gorąco dobrobytu, oświaty, uspołecznienia powierzonych jego pieczy ludzi i w tym kierunku wytężył wszystkie myśli swoje, wielką energję, p r a g n i e n i e s t a ł o s i ę c z y n e m. Uczył rozumnie, zachęcał cierpliwie do pracy wspólnej, — dla dzieci prowadził siedem szkół tajnych, pod pozorem ochron, dla młodzieży organizował zabawy uszlachetniające, sprowadzał dużą ilość gazet, książek, organizował wykłady, kursy, na których pouczali ludzie ideowi, wyspecjalizowani, dobrzy mówcy.

Na plebanji, w ogrodzie proboszcza dowiadywali się liskowiacy jak gospodarować należy, aby poprawić stan gospodarstw.

Pierwszym nauczycielem rolnictwa był p. Wojciech Wyganowski, właściciel Pietrzykowa, — jeden z najlepszych rolników w Polsce. Następnie pracę tę podjął p. Antoni Piątkowski, ideowy pracownik wśród ludu, znawca pierwszorzędny rolnictwa, mówca znakomity.

Odbywały się wykłady ze wszelkich dziedzin życia, a zwłaszcza pracy zbiorowej. Często przemawiał adwokat Józef Radwan, red. Gazety Kaliskiej, — objaśniał zasady prawa w zastosowaniu do życia praktycznego.

Długa jest lista nauczycieli liskowiaków; od szeregu lat zjeżdżają do Liskowa działacze społeczni, mówcy pierwszorzędni, aby służyć swoją wiedzą.

Po dwuletnim okresie przygotowawczym, w którym największy wpływ wywierał życzliwy, serdeczny stosunek proboszcza do parafjan, wyrażający się w częstych, parogodzinnych rozmowach, pierwszym czynem realnym było wykończenie budowy dużego kościoła, przerwanej przez poprzedniego proboszcza jakoby z braku środków. Parafjanie zwozili materjały budowlane, pomagali w pracy.

W owe czasy nie było w b. Kongresówce na wsi żadnego stowarzyszenia — ani ludzi przygotowanych do prowadzenia, a rząd rosyjski utrudniał każde dobre, zwłaszcza zrzeszone — poczynanie.

Postanowiono w r. 1902 utworzyć S t o w a r z y s z e n i e S p o ż y w c ó w bez legalizacji, wykupując patent na nazwisko subjekta i biorąc od niego odpowiednie zobowiązanie; zapisało się 35 członków z kapitałem 500 rb. W pierwszym roku istnienia Spółki sprowadzono ulepszone ziarno do siewu, pierwszorzędne gatunki ziemniaków, nawozy pomocnicze. Wartość towarów podniosła się po roku do 723 rb., lepsze plony były zachętą do dalszej pracy wspólnej.

W roku następnym sprowadzono ulepszone maszyny rolnicze.

W r. 1904 żyd, zamieszkały w Liskowie, nie mogąc wytrzymać konkurencji ze sklepem udziałowym, sprzedał dom i pół morga ziemi ze stratą 200 rb. — za cenę 850 rb. Członkowie i parafjanie złożyli na to kupno 280 rb. Pozostałą sumę dodał ks. Bliziński.

Dom został kupiony na cele społeczne całej parafji. Sklep spółdzielczy stawał się szkołą uspołecznienia, organizacją oświatową, — lody obojętności zostały przełamane, praca kulturalna przybrała duże rozmiary. W r. 1908 Stowarzyszenie uzyskało zatwierdzenie prawne, na zasadzie usta-





1

2

WIDOKI LISKOWĄ

1. Szkoła rolnicza.

2. Seminarjum nauczycielskie.



3

3. SIEROCINIEC— PAWILON GŁÓWNY.



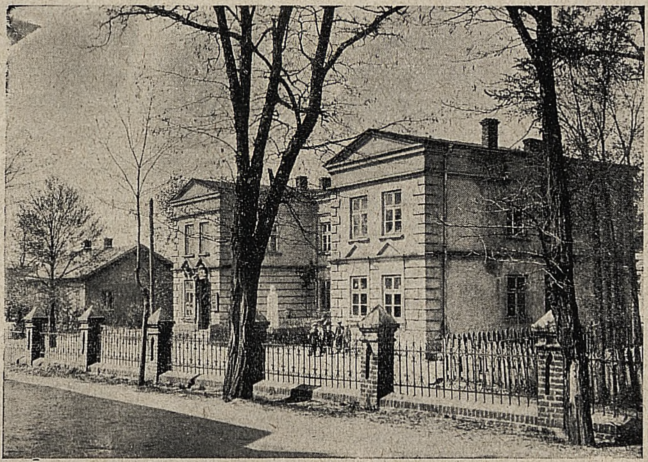


4

5

4. Wjazd do Liskowa.

5. Szpital i kaplica.



6

6. DOM LUDOWY.

wy normalnej. Sklep spółdzielczy rozwinął się doskonale (prowadzi go liskowiak).

Stowarzyszenie przechowuje protokół lustracyjny pana Stanisława Wojciechowskiego, obecnego Prezydenta, w którym chwali działalność Spółki.

Zmiana warunków politycznych umożliwiła utworzenie K ó ł k a R o l n i c z e g o. W tym celu postanowiono wybudować Dom Ludowy, gdyż dom parafjalny okazał się za mały. Dla urzeczywistnienia projektu wypuszczono akcje 10-ciorublowe, które rozebrali gospodarze, dając również pracę i zwózkę materjałów. Ks. Bliziński złożył 1000 rubli, zdobyte drogą wyprzedaży koni, bryczki i innych przedmiotów oraz uzyskał pożyczkę na dogodnych warunkach.

Do świeżo wystawionego gmachu wprowadzono sklep. Drugi kraniec domu zajął B a n k L u d o w y. Salę na parterze ze sceną przeznaczono w ciągu dnia na ochronkę, wieczorami na zebrania, wykłady, koncerty, przedstawienia, zabawy. Pierwsze piętro mieściło s z k o ł ę z a w o d o w ą — t k a c k ą, rozpoczynającą pracę od trzech warsztatów, których liczba urosła wkrótce do 30. W r. 1911 obrót wynosił rb. 23.510, zysk czysty rb. 500, które przeznaczono na kąpiele ludowe.

Tkaniny liskowskie: płócienka, wełny, a zwłaszcza sukna stawały się coraz bardziej pokupne, nie tylko w Kaliszu, Warszawie, ale i na Wołyniu, Podolu, a nawet Kaukazie i Syberji.

Sukna liskowskie na wystawach w Częstochowie, Warszawie i Kaliszu otrzymywały niejednokrotnie złote medale, będąc stawiane na równi z angielskiemi.

Aby ułatwić ludności okolicznej nabywanie tkanin miejscowych i wyrugować obcą tandetę, kupiono konia i wóz w celu obwożenia materjałów, które były chętnie kupowane.

Zarobek tkacza wynosił 300 rb. rocznie.

Podczas wojny warsztaty, niestety, uległy zniszczeniu.

W r. 1920 utworzone zostały dwuletnie k u r s y p r a k t y c z n o - r ę k o d z i e l n i c z e, dziewczęta uczą się tam tkactwa, krawieczyzny, kilimkarstwa, kwiaciarstwa, pończosznictwa i szczotkarstwa.

B a n k L u d o w y nie przestał być czynny podczas wojny, w r. 1914 miał 572 członków, a obrót roczny, przewalutowany na złote, wynosił — 1.060.354.

W biurze Banku centralizuje się, prowadzona wzorowo rachunkowość wszystkich stowarzyszeń, pod kierunkiem jednego rachmistrza; połączone są również kasy wszystkich stowarzyszeń. Dyrektorem jest p. Antoni Szewczyk — liskowiak, obowiązkowy, zdolny, pierwszorzędny pracownik. Członkami Zarządu są włościanie: Szymon Sobczyk, Antoni Szewczyk, Ignacy Bartczak.

M l e c z a r n i a S p ó ł d z i e l c z a, prowadzona przez liskowiaka — Domagałę, przynosi rok rocznie zyski. Liczba członków wciąż wzrasta, dochodząc do 369. Wyborne masło karetka Stowarzyszenia wywozi do stacji Opatówek, skąd szło do Bristolu w Warszawie, a obecnie do Związku Mleczarskiego w Warszawie.

Mleczarnia nie zaprzestała pracy podczas wojny, w myśl zasady ks. Blizińskiego: „Nie sztuka rozwijać się wśród sprzyjających warunków, — ale wśród nieprzyjaznych okoliczności należy zwalczać przeszkody i dążyć śmiało do raz wytkniętego celu".

Aby rolnik nie był zmuszony sprzedawać wyprodukowanego zboża pośrednikom, często wyzyskiwaczom, — powstało S t o w. Z b o ż o w e, które posiada w miasteczku Koźminku $^1/_3$ młyna parowego wartości 30.000 zł. i piekarnię, wypiekającą 700 kilo chleba białego dziennie.

S p ó ł k a B u d o w l a n a ułatwia nabywanie materjałów budowlanych, podejmuje się budowy, posiada cegielnię, szlamiarnię, wytwarza dachówki, cembrowiny i t. d. Cegielnia wypala rocznie miljon cegły. Rozpoczął się ruch budowlany we wsi i okolicy; gospodarze budują jakby na wyścigi domy, stajnie, obory.

Z a r z ą d y w s z y s t k i c h S t o w a r z y s z e ń stanowią w ł o ś c i a n i e, do Rad Nadzorczych wybierani są prócz włościan: ks. Bliziński i dwaj ziemianie okoliczni, pp. Antoni Piątkowski i Aleksander Chrostowski. Zebrania ogólne zatwierdzają decyzje Rad bez zmian; Rady zaś najczęściej nie czynią zmian w decyzjach Zarządów. Czysta nadwyżka dochodów przeznaczona jest na f u n d u s z s p o ł e c z n y, f u n d u s z s t y p e n d j a l n y i inne cele ogólno-krajowe.

W D o m u L u d o w y m odbywały się w czasach niewoli zgromadzenia, uroczystości, które pozostaną na zawsze w pamięci obecnych. Muzyka, śpiew, deklamacja w jednym brzmiały tonie, którym w innych okolicach kraju mówiono szeptem, przy zamkniętych drzwiach. Z młodych piersi synów ludu — płynęła silna pieśń o ziemi ojczystej, o nieustawaniu w trudzie, bo on przyniesie lepszy dzień. A działo się to w czasach, gdy czujne ucho moskiewskiego żandarma śledziło każdy przejaw budzącego się ducha w narodzie; ówczesny „opiekun" każdej wsi polskiej: strażnik-szpieg, po paru kieliszkach poczęstunku, spał snem twardym w oddalonej chacie. D o m L u d o w y s t a ł s i ę s z k o ł ą u n a r o d o w i e n i a i u s p o ł e c z n i e n i a o b y w a t e l s k i e g o. Żandarmi jednak składali władzom raporty, których następstwem były parokrotne aresztowania. Nie wpływało to w najmniejszym stopniu na upadek ducha; nieobecnych zastępowali w pracy sąsiedzi, a gdy aresztowani powracali z więzienia wozami, przybranemi zielenią, wieś cała wylegała na radosne powitanie.

Gdy niebezpieczeństwo groziło Ojczyźnie, poszli na bój nie tylko wszyscy uczniowie gimnazjum liskowskiego klasy szóstej, piątej i czwartej ze swy-



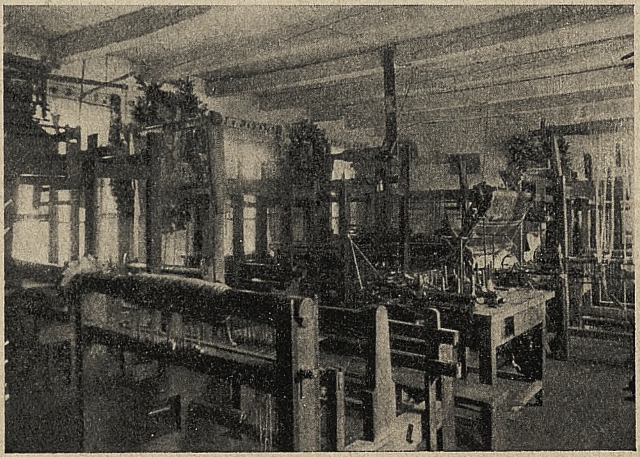
7

7. *Chłopcy przy pracy.— Oddział stolarsko-zabawkarski.*



8

8. *Chłopcy przy pracy.— Oddział ślusarsko-mechaniczny.*



9

9. *Szkoła zawodowa tkacka żeńska.*

mi nauczycielami, ale wraz z nimi prawie cała młodzież ze wsi. Starsi zaś nie przerwali na chwilę, mimo zawieruchy wojennej, pracy w Zrzeszeniach.

Ponieważ młodzież, która osiągnęła pewien szczebel wiedzy w szkołach tajnych, potrzebowała dalszej nauki, ks. Bliziński założył g i m n a z j u m, początkowo w niedużym domu, zakupionym z własnych funduszów.

W materjałach, udzielonych mi do opracowania książki o Liskowie, znajduje się notatka, ręką księdza pisana: „Ubezpieczony byłem na życie, aby choć drogą przymusowych składek osiągnąć jakąś oszczędność; właśnie w r. 1916 upływał termin wypłaty. Odebrałem 3.000 rb., wyprzedałem (po raz drugi) konie, wolant, 2 morgi ziemi, fisharmonję, — pojechałem do rejenta, kupiłem dom".

W tymże roku otworzono klasę wstępną i dwie pierwsze gimnazjalne, w roku następnym dobudowano piętro; zapisy napływały, stało się ciasno, odmawiano przyjęcia nowych uczniów, — w r. 1918 zaczęto stawiać według planu inż. arch. L. Wolskiego gmach gimnazjalny, którego nie powstydziłoby się nawet większe miasto.

Po roku stanął dwupiętrowy, duży budynek stylowy, p i e r w s z e g i m n a z j u m d l a s y n ó w w ł o ś c i a n n a w s i, z oświetleniem elektrycznem, kanalizacją, wodociągami. Liczyło 200 uczniów, wśród nich wielu wybitnie zdolnych.

W r. 1921 na skutek nalegań Ministerstwa Oświecenia i Sejmiku Kaliskiego, gimnazjum zamienione zostało na S e m i n a r j u m N a u c z y c i e l s k i e. Uczniowie klas IV i V przeszli do seminarjum, z niższych klas do szkoły ćwiczeń. Obecnie jest 167 uczniów, niemal wszyscy synowie włościan. Nauczyciele, jak również i dyrektor p. Jan Orczykowski są zdania, że młodzież posiada pełne zapału dążenia i wielkie zamiłowanie do nauki. Warunki do nauki są odpowiedniejsze, aniżeli w mieście, umysł nie jest rozproszony ruchem miejskim, nie zagraża zepsucie, praca posuwa się szybko naprzód, w pogodnej atmosferze wsi. Instytucje społeczne Liskowa dodają bodźca do pracy obywatelskiej. Ożywiona pragnieniem pracy ideowej, — prowadzi młodzież seminaryjna w y k ł a d y d l a m ł o d z i e ż y w s i, a ta garnie się do nauki całą siłą rozbudzonych dusz. Młodzież seminaryjna tworzy drużyny harcerskie, zespoły śpiewacze. Zrzeszenia różnorodne na terenie uczelni rozwijają się znakomicie; z Seminarjum w Liskowie wyjdą pierwszorzędnej wartości wychowawcy dziatwy i młodzieży wiejskiej.

O d c z y t y i k u r s y, prowadzone w Liskowie



Grupa dzieci w Sierocińcu.

z dobremi zawsze rezultatami, były dla ks. Blizińskiego pobudką do zaprojektowania budowy wielkiego gmachu Szkoły Rolniczej; pogarnęła się młodzież z bliższej i dalszej okolicy do nauki rolnictwa, hodowli, mleczarstwa.

W r. 1914 podczas pożaru Kalisza, wielu kaliszan oparło się w Liskowie, gdzie zostali rozlokowani po różnych domach, nadewszystko w gmachu Szkoły Rolniczej, stojącej opodal wsi na wzgórzu. Kule padały gęsto, nikt nie wychodził z domów, w obawie śmierci, ale trzeba było ratować od głodu nieszczęśliwych, pokrzywdzonych przez wojska niemieckie. Ks. Bliziński, nie uznający niebezpieczeństwa, gdy idzie o niesienie pomocy bliźniemu, nosił kaliszanom żywność z plebanji. Gdy minęło niebezpieczeństwo, zaproponował przybyszom przystąpienie do pracy — budowy domu, aby nie czuli się upokorzeni darowizną i mogli zarobić na swe utrzymanie. Powstał wtedy dom, mieszczący: pocztę, schronisko dla starców, czytelnię i mieszkania prywatne.

W ostatnich czasach stanął ładny budynek szkoły powszechnej. Uchwalono bowiem w parafji budowę dziewięciu budynków szkolnych, zamiast obecnych izb szkolnych.

Ponieważ Dom Ludowy jest już za mały, stanie duży Dom Ludowy; materjały budowlane już są.

Podczas walk z bolszewikami schroniło się w Liskowie 800 dzieci — sierot z zakładu wychowawczego w Białymstoku, utrzymywanego przez Amerykański Czerwony Krzyż. Dzieci miały przebyć lato, — budynki w Białymstoku zostały spalone, państwowy urząd opieki nad wychodźcami prosił o zatrzymanie dzieci na stałe w Liskowie. Ks. Bliziński zgodził się, pod warunkiem, że pozostanie 300 dzieci, Rząd da pieniądze na postawienie budynków i utrzymanie dzieci. Parafjanie liskowcy ofiarowali $7^1/_2$ morgów ziemi tuż pod Liskowem, rozpoczęto stawianie budynków. Dzieci przybyły tak wycieńczone i chore, że musiano zacząć od budowy szpitala. Postawiono nadto: dom dla wychowawców, pawilon główny, dom dla administracji, szkołę powszechną siedmioklasową, szkołę rzemieślniczą, piętrową i parterową, budynek kąpielowy, budynek dla centrali elektrycznej, nad nim wieża ciśnień, kaplicę, dom dla lekarza, domek dla ekonoma, dla inwentarza, różne mniejsze. Początkowo kierownictwo zakładu i wychowanie dzieci spoczywało w rękach Amerykanów, obecnie w rękach Sióstr Służebniczek N. M. Panny ze Starej Wsi (Małopolska).

Ks. kanonik Bliziński sporządził akt, ustana-



Dzieci przy pracy ogrodniczej.

wiający fundację o charakterze społeczno-opiekuńczym, zatwierdzoną przez Ministerjum Pracy i Opieki Społecznej i oddaje ją pod opiekę Rady Fundacji, pozostając dożywotnim kuratorem. Zastrzega, aby sieroty pozostawały w zakładzie do lat 18, t. j. dopóki wymagać tego będzie zawodowe przygotowanie do życia samodzielnego. Wychowanie dziatwy ma na celu: „Dać wychowańcom zdrowie i siły do pracy, prawość charakteru, moralne i religijne podstawy życia, oraz taki stopień naukowego rozwoju, jaki jest niezbędny każdemu pożytecznemu obywatelowi państwa, bez względu na fach i stanowisko społeczne. Ponadto w wychowańcach rozwijane być musi zamiłowanie do pracy, jako najważniejszej podstawy życia cywilizującej się ludzkości, stąd nauka pracy, czyniąca tę pracę lżejszą i produkcyjniejszą, musi wejść do programu wychowawczego zakładów Fundacji. Sprawy gospodarcze mają być prowadzone w ten sposób, aby z biegiem czasu instytucja nie potrzebowała uciekać się do ofiarności społecznej, ale żeby wystarczała sama na utrzymanie".

Sierociniec posiada w chwili obecnej 63.5 mor. ziemi ornej, 6 mor. torfowiska, 2 włóki zagajnika, ofiarowane przez ks. Blizińskiego, aby dziatwa słabsza miała zdrowe letnisko, w roku zeszłym zbudowano tam willę na 40 dzieci.

Ziemia, częściowo zdrenowana, uprawiana coraz lepiej, powinna w przyszłości wyżywić mieszkańców Sierocińca; prowadzone w zakładzie szewctwo, krawiectwo, tkactwo — dostarczy ubrania.

Kto dał fundusze na to wszystko?

Dał w pierwszym rzędzie Rząd polski, — sumę 144.664 zł. (do końca 1924 r.), dużo dała Ameryka: — całe urządzenie wewnętrzne, nie wyłączając szpitala, dała odzież, dużo żywności. Podczas pierwszej bytności ks. kanonika w Ameryce, dzięki zabiegom generalnego konsula w Kanadzie, p. Józefa Okołowicza, Polacy w Kanadzie zobowiązali się przesłać większą sumę, wyniosła ona 4211 dolarów. Zawdzięczając konsulowi generalnemu w Nowym Jorku, p. Grotowskiemu, wpłynęło na Sierociniec 2.787 dolarów. Drugi wyjazd księdza do Ameryki, w celu zbadania przejazdu i warunków życia emigrantów, dał na Sierociniec 300 dolarów; złożyły to dla sierot dzieci polskie szkół amerykańskich.

Sejmik Kaliski dał 15.000 zł. na cele inwestycyjne. Powiat kaliski płaci na utrzymanie sierot po 1 zł. dziennie, inne powiaty za swoje sieroty po

1 zł. 10 gr. Na utrzymanie dzieci ofiary wojny z Kresów wpłaca Rząd. Z funduszu Japońskiego wpłynęło 237 dolarów, nawet z Australji nadesłano zasiłki.

Dzieci uczą się w szkołach zawodowych i powszechnej z wielką ochotą, czują się w zakładzie doskonale. Sześć wychowanek opuściło już zakład, z których jedna wyszła zamąż za nauczyciela, a pięć pozostałych zajmuje się wychowywaniem dziatwy w domach prywatnych. Pracobiorcy są z nich bardzo zadowoleni, ale dziewczęta tęsknią i marzą o zjeździe w Sierocińcu, który odbywać się będzie corocznie w dniu imienin ks. Blizińskiego.

W Sierocińcu powstały: związki samokształcenia, drużyna harcerska, orkiestra, zespół śpiewaczy, straż ogniowa. Podczas zabaw dziatwa przejawia tyle humoru, wesołości, uzdolnień, że poprostu odejść trudno. Z jakąż miłością garną się drobne dzieci do ks. proboszcza, jak go otaczają, jak lgną do jego serca, wyczuwając w nim najlepszego ojca, którego Bóg zesłał im, aby wynagrodzić utratę ojca rodzonego. Niema człowieka, któremu nie stanęłyby łzy w oczach na widok tak spełnianego przykazania miłości chrześcijańskiej.

Czy stanie się zadość sprawiedliwości, jeśli czytelnik nie zatrzyma uwagi nad rozpatrzeniem świetlanej postaci ks. Blizińskiego, inicjatora i twórcy instytucyj liskowskich, tego, co tchnął ducha silnego w lud miejscowy, uzdolnił go do zgodnej pracy zrzeszonej? Stałaby się niesprawiedliwość, dlatego niechaj mi będzie wolno zanalizować twórcę obecnego Liskowa.

Objąwszy parafję, czyni postanowienie: „Pragnę tak pracować, aby parafjanom swoim przychylić nieba i chleba"; — słowa te napisane są ręką księdza na pierwszej stronie księgi protokółów. W imię tej wytycznej zasady nie ustaje ani na chwilę w pracy, trwającej w Liskowie lat 25: myśl jego wciąż pracuje z natężeniem, aby zrealizować wytyczną życia swego.

Ogrom zadań dźwiga na swych barkach: zbudzić, byle zbudzić ze snu wieków, oto pierwsze jego pragnienie!

Poucza, oświeca, podaje nowe myśli, opiera je na rozbudzeniu wiary w potęgę zrzeszonych wysiłków, — a jako badacz duszy ludzkiej ukazuje wynik czynu zbiorowego — poprawę bytu, ludziom, żyjącym w niedoli.

Gdyby najsurowszy krytyk, — ten, co zwykł ze szkłem w oku mierzyć najszczytniejsze czyny ludzkie, odważył się, rozpatrując owoce pracy ks. Wacława Blizińskiego, szukać w nich słabych stron, — nie będzie w możności zaprzeczyć, że czynom tym przyświecała idea dobra powszechnego!

A wtedy odezwie się doń głos nieśmiertelny:

„Wszystko spłynie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku —
Lecz idea nie przeminie!"

— — — — — — — — — —

Zaiste, trzeba piastować w sobie gorejący płomień ukochania bliźniego, aby rozgrzać powłokę lodową, okalającą tysiące ludu, pogrążone w śnie wiekowym.

Za ten znicz święty ukochania braci czynną, twórczą, niesłabnącą wobec największych przeciwności — miłością, — należy Ci się, Zacny Synu Ojczyzny, wdzięczność całego narodu.

Nie przeminie idea, którą szerzyłeś, nie przeminie duch silny, który kierował czynami twemi! Ten duch żyć będzie po wsze wieki w pamięci narodu, któremu oddałeś życie swoje. Jak z ust do ust płynęły imiona wielkich bohaterów naszych, tak pokolenie pokoleniu przekazywać będzie imię Twoje. Tamci walczyli dla dobra matki-Ziemi, Ty walczyłeś o dobro powierzonego ci ludu, — równe są zasługi wasze, — równa wam należy się nagroda, — wieczna pamięć następnych pokoleń!

Aniela Chmielińska.



Orkiestra w Sierocińcu.



Ochotnicza straż pożarna.

Siać więcej — czy nie siać wcale?

Jak przedstawia się opłacalność warsztatów rolnych w Polsce

Rolnictwo polskie przeżywa kryzys. Kryzys ten jednakże nie jest spowodowany ani brakiem popytu na ziemiopłody, ani niskiemi cenami. Podniesienie cen w niewielkim ledwo stopniu mogłoby wpłynąć na ukojenie kryzysu, a raczej mogłoby go jeszcze spotęgować.

Żródłem, z którego powstał kryzys — deficyt w gospodarce rolnej, była wojna i jej następstwa. Wojna wpłynęła na zaniedbanie warsztatów rolnych, była przyczyną rabunkowej gospodarki; ona to przyczyniła się do tego, że wyciągaliśmy z roli zapasy, nagromadzone przez oszczędnych i zabiegliwych ojców, dziadów i pradziadów naszych. Wojna, a jako jej skutek — inflacja pieniądza, podniecała do eksploatacji *iluzorycznie* zyskownej. Wkońcu nowe prądy w polityce agrarnej i obawa przed skutkami tej polityki nie jednemu lecz całej rzeszy producentów rolnych odebrała zapał do pracy i chęć myślenia o racjonalnem gospodarowaniu.

To, co wyżej przytoczono, wpłynęło bezsprzecznie na spotęgowanie kryzysu, w jakim rolnictwo się znajduje. Rozpatrując jednak wpływy bezpośrednie jak polityka, szkody wojenne, inflacja, nieunormowanie się cen w Polsce na poszczególne produkty i t. d., skonstatować musimy, że przy wytworzonych nowych warunkach pracy, obowiązkach państwowych i społecznych, produkcja nasza rolnicza jest tak nikła, że przy najbardziej wygórowanych cenach na ziemiopłody, rolnictwo musi pozostać w deficycie.

Przeciętna urodzajność w Polsce wynosi 11 q. z ha. Otóż temi 11 q. rolnik ma opłacić:

koszty produkcji,
podatki,
własne utrzymanie,
procenty, amortyzację,
asekuracje, i t. d.

Jak w rzeczywistości przedstawia się budżet gospodarstw małych, średnich i dużych, przy prze-

Budżet gospodarstwa 15-ohektarowego.

TABLICA I.

PRZYCHÓD

4 ha. oziminy à 11 q.	44 q.	
4 ha. jarzyny à 11 q.	44 q.	
zbiór ziarna	88 q.	
3 ha. kartofli à 120 q.	360 q.	
4 ha. roślin mot. à 60 q.	240 q.	
134 g. kartofli à 4 zł.		zł. 536
4.500 l. mleka à 20 gr.		„ 900
świnie		„ 200
cielaki		„ 60
różne nieprzewidziane		„ 200
Deficyt		„ 2213
		zł. 4.109

ROZCHÓD

Na zasiew oziminy na 4 ha.	8 q.	
„ „ jarzyny „ „ „	8 q.	
Na chleb dla rodziny gospodarza i pracowników	14 q.	
dla świń	2 q.	
Na paszę dla 2 koni à 15 kg.	54 q.	
Rozchód w ziarnie	87 q.	
Kartofle do sadzenia	64 q.	
„ na paszę dla 3 koni à 20 kg.	108 q.	
„ „ utrzymanie domu	30 q.	
„ „ odpadki 5%	14 q.	
„ „ paszę dla świń	10 q.	
Rozchód kartofli	226 q.	
720 l. mleka dla gospod. à 20 gr.		zł. 144
wydatki na utrzym. rodz. à 80 zł. mies.		„ 960
opał i światło		„ 150
Robocizna, pom. przy żniw. i kop.		„ 120
Remonty zabudow., uprzęży, wozów, maszyn i narzędzi rolniczych		„ 1.000
Ubezpieczenie		„ 120
Amortyzacja 5% (od 20.000)		„ 1.000
Podatki		„ 375
		zł. 4.109

Budżet gospodarstwa przemysłowego 275 ha. ziemi ornej drenowanej z gorzelnią we Wschodniej Małopolsce (obszar 1.000 ha.).

TABLICA II.

PRZYCHÓD

Ozimina 100 ha. / Jarzyna 55 ha.	à 20 q. = 3100 q. à 25 zł.	77.500
Kartofli 60 kor.	à 160 q. = 9600 q. à 4 „	38.400
Motylkowe 60 / Mleko 25.000 l.	à 20 gr. . . . . . . „	5.000
Opasy	. . . . „	3.500
Przychówek i różne wpływy	. . . . . „	5.000
	zł.	129.400

ROZCHÓD

Na zasiewy oziminy / „ „ jarzyn	310 q.	
Owies dla koni . . .	500 q.	
Zboże dla opasów (otręby)	225 q.	
„ „ służby . . .	510 q.	
„ „ administracji.	50 q. 1595 q. à 25 zł.	= 39.875 „
Kartofli do sadzenia .	1080 q.	
dla służby i pers. . .	250 q. 1320 q.	= 5.320 „
1. Pensje pers. służby, rob. dzien. i rzem.		= 21.500 „
2. Nawozy sztuczne		= 10.000 „
3. Podatki Państw., kom. i majątk.		= 12.000 „
4. Asekuracje		= 1.500 „
5. Opał i oświetlenie		= 4.000 „
6. Smary, oliwa, części do masz. .		= 1.080 „
7. Żelazo, koks i art. techn. . .		= 2.700 „
8. Pomoc lekarska i weter. . . .		= 600 „
9. Koszty handlowe		= 500 „
10. Remonty budynków		= 4.000 „
11. Amortyzacja (5% od 500.000) .		= 25.000 „
Zysk		= 1.325 „
		zł. 129.400

ciętnej produkcji 11 q.? Pomijam gospodarstwa karłowe, gdyż są one źródłem częściowego utrzymania małorolnych i nie produkują na sprzedaż.

Analizując powyższy budżet, konstatujemy, że przy przeciętnej urodzajności w Polsce, gospodarstwo 15-tohektarowe pozostaje w deficycie 2.213 zł. Zrównoważyć budżet ten można jedynie albo:

1-o przez oszczędność destrukcyjną na własnych potrzebach oraz na żołądkach inwentarza;

2-o przez podwyższenie cen na pozostałych ziemiopłodach, w tym wypadku kartoflach i mleku;

3-o przez podniesienie produkcji z jednostki przestrzeni.

Pierwszy i drugi środek są nie do pomyślenia, trzeci środek, zmierzający do podniesienia produkcji, jest koniecznyinieuchronny.

W budżetach tych, przy osiągnięciu plenności zbóż 20 q. z ha., buraków 300 q. z ha i kartofli 160—200 q. otrzymujemy budżet zrównoważony.

Powyższa wysokość plonów odpowiada przeciętnym plonom gospodarstw zachodnio-europejskich.

Urodzajność	przeciętna	Niemiec	20 q
„	„	Belgji	22 q
„	„	Holandji	26 q
„	„	Anglji	17 q

I takich urodzai domaga się Polska — tylko wówczas rolnictwo polskie będzie pracowało bez deficytu.

Tania produkcja może jedynie wpłynąć na stworzenie eksportu dochodowego dla kraju. Tanią będzie nasza produkcja tylko wówczas, gdy dojdzie do znaczniejszej wydajności.

Niestety, daleko nam do tego. Produkcja rolna Polski nie jest przygotowana do eksportu. Produkcja nasza, gdyby nie barbarzyńskie oszczędzanie na żołądkach inwentarza i skromnem nad wyraz odżywianiu się ludu wiejskiego, zaledwie wystarczałaby na nasze potrzeby, boć jak z budżetu przekonać się można, przy wstawieniu przeciętnych norm urodzajności pozostaje na sprzedaż, na wywiezienie ze wsi, minimalna ilość zboża i innych wiejskich produktów, rozchwytywanych po miastach i w okręgach przemysłowych.

Mimochodem muszę zaznaczyć, że wstrzymywanie się sfer rządowych od udzielenia pozwoleń na eksport zbóż znajduje usprawiedliwienie w zrozumieniu stanu faktycznego naszego rynku zbożo-

Budżet gospodarstwa buraczanego 375 ha. ziemi ornej w byłem Królestwie Kongresowem.

TABLICA III.

PRZYCHÓD

Ozimina 135 ha. à 20 q. = 2700 q. Jarzyny 75 ha. à 20 q. = 1500 q.	4200 q. à 20 zł. =	zł. 84.000
Buraki 45 ha. à 300 q.=13500 q. à 3 zł.		„ 40.500
Kartofle 35 ha. à 200 q. = 7000 q. à 4 „		„ 28.000
Motylkowe 75 ha. Mleko 80.000 l.	à 20 gr.	„ 16.000
Przychówek		„ 1.000
Sady		„ 3.000
Rybołóstwo		„ 2.800
Faszyna, wiklina i różne		„ 3.500
		zł. 178.800

ROZCHÓD

Zasiewy oziminy „ jarzyn	410 q.	
Owies dla koni	700 q.	
zboże dla pers. służby, rob. dzien. i plant.	790 q. 1900 à 20 zł. =	38.000
Pens. pers. służb. dom. i plant.		„ 35.000
Opał i oświetl. dla służby, młock. i orki		„ 8.476
Żelazo, smary, koks		„ 3.000
Remont chom. . . .	2.250	
„ masz. roln. .	6.000	
„ inw. żywego. .	2.000	
„ budynk. . .	5.000	„ 15.250
Nawozy sztuczne		„ 15.000
Podatki		„ 12.000
Asekuracja inw. i od gradobicia . . .		„ 3.500
Amortyzacja (od 600.000)		„ 25.000
Pomoc lekarska		„ 1.000
Szkoła dla służby		„ 1.800
Zysk		„ 20.774
		zł. 178.800

wego i obawy, że to, co wywieziemy po żniwach, będziemy importować na przednówku. Tonący chwyta się brzytwy — tak samo i nasze rolnictwo, nie mając nawet odwagi myśleć, co będzie w drugiem półroczu rolniczem, w pierwszem chce i zmuszone jest wszystko wyprzedać, byle brnąć dalej. Takie już są losy pracowitego bankruta!

Zwiększyć produkcję winno być hasłem Ministerstwa Rolnictwa i całego rolnictwa polskiego. Oczekiwanie t. zw. „Urodzajnego roku" jest złudą, gdyż przeciętna nasza urodzajność łącznie z latami urodzajnemi, jest nazbyt niską, aby mogła wpłynąć na poprawę budżetu rolnego, a tem samem budżetu Państwa.

Powyżej starałem się wykazać, że nie ceny lecz przedewszystkiem zwiększona produkcja jest czynnikiem dominującym i chroniącym rolnictwo przed deficytem. Zanim jednak rolnictwo dojdzie do produkcji normalnej dziś dla naszych sąsiadów na zachodzie, ceny na ziemiopłody sztucznie obniżane grożą tem większą klęską dla rolnictwa i kraju.

Czy bowiem w nowych, powojennych warunkach eksploatacja rolna może się zadowolić cenami przedwojennemi np. za buraki cukrowe? Czy żelazo, materjały techniczne, maszyny, robotnik i t. p. utrzymane są narówni z cenami przedwojennemi? Wszelkie hamulce, dotyczące sprzedaży ziemiopłodów i przetworów rolniczych, należy w tej dziedzinie wyłączyć.

CZEM PODNIEŚĆ PRODUKCJĘ ZIEMIOPŁODÓW.

Bez skoordynowania wszystkich zabiegów w dziedzinie organizacji i techniki, zabiegów niezbędnych dla podniesienia urodzajności ziem ornych, nie może być mowy o rentowności gospodarstw. Zabiegi nasze powinny iść w kierunku wzmożonej akcji meljoracyjnej. Na pierwszym więc planie rolnictwo musi znaleźć kapitały na drenowanie, a drenowania domaga się 70% ziem ornych Polski. Niemniej pierwszorzędnemi środkami podniesienia produkcji jest dobór ziarna siewnego i stosowanie nawozów sztucznych. Propaganda i akcja stacyj hodowlanych w kierunku doboru ziarna siewnego daleko została posunięta, i niema prawie w Polsce (z wyjątkiem województw wschodnich) gospodarza, któryby nie oceniał wpływu ziarna uszlachetnionego na plony.

Brak jest niestety zupełnego zrozumienia potrzeby drenowania i stosowania nawozów sztucznych.

Jako przykład niezrozumienia u nas potrzeby stosowania nawozów sztucznych poniżej przytaczam tablicę naszych potrzeb konsumcji nawozów sztucznych i zdolności produkcji Polskiego Przemysłu nawozów sztucznych (dr. Kosiński „Rolnictwo a Przemysł Nawozowy").

Potrzeby Polski na cały obszar ziem ornych.

Superfosfat	3.874.981
Sole potasowe i kainit	3.538.026
Azotniak, Saletra sodowa, Siarcz. amon.	1.251.546

Konsumcja 1923 r.

Nawozy fosforowe	148.772
„ potasowe	81.590
„ azotowe	103.51

Zdolność produkcji krajowej.

Nawozy fosforowe:		
Superfosfat	475.500	
Mączki kost.	24.600	
Żużle Thomasa	75.000	
		574.500
Nawozy potasowe		160.000
Nawozy azotowe		145.000

Z zestawienia powyższego wynika, że daleko nam jeszcze do konsumowania krajowej produkcji nawozów sztucznych, a bardzo daleko do zabezpieczenia zasiewów w pełne i wszechstronne nawożenie.

W dziedzinie omawianej, t. j. racjonalnego i obfitego nawożenia, wiele jest jeszcze do zrobienia. Należy:

1. poprzeć kredytami rolnictwo, bądź przemysł nawozów sztucznych;
2. prowadzić uczciwą propagandę wśród rolników, pouczając jak, kiedy i gdzie stosować nawozy sztuczne.

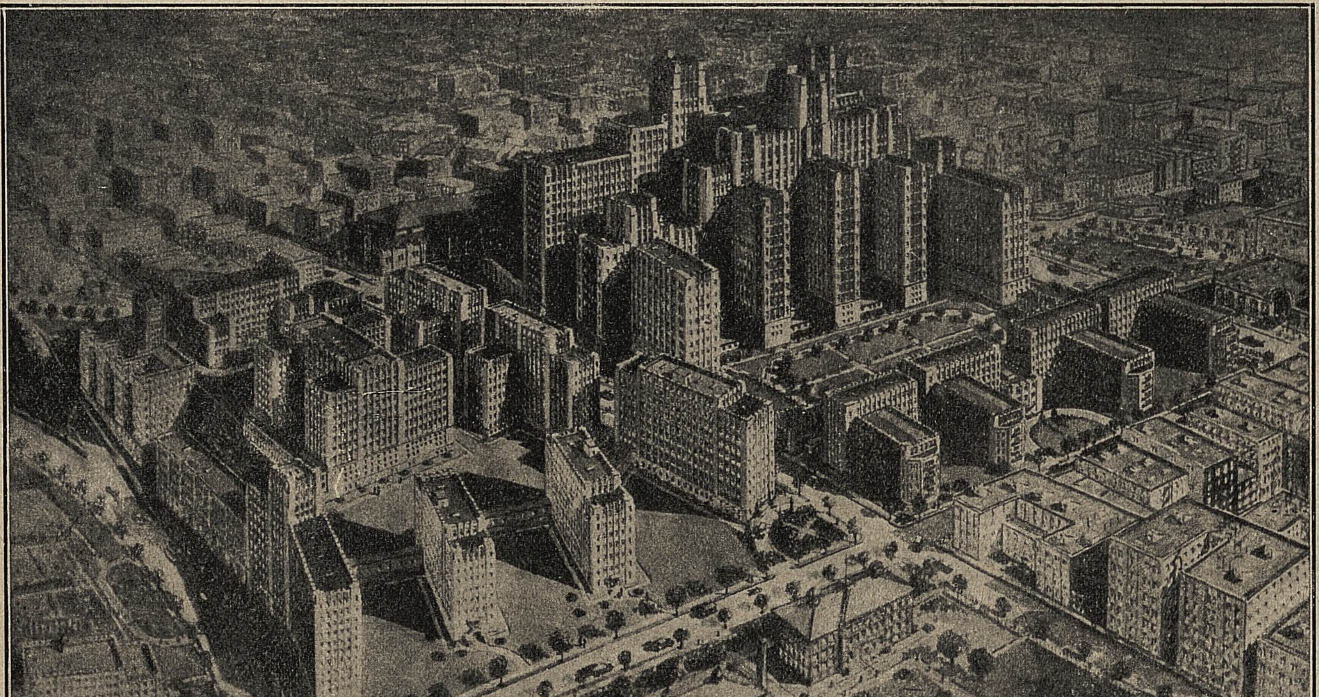
Rentowność ze stosowania nawozów sztucznych zależną jest od ceny nawozów i od umiejętności stosowania tychże.

W momencie obecnym ceny na nawozy sztuczne (z wyjątkiem saletry chilijskiej i sodowej) wytrzymują kalkulację rolniczą, i strata może się tylko okazać przy nieracjonalnem — nieumiejętnem stosowaniu nawozów.

To też propaganda szeroko zakreślona wśród rolnictwa jest pierwszym szczeblem do podniesienia plonów z jednostki — do podniesienia rentowności naszych warsztatów rolnych.

W zrozumieniu interesu rolnictwa Rząd winien jak najusilniej wspierać rolnictwo w swych zamierzeniach inwestycyjnych, oraz otoczyć przywilejami te wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe i techniczne, które swą produkcją i pracą wpłynąć mogą na podniesienie urodzajności, a więc przemysł nawozów sztucznych, biura meljoracyjne i stacje oraz majątki prowadzące hodowlę selekcyjną ziemiopłodów.

B. Dobrzyński.



Rycina przedstawia plan budującego się obecnie w Nowym Jorku Miasta Medycznego. Powstaje ono jako wydział medyczny przy nowojorskim uniwersytecie Columbia ze wszystkiemi możliwemi klinikami, szpitalami, instytutami i laboratorjami. Zajmuje 16 morgów przestrzeni; koszty budowy obliczają na 15 miljonów dolarów.

Państwowy Zakład Higjeny

Fundacja Rockefellera przyczynia się do uzdrowotnienia Polski

Dr. Józef Celarek, zastępca dyrektora Państwowego Zakładu Higjeny, siedząc w swym jasnym i miłym gabinecie, wyglądającym oknami na parki i ogrody, okalające szosę wilanowską, spokojnie i z całą wyrozumiałością dla ignorancji interviewer'a bez podkreślenia swej wyższości, jak człowiek nauki mówi o powstaniu, celach i pracach Państwowego Zakładu Higjeny.

Państwowy Zakład Higjeny! Higjena! Słowo to budzi w nas wszystkich prawie jedno i to samo uczucie. Rzadko kto przy tem słowie nie westchnie — przecież to jest właśnie to, czego brak odczuwamy stale. Zagadnienie higjeny nie jest jakąś suchą teorją, w rodzaju teoryj matematycznych, niezrozumiałych dla przeciętnego ogółu; jest to cząstka naszego istnienia, naszego szczęścia.

Bo któż z nas nie marzył o czystych, wesołych miastach, tonących w zieleni ogrodów i o zdrowych mieszkaniach, posiadających wszystkie warunki zdrowotne.

Teraźniejsze warunki życia w naszym kraju dają nam często odczuwać tę integralną część wszelkiej nędzy, brud, kurz, brak słońca, brak poszanowania zdrowia swego i innych. Nawet St. Żeromski w swem „Przedwiośniu" marzy o miastach Polski nowej, składających się z domów ze szkła, czystych, słonecznych, niezakurzonych, dających się łatwo myć i dezynfekować. Marzenia marzeniami, są jednak marzyciele praktyczni (jakimi bywają czasem ludzie stojący na czele państw), którzy mają wolę i możność przez moralny trud pchać ludzkość naprzód, drogą postępu ku szczęściu, które w 95% składa się ze zdrowia.

Ludzie stojący na czele Państwa Polskiego dbali i dbają o rozwój wiedzy higjenicznej. Pomimo ciężkich warunków finansowych i ekonomicznych już w r. 1918 powstał Państwowy Zakład Higjeny. Mieścił się on początkowo w lokalu prowizorycznym, a w r. 1919 przeniósł się do obecnego własnego gmachu przy ul. Kujawskiej Nr. 2



Gmach Zakładu i Szkoły Higjeny w Warszawie w Mokotowie.



Dr. Ludwik Rajchman, Dyrektor P. S. H., pełniący funkcję dyrektora medycznego Ligi Narodów.

(w pobliżu pl. Unji Lubelskiej), wzniesionego kosztem Państwa. W r. 1922 Zakład nawiązał stosunki z fundacją Rockefeller'a (The Rockefeller Foundation), która po zbadaniu warunków w Polsce, wyasygnowała sumę około 250.000 dolarów na budowę Szkoły Higjeny przy Państwowym Zakładzie Higjeny.

Utworzył się Międzyministerjalny Komitet Budowy Szkoły, który rozporządza funduszami i miał nadzór nad budową.

Jednakże pieniędzy przeznaczonych na budowę przez fundację Rockefeller'a nie wystarczyło. Wówczas Państwo Polskie asygnowało brakujące 80.000 dolarów (około 400.000 złotych). Szkoła została wybudowana, urządzona i wyposażona we wszystkie pomoce i przyrządy.

Jakiż jest cel, jakie są zadania Państwowej Szkoły Higjeny?

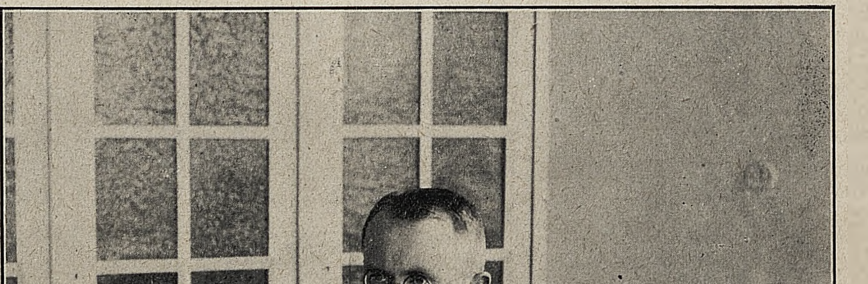
Oficjalnie i ogólnie celem jej jest „przygotowywanie fachowego personelu dla służby zdrowia w Polsce".

Co to znaczy?

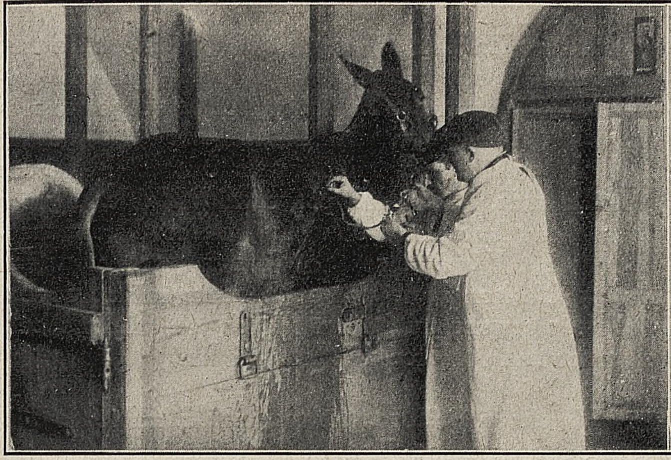
To znaczy, że szkoła będzie dokształcać ukończonych lekarzy, w zakresie higjeny publicznej, specjalizować ich na lekarzy-higjenistów. Tak samo, jak są lekarze-okuliści, interniści, laryngolodzy i inni, higjena jest już specjalnym działem medycyny. Nie wynika stąd, iż Państwowa Szkoła Higjeny ma robić jakąś konkurencję uniwersytetowi. Bynajmniej. Ma ona jedynie na celu specjalizację lekarzy, nie zaś ogólne wykształcenie lekarskie.

Poza tem Szkoła Higjeny ma na celu kształcenie t. zw. inspektorów sanitarnych oraz pielęgniarek. Słowo pielęgniarka wywołuje w nas zazwyczaj obraz kobiety czuwającej przy łożu chorego. Jednakże te pielęgniarki, które wykształci Państwowa Szkoła Higjeny nie będą czuwać nad chorymi; będą one pielęgnować zdrowych, tak zdrowych, gdyż są to tak zwane pielęgniarki zdrowia. Polska nie zna jeszcze tej instytucji. W Ameryce jednak są one doskonale znane. Zadaniem „pielęgniarek zdrowia" jest czuwanie nad zdrowiem obywateli i ochrona jego przez dawanie wskazówek higjenicznych i oświecanie w zakresie higjeny.

Pielęgniarka taka odwiedza mieszkania obywateli, rozpytuje o chorych, bada stan higjeny w danem środowisku, udziela rad, wskazówek, prowadzi statystykę w powierzonym sobie rejonie. Pozornie są to rzeczy ściśle specjalne, mają one jednak ogromne praktyczne znaczenie dla całego społeczeństwa. Misja „pielęgniarki zdrowia" jest nie tylko lekarska, lecz i pedagogiczna i społeczna. Jak powiedzieliśmy wyżej, Państwowa Szkoła Higjeny została założona przy Państwowym Zakładzie Higjeny. Stanowi ona jego oddział autonomiczny. Oprócz tego napół samodzielnego oddziału Państwowy Zakład Higjeny posiada



Dr. J. Celarek, Zastępca Dyrektora P. S. H. w swoim gabinecie.



Wyciąganie surowicy z osła.



Laboratorjum dla wytwarzania szczepionek.

szereg innych oddziałów. Przedewszystkiem oddział ogólny czyli administracyjny. Ten, ze względu na zakres swych prac nie jest dla nas tak ciekawy. Bardzo ważnym oddziałem Państwowego Zakładu Higjeny jest oddział Wyrobu Surowic i Szczepionek.

Jaka jest różnica pomiędzy surowicą a szczepionką, — zapytałem dr. Celarka.

— Pańska nieświadomość w tej sprawie nie dziwi mnie, — odpowiedział dr. Celarek — gdyż u nas często lekarze nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

Otóż szczepionkami nazywamy osłabione, lub raczej zabite bakterje, które wprowadza się do organizmu, by ten ostatni sam wytworzył środki obrony przeciwko nim.

Szczepionki stosuje się jako środki zapobiegawcze.

Surowica zaś jest to substancja (najczęściej limfa), wzięta ze zwierzęcia, do którego organizmu została wprowadzona przedtem szczepionka, i który wytworzył już środki obrony. W ten sposób wprowadza się do organizmu gotowe już środki obrony przeciw zakażeniu, czyli że surowica jest środkiem leczniczym, a nie zapobiegawczym.

Trzeci zkolei oddział Państwowego Zakładu Higjeny zajmuje się wyłącznie produkcją krowianki czyli szczepionki ospowej.

Oddział pasteurowski wyrabia szczepionkę przeciw wściekliźnie (szczepionka ta została wynaleziona przez Pasteur'a), oddział zaś bakterjologiczny czyli diagnostyczny, jak wskazuje sama nazwa, zajmuje się określeniem chorób.

Chociaż Państwowa Szkoła Higjeny stanowi tylko Oddział Państwowego Zakładu Higjeny, jest ona jednak autonomiczna i posiada również swoje oddziały: oddział techniki sanitarnej, oddział epidemjologiczny i statystyki chorób zakaźnych i najciekawszy oddział biochemiczny.

Obecnie praca szkoły jest naukowo-badawcza, od 1-go stycznia 1926 r. rozpoczyna się praca dydaktyczna, t. j. specjalizacja lekarzy, kształcenie pielęgniarek zdrowia i t. d.

Wobec tego, że w gmachu Państwowego Zakładu Higjeny znajduje się kilka pokrewnych mu instytucyj, jak: Państwowy Instytut Badania Środ-



Cielętnik w Zakładzie Higjeny.



Stajnia w Zakładzie Higjeny.

ków Żywności i Państwowy Zakład Kontroli Surowic, powstał projekt, aby połączyć wszystkie te instytucje z Państwowym Zakładem Higjeny. Jasną jest rzeczą, że zmniejszyłyby się w ten sposób koszty administracji i można byłoby osiągnąć większą jej sprężystość. Projekt ten bliski już jest urzeczywistnienia. Co do innych perspektyw na przyszłość, to dr. Celarek przewiduje nader pomyślny rozwój Państwowej Szkoły Higjeny, która jako jedyna w swoim rodzaju w całej Polsce, będzie miała licznych słuchaczy; produkcja szczepionek i surowic, która szła dotychczas bardzo pomyślnie, jak to zobaczymy z liczb, przytoczonych poniżej, będzie rozwijać się i zwiększać się stale.

Streszczając, działalność Państwowego Zakładu Higjeny idzie i będzie iść w trzech kierunkach:

1. badań naukowych i kontroli;
2. produkcji surowic i szczepionek;
3. szkolnictwa specjalnego (P. S. H.).

Co do personelu, to etat na r. 1925 przewiduje 90 osób personelu wyższego i 80 niższego (woźni, dozorcy i inni). Na czele Zakładu stoi dyrektor dr. Ludwik Rajchman, będący obecnie na urlopie stałym i pełniący funkcje dyrektora medycznego Ligi Narodów. Zastępcą dyrektora i faktycznym kierownikiem jest dr. Józef Celarek. Znaczna część pracowników Zakładu odbyła specjalne studja w Ameryce i w krajach Europy zachodniej na koszt tej samej Fundacji Rockefeller'a, której Międzynarodowy Wydział Zdrowia (International Health Board) udziela stypendjów lekarzom, będącym na służbie państwowej i poświęcającym się specjalnie pracy w dziedzinie higjeny publicznej.

Dr. J. Celarek nie tylko jest faktycznym kierownikiem Zakładu. Stoi on również na czele produkcji szczepionek i surowic. Produkcja ta najzupełniej pokrywa zapotrzebowanie kraju i może starczyć nawet na wywóz. W r. 1923 po ostatniej wojnie grecko-tureckiej, wysyłał zakład szczepionki do Grecji. Liczby najlepiej scharakteryzują działalność i produkcję Państwowego Zakładu Higjeny.

W okresie od r. 1919 do 1923 Zakład wraz z filjami [zakład posiada 6 filij: w Krakowie, Łodzi, Toruniu, Lublinie, Wilnie (tylko oddziały diagnostyczne) i we Lwowie (oddz. diagnost. i pasteur.)] wykonał badań 232.082 próbek materjału zakaźnego. Wyprodukował 19.474 lit. różnych szczepionek, jak to: tyfusowej, cholerycznej, czerwonkowej i innych, t. j. ilość potrzebną do szczepienia 10.000.000 osób.

W tym samym okresie wyprodukowano 6.914 litrów surowicy tężcowej, błoniczej i t. d., oprócz tego wyprodukowano krowianki ospowej na 18.000.000 ludzi. Zaszczepiono w tymże okresie 13.000 ludzi, pokąsanych przez wściekłe psy.

Dla produkcji surowic są potrzebne zwierzęta. Państwowy Zakład Higjeny posiada własną fermę w Służewie pod Warszawą, gdzie znajduje się 100 koni. Oprócz tych wszystkich szczepionek i surowic Zakład wytwarza jedną tylko surowicę weterynaryjną, mianowicie surowicę przeciw różycy świń, chorobie bardzo w Polsce rozpowszechnionej. Państwowy Zakład Higjeny jest dobrze znany na terenie międzynarodowym. Najlepszą propagandą jest to, że pracownicy Zakładu biorą udział w pracy naukowej na terenie międzynarodowym, t. j. w kongresach, zjazdach, konferencjach i t. p. Na kongresie w Kopenhadze, zakład zdobył sobie pierwsze miejsce. Kongres ten miał na celu opracowanie metody Wassermanna (walka z syfilisem).

W ekspedycji zorganizowanej z ramienia Ligi Narodów i mającej na celu zbadanie malarji we wszystkich krajach Europy i niektórych części Azji, bierze udział pracownik Państwowego Zakładu Higjeny dr. Anigstein. Pracę nad sposobem ustalenia siły surowic: czerwonkowej, tężcowej i in. z ramienia Ligi Narodów prowadzi łącznie z uczonymi innych krajów dr. Hirszfeld, kierownik Państwowego Zakładu Kontroli Surowic (Zakład ten w niedalekiej przyszłości będzie połączony z Państwowym Zakładem Higjeny). Szczegółowe omówienie obszernego zakresu prac Państwowego Zakładu Higjeny i jego pracowników jest niemożliwe w ramach krótkiego artykułu.

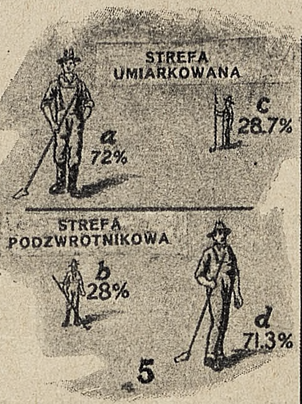
Z powyższego możemy wysnuć jasny wniosek: nie jesteśmy barbarzyńcami; higjena publiczna jest u nas pod opieką instytucji naukowej. A kiedy pierwsze „pielęgniarki zdrowia" opuszczą Szkołę Higjeny, wówczas rozpocznie się zmierzch higjeny z okresu kamienia ciosanego, która, niestety, żyje jeszcze śród szerokich mas, a zacznie się okres higjeny nowoczesnej, której hołdują ludzie w krajach Europy zachodniej i Ameryki Północnej.

K. O.

CENTR MEDYCZNY W NOWYM JORKU

Na str. 12 znajduje się ilustracja nowego nadzwyczajnego dzieła amerykańskiego. Jest to t. zw. centr medyczny czyli całe miasteczko, zbudowane wyłącznie dla celów naukowo-leczniczych. Stanowiąc wydział medyczny uniwersytetu kolumbijskiego, ma on za zadanie połączenie wszystkich możliwych klinik i szpitali w obrębie pewnej zamkniętej całości w celu łatwiejszego do nich dostępu zarówno ze strony profesorów, jak i studentów. Dotąd Ameryka wprowadzała wszystkich w największy podziw swoją mechaniką, metalurgją, umiejętną organizacji pracy i t. d. Obecnie zaczyna zdumiewac czystą nauką oraz stosowaniem jej do potrzeb życia praktycznego. Dobrobyt i bogactwo kraju pozwala im realizować najfantastyczniejsze wizje ludzkości.

NOWA TEORJA MALTHUSA



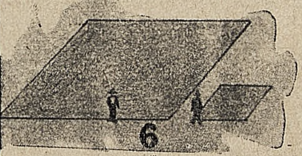
Obecnie 72°/₀ ludności świata zamieszkuje strefy umiark. a tylko 28°/₀ — strefy podzwrotn.; z drugiej strony strefy podzwrotn. mogłyby wyżywić 71,3°/₀ ludn., gdy zaś strefy umiarkowane tylko 28,7°/₀.



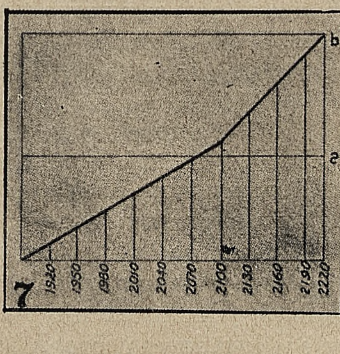
Powyższy rys. przedstawia nam graficznie podział ludności w procentach pomiędzy częściami świata. Ponieważ roczny przyrost ludności sięga liczby 9 miljonów osób, przeto obliczają, że za trzysta lat ziemia z trudem będzie mogła wyżywić swych mieszkańców, nawet jeżeli przyjmiemy pod uwagę obecną stopę życiową.



Jeżeliby ludność całego świata była rozmieszczoną na powierzchni ziemi stosownie do jej urodzajności, podział jej w procentach wyraziłby się, jak na rys. 2. Strefy umiarkowane szybkim krokiem zbliżają się do przeludnienia, obliczają więc, że za 150 lat ludność będzie zmuszoną emigrować do stref podzwrotnikowych lub też sprowadzać stamtąd produkty spożywcze



Jeżeliby całą powierzchnię ziemi podzielić na równe części pomiędzy obecnie żyjącymi ludźmi, to na każdą osobę przypadłoby 176 stóp kw.; za 300 lat, na każdą osobę wypadnie tylko 50 stóp. Nawet przy naukowej organizacji pracy w rolnictwie, zagadnienie wyżywienia całej ludności staje się bardzo poważnem.



Wykres pokazuje stopniowy wzrost ludności od 1920 do 2220 r. Lit. a wskazuje punkt przeludnienia stref umiarkowanych, a lit. b—całego świata.





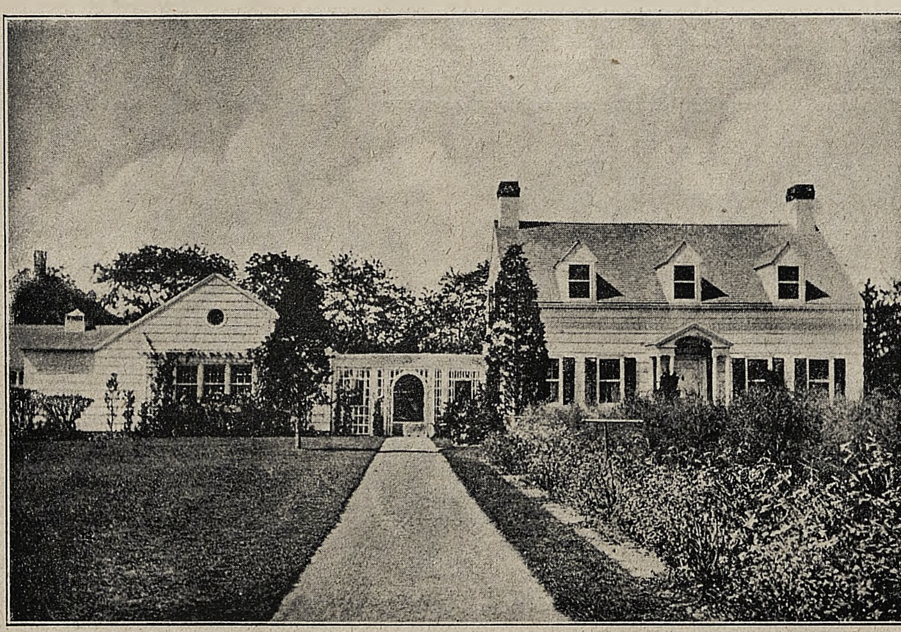
Strefy podzwrotnikowe pod względem produktów spożywczych są, jak dotąd, w małej tylko mierze wyzyskane. Rys. 3 i 4 pokazują wytwórczość pokarmów człowieka niecywilizowanego w porównaniu z ilością produktów, którą tenże wytwarza pod panowaniem człowieka cywilizowanego przy stosowaniu racjonalnych metod pracy.

Wieś amerykańska

Wyjątek z książki M. H. Szpyrkówny „Gwiazdy i Dolary"

Wieś, jako taka, w Stanach Zjednoczonych nie istnieje. Gospodarstwa wiejskie dzielą się na poszczególne osady odrębnych właścicieli-farmerów rozsadzonych od siebie dalej lub bliżej, zależnie od zaludnienia danej miejscowości, ogólnie jednak blisko. Tak, że nasza jazda polnemi drogami, gdzie jak okiem rzucić, nie dojrzy się ludzkiej sadyby; trafia się chyba wyjątkowo. Przytem Stany są zazwyczaj podzielone na właściwe ich warunkom lokalnym zatrudnienia rolnicze, uprawiane przez zamieszkałą ludność. Wytwarza to zjawisko, dla cudzoziemca ciekawe, zwłaszcza, że automobile i autobusy, gęsto krążące po kraju, pozwalają na śledzenie tej kolejnej odmienności fizjognomji stanów. Tu — same ogrody owocowe, tam — same zboża, gdzie indziej — same warzywa — a jeszcze dalej czarodziejskie pola kwiatów. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w pasie owocowym widz, pędzący autem, z podziwem spotyka ustawione na skraju szosy małe straganiki przyległych do drogi farm, na których są porządnie ułożone stosy owoców, na owocach cena — i nikogo obok. To samo zresztą można obserwować na rogach ulic w miastach, u straganów gazeciarskich. Porządnie posegregowane podług tytułów dzienniki, każda kupka przyciśnięta od wiatru podkową — widocznie na szczęście — pod podkową cena — i żywego ducha przytem. Amerykanin przyjdzie, położy swoje trzy centy, zabierze resztę, jeśli nie ma drobnych, i odejdzie z dziennikiem, bynajmniej się nie dziwiąc. Gazeciarz zresztą co jakiś czas zajrzy do swego byznesu, ale naogół w pilności nie przesadza.

Ogólny krajobraz wsi w Stanach umiarkowanych przypomina bardzo krajobraz nietyle może polski — który jest ogółem monotonny — co zakątki kresowe litewskie i białoruskie, z ich bujnemi łąkami, wzgórzami i dolinami, poprzecinanemi przez jary z krynicą na dnie, przez malownicze rozłogi, obfite jeziora, bogato podszyte zielonością brzegi rzek i wybujałą roślinność. Drogi wysadzone przeważnie drzewami. Szosy, łączące miasta i miasteczka, są urozmaicone przez farmy, rozrzucone co pewien czas, w głębi ogrodów, z puszką do listów przybitą na słupie u brzegu szosy — szczegół dla nas godny zanotowania również. Wiejska poczta farmowa numeruje się liczbą drogi i liczbą skrzynki — i w zakresie swoich kompetencyj pocztowych, działa z całą sprawnością. Co innego, jednak, że biura adresowe po miastach tam nie są znane. O ile więc ktoś, przeprowadzając się, nie zostawi nowego adresu na poczcie lub dawnem mieszkaniu — list zostanie zwrócony nadawcy. Olbrzymia ilość listów nieodebranych pochodzi z Polski, i jest ogłaszana co czas pewien przez zarząd poczty w miejscowych polskich dziennikach, z małym zresztą wynikiem. Dzieje się to skutkiem niestosowania się naszych rodaków do przepisów adresowych, i zwłaszcza dzięki nielitościwemu przękręcaniu angielszczyzny przez korespondentów z Koziej Wólki czy Gawronowa.



Farma Adolfa Wollenhancra w Bay Shore (Long Island).

* * *

Główna ulica miasteczka pod kątem prostym przechodzi w szosę, na której pierwszą farmą jesteśmy my. To— już wieś, jakkolwiek nie mamy ani kwadransu drogi do plaży. Wszystko jest inaczej. Dokoła przestrzeń. Zielona ściana orzechowych drzew za-

słania nam bardzo ciekawy widok na miasteczko. Za tą ścianą pole kukurydzy, wśród kukurydzy ule, jabłonie i grusze. W środku zielona murawa, a na niej dom z galeryjką i piąterkiem, na otwartej przestrzeni. Obok — grupa starych drzew i zawieszone sposobem amerykańskim, ławki ogrodowe na ruchomej platformie tuż nad ziemią, tak że się siedzi wygodnie i zlekka się buja. Za domem murowany budynek z garażem, stodołą i oborą w jednej osobie, a za tem wszystkiem -- ogromny ogród owocowy, jako że jest to pas, pielęgnujący tę branżę natury. Między domem a ogrodem — pierwotny, dziki, porośnięty krzakami, chwaścidłami i niezapominajkami jar ze strumykiem na dnie, jakaś prymitywna kładka na kamykach i wogóle idylla. Żeby nie to, że szosą obok kolebacza, za drzwiami, raz po raz furczą automobile i śmigają cykliści, znów możnaby myśleć, że to głęboka wieś. A to jest może dwadzieścia mórg, a może mniej wśród najludniejszej okolicy. Z piąterka widać już inny czerwony dach i galeryjkę w ogrodzie: sąsiad. A wieczorami, z rewolucyjnych pieśni rosyjskich, o żargonowym akcencie, jakie dolatują po rosie na zmiany z krzykliwą dysputą i płaczem dzieci, można się domyślić, że po drugiej stronie szosy zażywa wczasów jakaś mojżeszorodna idylla. Słychać ich, ale nie widać — tak jakoś samodzielnie, zacisznie i przytulnie ulokowała się farma za swoją kukurydzą i orzechami. I jest to typowe: chęć i umiejętność uchronienia swego „home" od cudzego oka i wtargnięcia. Kiedyś, na pytanie, dlaczego angielszczyzna uznaje w stosunkach nawet zażyłych raczej nazwisko jak imię (małżonkowie, mówiąc o sobie do osoby trzeciej, powiedzą: Mr. X, czy m-ss Y), odpowiedziano nam:

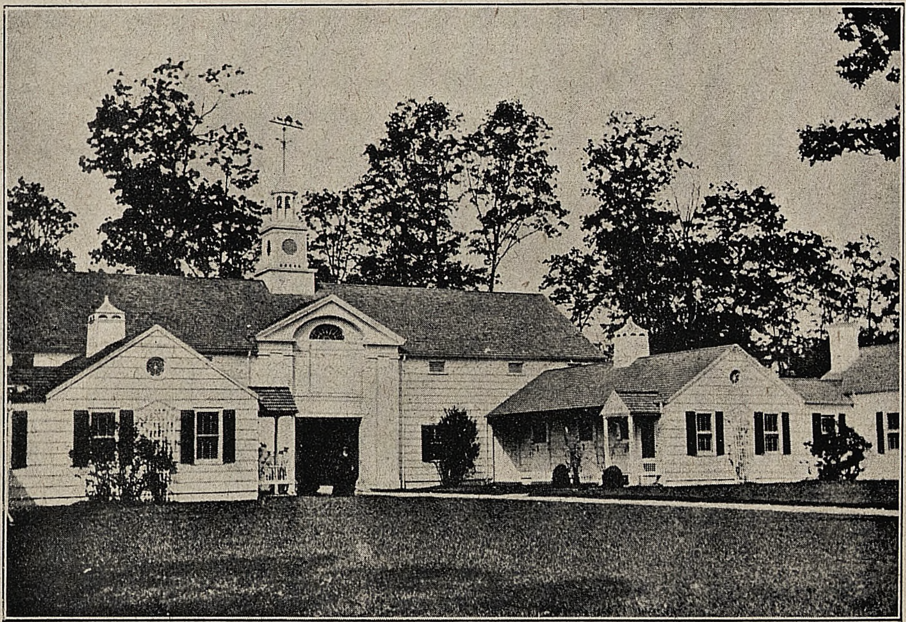
— Sądzimy, że przez zewnętrzną formalność zwrotów, da się utrzymać łatwiej na dystans osoby, lubiące wcisnąć się w czyjeś zupełnie osobiste sprawy.

Powiedziała to nam nasza gospodyni na tej właśnie farmie. Kobieta, która sama doiła krowę, karmiła wieprzka i sprzątała pokoje, a po podwieczorku wsiadała w automobil—mogła, ze swoją ślicznie uczesaną siwą głową, młodą twarzą i sylwetką damy, pojechać nim nie tylko do miasteczka po zakupy, ale i do Europy po patent na przynależność swoją do automobilu nawet znacznie większą niż niejedna z europejskich promenadowych i salonowych lwic.

Wogóle, kultura tych ludzi jest ciekawa i odrębna. Kiedyśmy po raz pierwszy, przybywając na farmę, ujrzeli naszego przyszłego gospodarza, zdziwiliśmy się. Wzięliśmy go bowiem za---robotnika. Człowiek, który wyniknął ku nam gdzieś z głębin ogrodu z motyką w ręce, był młody jeszcze, opalony na bronzowo i ubrany w robotnicze „overalles". Kiedyśmy się znaleźli z nim razem przy obiedzie, zdziwiliśmy się dużo więcej, gdyż będąc bezwątpienia człowiekiem prostym, miał przy stole sposób zachowania, jedzenia, nabierania potraw i t. d. absolutnie towarzyski. Kiedyśmy się z nim poznali bliżej, zdziwiliśmy się po raz trzeci i już ostatecznie, przekonawszy się naocznie, że człowiek, który sam jest robotnikiem, rozrzucającym gnój i orzącym ziemię, może zarazem interesować się sprawą Alzacji i Lotaryngji, mieć swoje zdanie w sprawie eksploatacji kopalń rządowych, jesienią zaś, oddawszy krowę na przechowanie sąsiadowi, a dom zamknąwszy na kłódkę, wyjechać na kilkutygodniową wilegjaturę autem do Kalifornji i Floridy. To był naprawdę, jego własnemi żartobliwemi słowami, „dobry, stary, amerykański gatunek!"

Zadziwiającą dla nas i ciekawą w zestawieniu ze specjalizacją pracownika miejskiego w Ameryce była wszechstronność umiejętności naszych gospodarzy. Ci ludzie ze wszystkiem dawali sobie radę sami. Reparacja pieca i malowanie podłóg, szycie ubrań i naprawa dachówki, budowanie studni lub założenie elektryczności — wszystkie te rzeczy nie zdawały się ich kłopotać ani dziwić.

— Nauczyliśmy się!...—mówił gospodarz żartobliwie. — Człowiek nie zawsze mieszka kwadrans od miasta. A zresztą, potrafią inni, dlaczego nie mam potrafić ja?



Farma G. F. Brewster'a w Brookville (Long Island).

To bystre i bujne tempo życia odbija się na inteligencji wszystkich klas, nie wykluczając widocznie i wsi. Interesowaliśmy się lekturą naszych farmerów: przeciętne tygodniki i miesięczniki i coś specjalnie miejscowego o ogrodnictwie. Wiadomości ich o świecie są urobione pod tym kątem wydawniczo-perjodycznych „magazines", omawiających sprawy całego świata w lekkostrawnych dwuszpaltówkach. Natomiast amerykańskie życie znają wszechstronnie i interesują się niem gorąco. Są też prawdziwymi obywatelami i patrjotami w tym sensie, że każdy rozumie odpowiedzialność własną w ustroju całości

* * *

Nie mogło nas nie zająć, w jaki sposób dwoje ludzi, lat około czterdziestu każde, doszło dobrobytu czasów obecnych. Wytłumaczyli to chętnie z zaznaczeniem, że jest to zresztą pospolita droga. Pobrali się młodo — Ameryka się wogóle pobiera młodo — i zarobili sobie każde na swoim fachu, paręset dolarów na książeczkę. Potem przyjechali tu, gdzie ziemia była tańsza, niż w ich stronach, i nabyli tę farmę na długoterminowe spłaty. Nabycie własności na spłaty jest wogóle w Ameryce popularne i umożliwia nabyć własny dom lub ziemię względnie zupełnie niezamożnym ludziom, którzy jednak muszą być energiczni i wytrwali dla uiszczenia się z pokaźnego ciężaru spłat kosztem codziennych skromnych oszczędności. — Po nabyciu dźwignęli stopniowo dom z 3-ch pokoi—na dwanaście, i rozszerzyli ogród, główne źródło dochodów. Dom został rozszerzony bynajmniej nie gwoli parady, tylko jako letnisko, które doskonale opłacało przez kilka letnich miesięcy utrzymanie zimowe. Na sezon letni pozwalali sobie na zbytek: ona wynajmowała służącą, on— robotnika. Zajęło nas, ilu musi mieć letników, aby opłacic koszta, dając jednocześnie radę swemu gospodarstwu i stołowaniu? Pokazało się, że na owe dziesięć odnajmowanych pokojów — iście amerykańskich kabin sypialnych, prócz jadalni dużej i wygodnej — wypadało współcześnie do ośmnastu osób, a przez lato liczba ta przewijała się około sześciu razy. Biorąc pod uwagę, że od osoby liczyła około 10 dolarów tygodniowo, wypadał jej za lato ładny tysiąc.

— I to jest mój osobisty dorobek i praca! Mąż ma ogród. Dorobek, owszem dobry, ale i praca ciężka. Wszystko musi być zrobione i obliczone do minuty. Jeżeli nie podam śniadania punkt ósma, służąca nie zdąży sprzątnąć pokoi do dziesiątej i na pierwszą nie byłoby obiadu. Gdybym o drugiej nie była wolna, nie miałabym absolutnie czasu zdążyć do miasteczka po zakupy i naszykować podwieczorek na czwartą. Gdybyśmy o piątej obie już nie pozmywały, moje biedne indyczęta nie wyrosłyby nigdy na indyki, a krowa by ryczała jak gramofon. Muszę przez ten czas rzucić okiem, komu i jaka dzieje się krzywda. Na siódmą musimy podać gorącą kolację, a kiedy około dziewiątej mam pół godzinki czasu, aby siąść w auto i pojechać z mężem trochę odetchnąć powietrzem, to jest dzień szczęśliwy. Nie ten, w którym trzeba prać bieliznę stołową lub gościnną, smażyć powidła lub narządzać marynaty. Czy nie uważacie państwo, że zarabiam uczciwie swój tysiąc za lato? Napracuje się człowiek, jak murzyn. Za to w jesieni używamy. Owoce sprzedane, dom opatrzony, krowa idzie na pensjonat do sąsiadki, a ja się robię na damę. Manicure po rondlach, kombinacje toaletowe w miarę funduszów, i automobil w robocie. Wsiadamy z moim starym w auto i jedziemy sobie na jaki miesiąc do Kalifornji. I mówiąc szczerze, lubię swoje życie! Ciężko bo ciężko, ale i wypocząć można z komfortem. Czy państwo nie sądzą?

Koniec.



Scherl's *Studentki Amerykanki w roli robotnic, ładujących na okręt ubranka dla dzieci europejskich, przebywających w ochronkach.*

Na usługach pani domu

Z zagadnień organizacji gospodarstwa kobiecego.

Jeszcze na ławie szkolnej wojenne pokolenie kobiet, nie chcące dać się skuć w kajdany powszedniości, marzy o działalności wybitnej na różnych polach, odrzucając szare, od wieków dla nich przeznaczone obowiązki, jako zbyt zacieśniające horyzont i pozbawione polotu. Wszak wszelkie drogi stoją otworem: uniwersytety, parlament, urzędy państwowe i stanowiska prywatne. Nie chcą więc powiększać kadr żon „tradycyjnych", lecz własnem światłem zabłysnąć! Wyruszają na zdobycie świata!

Jedne krócej lub dłużej używają beztroskiej zabawy do chwili utworzenia własnej rodziny, inne poświęcają się studjom, inne zaś podejmują się wcześnie pracy zarobkowej. Lecz wszystkie tak różne zadania stawiają rzesze kobiece przed tem samem zagadnieniem: każda z nich jak zamężna, kobieta kształcąca się lub zarobkująca, czy wreszcie hojniej przez los obdarzona i o powszednim chlebie myśleć nie potrzebująca dochodzi do wniosku, że obejść się bez home'u („dom", „ognisko domowe") nie może. Że ani studja, ani dociekania naukowe, ani praca biurowa i związane z nią zagadnienia ekonomiczne, prawne lub państwowe, ani podróże i poznawanie innych krajów, ani przyjemności i obowiązki życia towarzyskiego, ani nawet najbardziej pociągająca z prac — działalność społeczna lub filantropijna, nie dają kompletnego zadowolenia, o ile kobieta nie posiada home'u.

Czemże jest ów home? To drobny punkt świata, w którym skupiamy wszystko co nam drogie, skąd w świat idziemy wcielać w czyny wyniesione zeń ideały, gdzie siły czerpiemy na walkę życia i gdzie szukamy ukojenia lub uciszenia po wielkiem zmęczeniu.

To też nie wolno kobiecie dusić w sobie potrzeby stworzenia takiego home'u! Nie wolno bezkarnie marnować zamiłowań, któremi los ją obdarza. Podział zadań i uzdolnień, tak cudownie pokierowany przez samą naturę, daje kobiecie niewyczerpane zasoby miłości, poświęcenia i intuicji, wysokie poczucie etyki i piękna, dużo wyrozumiałości, stwarzając ją tem samem do jej wszechstronnej roli. Z pośród licznych zadań kobiety, jakiemi są: jej rola nie tylko jako żony, lecz przyjaciela, towarzysza, często współpracownika, rozsądnej matki, cierpliwej bony, wykształconego i bacznie śledzącego rozwój i charakter dziecka pedagoga, praktycznej zarządzającej domem, — najbardziej zasadniczem i powszechnem zadaniem jest tworzenie home'u, którego nie powinna się nawet wyrzekać ta, która nie posiada własnej rodziny. Tymczasem wobec coraz trudniejszych warunków obecnych maleje liczba „świętych Zniczów" domowych oraz jego idealnych strażniczek.

Home jest niezaprzeczenie królestwem kobiety; tu panuje ona niepodzielnie. Z rozmieszczenia pokoi, ustawienia mebli, jakości służby i innych ledwo dostrzegalnych drobiazgów można wnioskować o jej poczuciu odpowiedzialności, rodzaju inteligencji, zainteresowaniach i upodobaniach.

Jakiż nastrój panuje w home'ie? Zasadniczym jego rysem jest harmonja i pogoda. Tu wszystko się śmieje, cieszy z samego faktu istnienia! „K e e p S m i l i n g!" (nie przestawaj się uśmiechać) jest naczelną dewizą home'u, wielkiemi zgłoskami wypisaną w sercu każdego z jego członków.

Obecne trudne warunki nie zwalniają kobiety ani od tworzenia home'u ani od podtrzymywania w nim zdrowej atmosfery, z której każdy wychodziłby z nowemi siłami. Utrzymanie równowagi i jasności wymaga ciągłych starań. Nie jest zasługą pani domu gdy słońce świeci w sercach drogich nam osób i wywołuje nastrój pogodny; lecz gdy grozi burza kobieta winna użyć całego swego wpływu na rozproszenie chmur, a przynajmniej na opromienienie ich blaskiem słońca, gdyż nieszczęśliwe miny i upadek sił nigdy nie zmieniły przykrego stanu rzeczy. Tem większa zasługa wywoływania uśmiechów im więcej łez wokoło!

Trudności materjalne, mieszkaniowe, kwestja służby, konieczność utrzymywania kontaktu z ludźmi, a często spotykająca się niemożność sprostania obowiązkom towarzyskim z wyżej wymienionych powodów — są to główne warunki coraz częściej oddalające realizację tworzenia prawdziwego home'u w jego najlepszem znaczeniu; podsuwają one pytanie jak temu wszystkiemu zaradzić można. Kobieta śledzi z zazdrością postępy i ułatwienia pracy w różnych dziedzinach, obejmujące coraz szersze koła: fabryki, sklepy, warsztaty rolne, biura nawet. Tylko jej własne pole odłogiem leży, tylko w jej pracy żadna zmiana nie zaszła!

Oto wreszcie i warsztat kobiecy zostaje objęty t. zw. organizacją pracy, która, upraszczając niektóre zadania, ma dać kobiecie czas na wypoczynek i rozrywkę, zadowolenie z użycia zarówno rąk jak umysłu w pracy domowej i ma stać się ostrogą dla dalszych ulepszeń w tej dziedzinie, aby jak najwięcej było kobiet szczęśliwych i domów radosnych. Organizacja pracy domowej, o której mówić będziemy obszernie następnym razem, to

n i e więcej rutyny w codziennem życiu, to tylko nieco ułatwień, dostosowania do warunków, trochę więcej ładu, systemu i myśli w domu.

Spójrzmy teraz na kraj, który rzucił hasło organizowania wszelkiej pracy, a więc i tej w naszem państewku. Potrzeba takiej organizacji musiała dać się odczuć przedewszystkiem tam, gdzie służba domowa jest prawie niedostępna. Bo oto Stany Zjednoczone, owa kraina mlekiem i miodem płynąca, zaszczepiła wszystkim ludzkim istotom dążenie doskonalenia się, rozszerzania swego horyzontu i widoków życiowych, nie poprzestawania na tem co ojce miały, szukania nowych dróg do osiągnięcia wszystkiego, co siły i rozum zdobyć mogą.

Trzymanie służby jest tam dostępne tylko prawdziwym bogaczom. Służba tych amerykańskich Krezusów w niczem nie przypomina ani typu Janowych z czerwoną tłustą twarzą i zamożną figurą, wymownie świadczącą o funkcjach jej powierzonych, ani młodszych i zgrabniejszych, często pretensjonalnych, Ceś i Lodzi miejskich, lub Staś „prosto ze wsi". Typ pierwszy odznacza się bezwzględną pogardą dla „pisanego", gdyż tak właśnie w onej naturalnej prostocie żyli i umierali ojce i dziady i „ani lepiej żyć, ani lżej umierać pisane jeszcze nikomu nie pomogło". Panie domu pamiętają liczne qui pro quo, zawdzięczane powyższej pogardzie dla nauki. Lodzie czytać i pisać umieją niezgorzej. Nie będę wyliczać znanych dobrze trudności, jakie panie domu mają zarówno z konserwatywnemi chustkowemi Janowemi, jak z „kapeluszowemi" Lodziami, które na tyle liznęły cywilizacji, że rozbudziły w sobie drzemiące pożądania i zazdrość. Wspólną cechą obu typów jest niedostateczna staranność, nietrwała życzliwość i przeważnie kompletny brak znajomości fachu.

Służba w Stanach Zjednoczonych nosi charakter urzędników domowych, płatnych nie gorzej, a często lepiej od manipulacyjnych [1]) sił biurowych. Taka np. Katy urządza sobie cacko z przeznaczonego dla niej pokoju, bierze codziennie kąpiel w łazience służbowej (państwo mają drugą, różniącą się tylko wykwintem), ubiera się równie ładnie jak jej pani, czyta książki i gazety, chodzi do tych samych kinematografów i teatrów co jej państwo. Umawia się ją jak urzędniczkę: wymienia dokładnie obowiązki, oznacza godziny pracy i odpoczynku, omawia wynagrodzenie. Katy pilnuje się godzin najdokładniej, wywiązuje się wzorowo z wszelkich podjętych przez się zadań, ale niema mowy o nałożenie na nią jakiegoś nowego, choćby przelotnego, obowiązku.

¹) Określenie urzędników, do których z urzędu nie należy myślenie, lecz praca fizyczna, np. pisanie na maszynie i t. p. Stąd niezrównany typ nieodpowiedzialnych pracowników, którym stanowisko odbiera wszelkie pretensje do rozumowania.

Owa doskonale przygotowana urzędniczka do prac domowych jest dość kosztowna, to też wiele rodzin umawia takie fachowe „cudo" tylko na parę godzin dziennie. To urządzenie jest jednak również niedostępnem dla średnio zamożnej rodziny i mogą sobie na to pozwolić tylko ci, których dochód waha się koło 1.000 dolarów miesięcznie. Rodziny o przeciętnym dochodzie obywają się zupełnie bez służby. W Ameryce przybywa więc do licznych zadań kobiecych obowiązek sprzątania i gotowania. Wprost wierzyć się nie chce, że według przedwojennych danych Amerykańskiej Giełdy Pracy [2]), tylko 1,677,150 rodzin mogło sobie pozwolić na pomocnicze siły w domu, podczas gdy 19,023,952 rodziny musiało się obywać bez służby. Czyli, że w tej „Ziemi Obiecanej", gdzie 20°/₀ rodzin posiadało samochody, tylko 8°/₀ stać było na zbytek trzymania służby.

Amerykanin wie, że towarzyszka jego życia pracuje z całych sił w domu, podczas gdy on poza domem zarabia. Rozumie, że od wysiłków obojga w równej mierze ich dobrobyt zależy, a chcąc swej żonie ulżyć fizycznego zmęczenia, przychodzi jej codzień z pomocą. Zabawnym jest dla Europejczyków widok starszych i młodszych mężczyzn, zmywających naczynia, noszących dzieci na rękach, lub wożących je w wózkach po ogrodach i skwerach bez fałszywego wstydu, że spełniają jakiś poniżający obowiązek, pozostawiony kobiecie.

Budownictwo, przemysł i handel prześcigają się wzajemnie w upraszczaniu obowiązków kobiety.

W najbiedniejszych nawet dzielnicach miejskich woda gorąca znajduje się w rurach całą dobę. Każde mieszkanie jest zaopatrzone w kaloryfery, niezbędne dla rodzin bez służby. Telefon każdy posiada i tą drogą, u nas tak jeszcze niewykorzystaną dla gospodarstwa domowego, wydawać można polecenia składom kolonjalnym, piekarniom, itd., które natychmiast przysyłają żądane artykuły. Produkty tak przysłane są zawsze w najlepszym gatunku, a reklamacje najżyczliwiej uwzględniane, gdyż kupiec rozumie, że tracąc zaufanie klienta i jego samego traci. Pod drzwiami na schodach czekają rano gazety i butelki z mlekiem. Czekają tu one nietknięte od umówionej godziny, przywożone bez spóźnienia. Rachunki mleczarni, piekarni i innych dostawców, jak również rachunki za gaz, elektryczność i telefon bywają przesyłane pocztą miesięcznie lub tygodniowo i są regulowane tąż drogą (czekami lub przekazami) dla uniknięcia straty czasu.

Naturalnie panie domu nie poprzestają na telefonicznych zamówieniach, lecz robią inspekcję podaży rynkowej od czasu do czasu. Niektóre zaś wolą stale same kupować. Lecz w Ameryce, o dzi-

²) Chr. Frederick: The New Housekeeping. Doubleday, Page & Co. New York, 1924.



Normalny stan ruchu ulicznego na ulicy Fifth Avenue (5-ta avenue) w Nowym Jorku. Jest to ulica miljonerów i arystokracji amerykańskiej. Zdjęcia dokonano w chwili wstrzymania ruchu ceiem przepuszczenia pojazdów i przechodniów z poprzecznych ulic.

wo, jak na kraj demokratyczny! nie jest zupełnie przyjęte chodzenie z ładunkiem paczek, które sklepy same odsyłają; przejście zaś np. z paczką, owiniętą w najczystszą choćby gazetę, daje świadectwo braku zasadniczego poczucia estetyki, higjeny i przyzwoitości!

Gotowanie jest bardzo uproszczone. Przysłane mięso lub drób może być na żądanie odpowiednio przygotowane i pani domu zostawia się tylko najmniej uciążliwą robotę: pieczenie lub smażenie. Bardzo rozpowszechnione użycie mięs, jarzyn, i owoców w konserwach upraszcza niezmiernie przyrządzanie pokarmów. Dogodne piece gazowe, nie zanieczyszczają kuchni i zawsze do pracy gotowe, rozkład kuchni, jej białe sprzęty i do najwyższego stopnia wygody dostosowane zmywalnie porcelanowe, nadają temu, u nas smętnemu, pomieszczeniu, nastrój pogody. Kuchnia to salon swego rodzaju, bo w razie nagłego najazdu gości staje się terenem życia towarzyskiego. Wśród śmiechów i zabawy przygotowuje się wspaniała kolacja nieraz z wielu potraw i dla licznej rzeszy przyrządzona, ani mniej smaczna, ani mniej pożądana po wspólnej pracy.

Czyszczenie okien i inne ciężkie roboty zostają wykonywane przez siły najemne. Mycie okien paropokojowego mieszkania przez specjalistów z odpowiedniemi przyrządami trwa nie dłużej, niż umycie jednego okna przez niechętnie i nieumiejętnie biorącą się do tego naszą służbę.

Czyszczenie butów jest fachem samym przez się i nie wchodzi w zakres prac domowych. Nawet w najlepszych hotelach nie należy to do obowiązków służby i wystawione na korytarzu przez Europejczyka buty świadczą o jego nieznajomości zwyczajów amerykańskich i zdobywają mu tytuł „green-horn'a" (zółto-dzioba). Czyszczenie butów, doprowadzone w Stanach Zjednoczonych do ta-

kiej doskonałości, że najzwyklejsza skóra nabiera blasku oślepiającego, jest niemal sztuką, uprawianą z artyzmem przez specjalistów. Taki „shoe-shiner" posiada kilka flaszek różnokolorowych płynów i parę flanel rozmaitej grubości. Zaczyna swą karjerę, chodząc po biurach i sklepach z podstawką, jakie widujemy u szewców i klęcząc czyści obuwie każdego chętnego za 10 centów z małym napiwkiem. Gdy w pierze obrośnie wystawia na ulicy pod wielkim parasolem 1, 2 lub 3 potężne fotele, na które się wchodzi po stopniach. Na podstawkach, przeznaczonych na czyszczenie butów, opiera się nogi kolejno i shoe-shiner bierze się do roboty, ledwo się schylając. Takich foteli jest mnóstwo, gdyż ten sposób czyszczenia butów jest bez konkurencji, a Amerykanin musi mieć wszystko świeże, czyste i błyszczące.

Uroczystość Wielkiego Prania z odpowiednim nastrojem nie bywa obchodzona w kraju największych wielkości, gdyż pranie odbywa się przeważnie co 2 tygodnie. Dla wygody mieszkańców każdy dom posiada odpowiednio urządzone wspólne pralnie. Wielkie rozpowszechnienie jedwabi w osobistym użytku, często źle tłumaczone, jest koniecznością wobec łatwości prania, co bywa często uskuteczniane przez same panie.

Windy istnieją w każdym niemal domu, oddzielnie dla głównego i służbowego wejścia. Naznaczone numerem mieszkania blaszane kosze do śmieci bywają rano wystawiane za drzwiami i opróżniane przez dozorcę. W starych niższych domach windy istnieją przynajmniej dla zwożenia śmieci.

Poza zaletami Amerykanki, jako towarzyszki i zarządzającej domem, niepodobna ominąć jej roli jako matki. Zakorzeniło się u nas błędne mniemanie, że ta ładna, strojna, wesoła osóbka nie posiada tych najwyższych kwalifikacyj kobiecych. Tak jednak nie jest. Amerykanka jest troskliwą matką, a choć wcześnie oddaje swe dziecko do freblówki, a potem do szkoły, czyni to w przeświadczeniu, że odpowiednie wiekowi towarzystwo i wyspecjalizowana opieka pedagogów lepiej wpłynie na rozwój duszy i umysłu, niż najlepsze, lecz często nieumiejętne lub niekonsekwentne kierownictwo matki.

Podczas gdy nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz w Anglji, a nawet Niemczech różne wynalazki przychodzą z coraz wydatniejszą pomocą rzeszom kobiecym, u nas gospodarstwo trzyma się tylko „tradycją". Każde pokolenie wchodzących w życie kobiet przywiązane jest niewolniczo do wspomnień z rodzicielskiego domu i stosuje te same metody do własnego warsztatu pracy. Pewnie, że oparcie się na przyjętych oddawna systemach prowadzenia gospodarstwa jest najłatwiejszem wyjściem z sytuacji w razie braku przygotowania lub zdolności w zarządzaniu domem, jednak systemu pracy zastąpić nie może. To też mężowie z pewną dozą słuszności wyrażają się często z lekceważeniem o terenie naszej pracy domowej i wydajności naszych usiłowań. Każdy majster, wykwalifikowany robotnik, stenograf czy maszynistka muszą mieć pewne fachowe przygotowanie oraz praktykę w obranym przez siebie dziale pracy. Młoda zaś kobieta w chwili spełnienia się jej marzeń, związanych ze stworzeniem i posiadaniem własnego home'u, nie ma przeważnie pojęcia jak tym domem zarządzić. Bo jeśli nawet przeszła t. zw. kurs gospodarstwa w szkole, to w większości wypadków nabyte wiadomości, jak np. o sposobach zamiatania, sztucznem dokarmianiu dzieci, rzadko przydać się jej mogły w życiu. Jedynem źródłem wiedzy gospodarczej są wtedy rady starszego pokolenia, które, po dłuższej i często dotkliwej praktyce, doszło do pewnych dobrych rezultatów. Lecz i u tych, nieraz świetnych gospodyń wspomnienie systemów dawniej stosowanych odgrywa rolę przemożną. Takie „niebywałe okazje" jak np. Wielkanocne porządki i inne uroczystości domowe wchodzą niejako w krew dorastających pokoleń i odbywają się stale sposobem „tradycyjnym".

Czy zwiedzał kto domy budowane obecnie przez rozmaite zrzeszenia i kooperatywy na różnych krańcach miast naszych? Są tam mieszkania 5-io pokojowe bez śpiżarni, inne ze śpiżarniami tak małemi i bez uwzględnienia ich celu zbudowanemi, że każdej pani domu ręce opadają na ich widok. Pokoje dla służby tak mikroskopijne i niehigjeniczne, że wyobrazić sobie trudno: łóżko można wstawić tylko przy najdłuższej ścianie z oknem, tak krótkiej, że mogłoby się tu zmieścić chyba jakieś „specjalne łóżko służbowe" o stopę mniejsze od długości łóżek przez rząd przepisanych dla robotników, emigrantów, i t. d.; o metr od łóżka, po drugiej jego stronie znajduje się piec. Racjonalność tego urządzenia mówi sama za siebie! Ledwo wtłoczy się do pokoju szafka i krzesło, a o stole lub umywalce mowy być nie może. W naszych obecnych warunkach rodzina z dziećmi (a trudno przypuścić, żeby bezdzietne rodziny wyruszały na tak odległe od centrum części miasta i płaciły niesłychanie wysoki czynsz roczny) nie może się przeważnie obejść bez drugiej służącej. Ale gdzie ją pomieścić? Wobec braku dachu nad głową oraz odpowiednich funduszy powstają obecnie setki domów, których niewygody mścić się będą latami na tysiącach rodzin polskich. Żadne względy materjalne nie usprawiedliwiają jednak wznoszenia takich domów, dobitnie świadczących o braku wpływu i głosu kobiety w dziedzinie ją najbardziej obchodzącej.

Zaznajomienie się kobiety z ułatwieniami, dostarczanemi przez przemysł obcy, musi wywołać zainteresowanie się sfer odpowiednich, żądanie zaś kobiety dostarczenia jej ostatnich technicznych udogodnień odezwie się niezawodnie echem w kołach powołanych.

Może ktoś zarzucić bezcelowość przytaczania ułatwień, z których korzystają kobiety w innych krajach, dowodząc, że ten obraz może tylko pogłębić żal ogółu kobiet polskich, pozbawionych tych udogodnień, nie pomagając im natomiast wcale w powiększeniu wydajności ich pracy.

Ale czyż nie łatwiej dążyć do realnych wyników, wypróbowanych gdzie indziej, niż nie wiedzieć gdzie, co i jak udoskonalać? Czy zresztą nasz ogół zarówno kobiet, jak mężczyzn zdaje sobie sprawę z możliwości doprowadzenia gospodarstwa kobiecego do różnych uproszczeń oraz z bezwzględnej konieczności zastosowania wypróbowanych metod pracy i do tej dziedziny? Oczywiście, niema mowy o niewolniczem stosowaniu poszczególnych przyjętych obecnie w Ameryce lub innych krajach metod i urządzeń, gdyż nie chodzi o naśladownictwo czysto zewnętrzne, lecz jedynie o wprowadzenie wypróbowanego systemu, który winien się rozwijać stopniowo, przystosowując się do konkretnych, u nas panujących warunków.

Na całym świecie ścierają się potęgi ekonomiczne, czyż więc zgnieść się damy przez narodowy obskurantyzm, niechęć korzystania z cudzych doświadczeń, obawę stosowania zbyt oślepiających udogodnień na naszym gruncie? Tu niema chwili do stracenia, bo wszak prawie całe bogactwo narodu w naszych jest rękach! Dziś jeszcze każda z nas w swoje państewko spojrzeć musi, spostrzec każdy szczegół wadliwy, zbadać go i natychmiast aplikować lekarstwo.

W następnych artykułach będziemy omawiali „organizację pracy domowej". Podzielimy ją na 2 części, z których pierwsza, wewnętrzna, zasadza się na wprowadzeniu jak najdalej idących uproszczeń, rozplanowania zajęć i jak najlepszego zastosowania podawanych wskazówek, druga zaś obejmuje uwzględniającą potrzeby kobiety, a więc organizację przemysłu i handlu, sprawę racjonalnego budownictwa, ułatwienia finansowe, dostosowanie ustawodawstwa i warunki moralne.

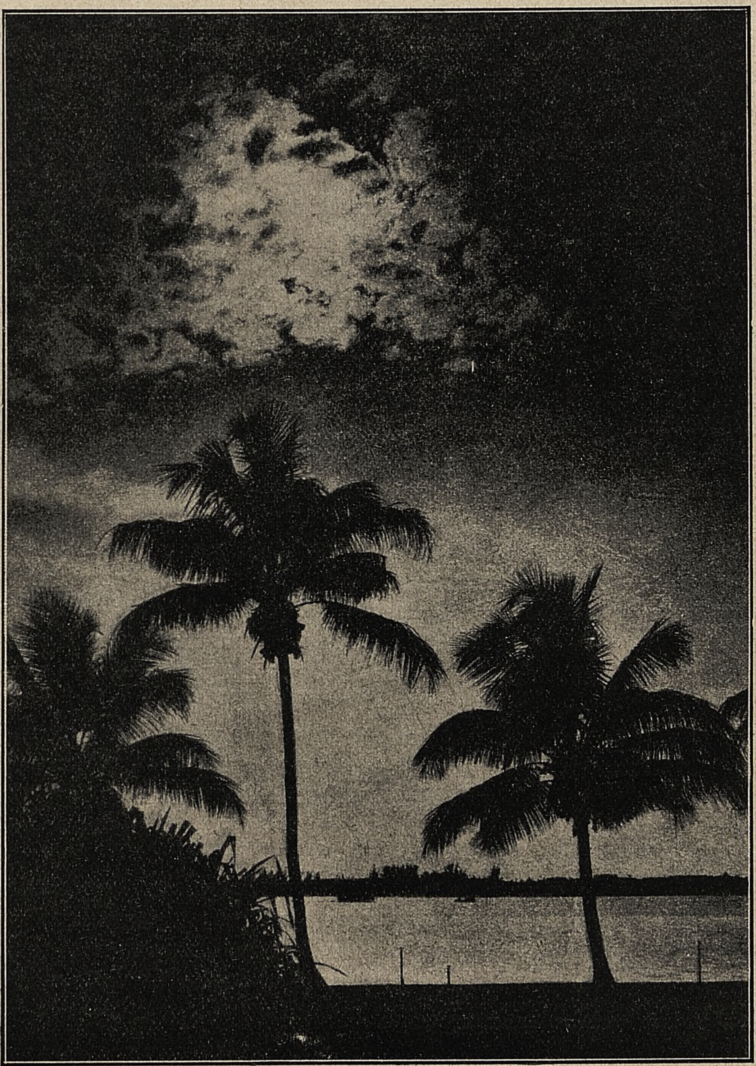
Organizacja wewnętrzna da się zastosować każdej chwili w każdem gospodarstwie, to też o niej mówić w pierwszym rzędzie będziemy. Nie można jednak przemilczeć faktu, że łączy się ona niejednokrotnie z organizacją zewnętrzną, którą więc również jak najrychlej podnieść należy wspólnemi siłami kobiety i całego społeczeństwa.

Gdy zaś wszyscy złożymy należną daninę usiłowaniom stworzenia idealnego home'u, będziemy mogli spoglądać ze spokojem na wyrastające w poczuciu ładu, oszczędności i pogody pokolenia, pełne słońca w duszy oraz wiary w nieustanny postęp twórczości i pracy ludzkiej we wszelkich dziedzinach.

Marja Romanowa.

JEZIORO WORTH PRZY ŚWIETLE KSIĘŻYCA.

Widoczek z Florydy.



Ameryka może sobie pozwolić na wszystko. Poważny i zapracowany byznesmen oraz jego wiecznie młoda „better half" (co znaczy „lepsza połowa", jak Amerykanin nazywa swą małżonkę) znudzili się już Europą i jej kurortami. Zresztą nie zawsze pozwala im czas na dalekie podróże zamorskie. Postanowili więc, że muszą mieć u siebie w domu najpiękniejsze wybrzeża morza Śródziemnego, swoją własną francuską i włoską Riwjerę. W tempie iście amerykańskiem przeistaczają teraz podzwrotnikowe malaryjne moczary Florydy w cudowne miejscowości, odpowiadające wszelkim warunkom zdrowotności, higjeny i praktycznego komfortu amerykańskiego. Takie urocze zakątki nowej amerykańskiej Riwjery, jak Palm Beach i Miami, cieszą się nie mniejszym rozgłosem niż europejskie Nicea, Cannes lub Biarritz.

Drogi powodzenia

Wskazówki przy wyborze zawodu

Wszystkie już prawie narody europejskie stosują u siebie naukową organizację pracy oraz metody badań psychotechnicznych, mających na celu dążność do idealnego i racjonalnego doboru ludzi odpowiednich do określonej pracy. „Nowoczesna nauka bowiem przeniknięta jest duchem jak największego umiłowania człowieka i dąży do możliwego uwzględnienia wszystkich warunków, jakie potrzebne są nie tylko do wzmożenia wydajności pracy ludzkiej, ale i do utrzymania atmosfery ładu i zadowolenia całego społeczeństwa i poszczególnych jednostek" — mówił inż. J. Wojciechowski na I Zjeździe Polskiej Naukowej Organizacji (Patrz zeszyt marcowy r. b. „Ameryka—Polska").

Jednak nauka europejska w badaniach swych nie uwzględnia, a przynajmniej w bardzo małym stopniu zwraca uwagę na uzupełnienie ścisłych metod psychotechnicznych, które stanowi w Ameryce specjalną naukę p. n. „Vocational Guidance" — co da się przetłumaczyć jako: „Przewodnictwo przy wyborze powołania". Nauka ta omawia nie poszczególne eksperymenty badające uzdolnienie fachowe, ale przygotowanie moralne do każdego zawodu.

Teoretycy amerykańscy wychodzą z założenia, że życie współczesne wyrugowało z użycia „moralność abstrakcyjną", że każdy zawód stwarza w człowieku odrębne koncepcje moralne, które, posiadając wspólne założenia, w bezpośredniem przeprowadzeniu różnią się jednak bardzo. Istotnie, praktyczne koncepcje moralności życiowej lekarza np. różnią się od koncepcyj inżyniera, te od prawnika i t. d. „Byznesmen" inaczej ujmuje świat zewnętrzny i swe ustosunkowanie do niego, niż np. teoretyk biologji. Poglądy te zmieniają się, wpływa na nie doświadczenie lat, dążność do posuwania się naprzód, rozszerzanie światopoglądu i t. d. T. z. „moral guides" (moralne idee przewodnie) są wytworem najczęściej długich lat życia, zawodów i triumfów życiowych. „Moralność zawodowa" nie dąży do syntezy, która byłaby tylko teoretycznem ćwiczeniem — dąży ona raczej do wydedukowania w poszczególnym zawodzie tych zasad, które w nim życie samo stworzyło. Dąży ona do zaznajomienia poszczególnych ludzi z rezultatami zasad moralnych, zdobytych przez ich poprzedników w danym zakresie, aby ich przygotować moralnie do przezwyciężenia trudności, które napotkają w życiu. Pragnę zaznaczyć, że ponieważ „nic nowego niema pod słońcem", więc i te metody „moralności zawodowej" stosowane były w Europie pod postacią bardzo ostrych zasad moralności, przestrzeganych w średniowiecznych cechach rzemieślniczych, konfraterniach i związkach kupieckich, we współczesnych pojęciach o zadaniu lekarza, urzędnika i t. p. Nigdzie jednak te poglądy nie były usystematyzowane i nie stanowiły metody, bardzo skrupulatnie przeprowadzanej, co jest nowością Ameryki.

„Vocational Guidance" w Ameryce opiera się, jako zasada, na doświadczeniu poprzedników. Młody człowiek np., kończący szkołę średnią, ostatni rok swego pobytu w niej poświęca badaniu swych chęci i zdolności zawodowych.

Po ewentualnem poddaniu się próbom psychotechnicznym i uświadomieniu swych skłonności obiera sobie dany zawód w życiu. Tutaj następuje rola dla działania metod „przewodnictwa moralnego". Pamiętać należy, że podstawową zasadą działania społecznego w Ameryce jest „kontakt indywidualny". Otóż najwybitniejsi i cieszący się ogólnem zaufaniem mężowie, zasłużeni w poszczególnych zawodach, oddają bezinteresownie pewną ilość czasu na „wywiady osobiste", podczas których, szczerze i serdecznie rozmawiając z młodymi ludźmi, dają im rady i wskazówki moralne, zachęty lub przestrogi. Najczęściej konferencje takie odbywają się, oprócz szkół, na terenie różnych organizacyj społecznych, jak Y. M. C. A. i inne. Do bliższego zapoznania się z młodym człowiekiem służy specjalny kwestjonarjusz samo-analizy wypełniony przez niego, oraz opinja szkoły, ewentualnie instytucji. Młody człowiek, pragnący np. być prawnikiem, odbywa cały szereg konferencyj osobistych, bez udziału osób trzecich, z prawnikiem poważnym i uznanym, który wszechstronnie oświetla z nim wszelkie zagadnienia, w zakres zawodu prawnika wchodzące. Pyta go o trudności, napotykane przez niego w życiu, o konflikty natury moralnej, o zasady, któremi on kierował się w życiu, aby dojść do dzisiejszych rezultatów. W ten sposób każdy młody człowiek wchodzi w życie podtrzymywany przez pomoc i radę starszego kolegi — a bardzo często znajomość zadzierzgnięta przy „wywiadzie" przedłuża się ku obustronnemu zadowoleniu i pożytkowi. Taka akcja zwie się „kampanją wyboru powołania życiowego" (Vocational Campaign") i jest przeprowadzona podczas ostatnich dwu lat pobytu w szkole. Analogiczne metody stosuje się obecnie w biurach pośrednictwa pracy, gdzie, oprócz normalnych badań

---

*) Panu Merle Scott'owi podziękowanie za uprzejme udzielenie cennych informacyj składa—Autor.

psychotechnicznych, stosuje się system „wywiadów osobistych". Poważni przemysłowcy, przewodniczący organizacyj robotniczych, udzielają swego czasu na rozmowy bezpośrednie, kierując niedoświadczonemi poglądami młodzieńców. Ma to duże znaczenie również społeczne, stwarzając więź między różnemi warstwami społecznemi, oraz poczucie wzajemnego zaufania i poznania.

Sama nauka „vocational guidance" ma właściwie na celu pomoc w tych działaniach bezpośrednich przez odpowiednie ułożenie i usegregowanie meterjału. Tak np. rozmawiający z młodym człowiekiem zwraca mu uwagę na znaczenie w życiu umiejętności produkcyjnego przyzwyczajania się do danej czynności, dążącego do stałego udoskonalania się a nie bezdusznej rutyny. Przed powzięciem przekonania, że dana czynność będzie wymagała przyzwyczajenia, należy obmyśleć każdy szczegół tej czynności, wziąć pod uwagę wszystkie czynniki, posuwające naprzód przeprowadzaną akcję. Zwróci on uwagę na konieczność codziennego obmyślenia i rewizji swych czynów, zapisywania planów, obmyślania projektów, przewagi myśli nad porywami namiętności i uczuć i t. d. Najważniejszą więc rzeczą jest umiejętność skupiania uwagi, jej koncentracji na oznaczonem polu, nierozpraszania na szczegóły. Należy pamiętać o tem, by nie zaniedbywać stałego rozszerzania światopoglądu, notować wrażenia, segregować je — aby zczasem sięgnąć do gotowych już. Należy obmyśleć swój stosunek do pojęcia „tolerancji" — tego podstawowego kanonu współżycia demokratycznego, wykrzewić wszelkie uprzedzenia i przesądy, aby stanąć wolnym do walki życiowej.

„Vocational guidance" zwraca dużą uwagę na świat uczuć młodego człowieka. Zwraca uwagę na konieczność panowania nad uczuciami, nad unikaniem wybujałej uczuciowości. Podkreśla np. wagę społeczną uczucia sympatji ku innym, co, wywołując oddźwięk, niezwykle pomaga w życiu i na uzewnętrznienie sympatji w postaci uśmiechu. („Uśmiech zwycięża"). Do czynników, wywołujących sympatję u innych, należy dbałość o ogólny wygląd zewnętrzny. Czyste ubranie, świeża bielizna, pogodny wyraz ogolonej twarzy — odrazu zjednywają człowiekowi sympatje bliźnich od pierwszego wejrzenia.

Strzec się stale należy bezprodukcyjności i niecelowości w uczuciach. Uczucia bowiem są siłą motoryczną człowieka, ale winny zawierać się w ramach myśli. Im głębsze i jaśniejsze są myśli — tem głębsze i jaśniejsze są uczucia. Człowiek winien strzec się zmęczenia, które osłabia umysł i usuwa uczucie z pod jego kontroli.

Posiadając swój cel, człowiek może się zdobyć na konsekwentną inicjatywę, która tylko wtedy będzie twórczą, gdy będzie szła po ogólnej wytkniętej linji. Inicjatywa, poza dodatniem znaczeniem dla jednostki, posiada wielkie znaczenie społeczne, gdyż na niej opiera się postęp ludzkości.

Od dzieciństwa człowiek winien uczyć się umiejętności szybkiego decydowania się. Współczesne tempo życia wymaga decyzyj natychmiastowych najczęściej. Człowiek, wiele czasu tracący na powzięcie decyzji, jest zgóry skazany na zagładę. Stałe ćwiczenia woli, umiejętność wyciągania wniosków z drobnych codziennych wrażeń życiowych, samoobserwacja wreszcie — pomagają przy wyrabianiu umiejętności pewnej decyzji.

Silny, zahartowany mężczyzna o wyraźnym celu i wyraźnej woli w życiu, patrzący z uśmiechem na pokusy namiętności — oto ideał człowieka według „Vocational guidance".

Kilka zasad, najbardziej charakterystycznych, które przytoczyłem powyżej, stanowią jedynie część programu zasadniczego „Vocational guidance". W praktycznem przeprowadzeniu jednak zasady powyższe nie występują tak jasno, a są przystosowane bezpośrednio do typu jednostki, zgodnie z zasadą „kontaktu osobistego".

Młody człowiek, pragnący być np. bankowcem, w toku rozmowy uświadamia sobie konieczność zrównoważonego i skupionego na świat poglądu, oraz nieulegania pokusom, któreby go łatwo mogły stoczyć na drogę nadużyć służbowych. Rozważa konieczność opanowania swej woli w dążeniu do określonego celu, usystematyzowania swego życia intelektualnego, uporządkowania poglądów na swe zadania społeczne i narodowe i t. p.

Pożądanem jest, aby każdy młody człowiek sam dochodził do wniosków — rozmowa i wpływ „przewodników" mają na celu jedynie naprowadzenie go na odpowiednią drogę rozumowania. Stosowana tu jest bardzo często metoda pytań i odpowiedzi, ułożonych w ten sposób, aby jasno do określonego celu prowadziły. Również uważać należy, aby nie wpaść w ton nudnego „kazania", co bardzo może zrazić młodego człowieka i napoić go nieufnością. Ton swobodnej rozmowy, okraszonej humorem, pełnej bezpośrednich wrażeń i obserwacyj życiowych najlepiej wprowadzają na odpowiednią drogę.

Zaznaczyć muszę, że system „Vocational guidance" nie polega na jednorazowej rozmowie — wymaga on długiej obserwacji typu i stałego kontaktu przez dłuższy okres czasu — dopiero wówczas wydać może pozytywne rezultaty.

Kończąc ten pobieżny rzut informacyjny, podkreślam, że metody i poglądy wyżej wyłuszczone nie są specjalnie rewelacyjne, ani też nowe światy tworzące. Nie wszędzie jeszcze, nawet w Ameryce, wprowadzone — stanowią one jedną ze skromnych cegiełek, z których się składa potężny gmach współczesnego, celowo i sprawiedliwie budowanego, społeczeństwa.

St. Centkiewicz.

Jak wędruje w samochodzie benzyna?

Normalny przebieg i niedokładności w dopływie benzyny do silnika samochodowego.

Jeżeli nasz samochód nie chce ruszyć się z miejsca albo staje, to zazwyczaj jest to skutkiem jakiejś niedokładności w układzie dostarczającym silnikowi benzyny lub też przyczyna leży w zapalniku. Gdy jesteście jednak dobrze obeznani z układem doprowadzającym benzynę, to najczęściej odkryjecie sami tego chochlika, czyniącego nam tyle przykrych niespodzianek, i wóz nasz ruszy.

Wiecie już, że cały szereg wybuchów mieszanki złożonej z powietrza i benzyny wewnątrz silnika wytwarza energję, która pędzi samochód.

W większości typów samochodowych benzyna znajduje się w zbiorniku, umieszczonym w tyle wozu. Ponieważ jednak zbiornik ten znajduje się niżej od karburatora, czyli przyrządu, mieszającego benzynę z powietrzem, potrzebnem się staje pewne urządzenie, które podnosiłoby benzynę do poziomu karburatora. Urządzenie to polega zazwyczaj na pewnym systemie próżniowym, w którym działanie pompujące samego silnika zużytkowuje się do wciągania benzyny ze zbiornika do małego zbiorniczka, umieszczonego wyżej pod pokrowcem silnika, zbiorniczek oddaje następnie tę benzynę karburatorowi.

Na załączonej ilustracji widzimy, że od dna zbiornika benzynowego, znajdującego się w tyle wozu, biegnie rurka łącząca go ze zbiorniczkiem próżniowym, umieszczonym za błotnikiem, pod pokrowcem silnika. Ssanie, wywołane przez silnik, wytwarza próżnię w komorze szczytowej tego zbiorniczka. Ciśnienie powietrza, oddziaływające na poziom benzyny w zbiorniku zasilającym, równające się ciśnieniu atmosferycznemu, czyli około 14 funtów na cal kwadratowy, przepycha benzynę przez rurkę zasilającą do części szczytowej zbiorniczka próżniowego. W miarę napełniania się górnej komory zbiorniczka próżniowego podnosi się umieszczony tam wydrążony pływak, który po dojściu do pewnego poziomu przerywa ssanie silnika i jednocześnie otwiera na dnie tej komory zawór klapkowy, przez który benzyna przelewa się do dolnej komory tego próżniowego zbiorniczka.

W czasie działania silnika, powyższa czynność zbiorniczka powtarza się raz za razem, tak iż dolna jego komora jest zawsze napełniona benzyną. Ssące działanie silnika przechodzi z rur wdechowych cylindrów, przez odpowiednią rurkę i zawór ssący, do szczytowej komory zbiorniczka próżniowego.

Benzyna, dostarczona w ten sposób na dno zbiorniczka próżniowego, odpływa siłą własnej ciężkości przez odpowiednią rurkę do karburatora. W samochodach, w których zbiornik benzynowy umieszczony jest pod siedzeniem lub błotnikami, system próżniowy staje się zbytecznym, gdyż benzyna dopływa do karburatora siłą własnego ciążenia, podobnie jak ze zbiorniczka próżniowego w systemie próżniowym.

Istnieje jeszcze inny typ doprowadzania benzyny sposobem próżniowym, a mianowicie taki, w którym zużytkowuje się ssące działanie nie silnika, lecz pompki do smaru. W niektórych kosztownych wozach, posiadających wielkie silniki, stosowane są specjalne pompki tłoczące, które pompują benzynę do karburatora. Pompka taka jest bardzo dogodna dla wielkich samochodów pędzących z wielką szybkością, gdyż zapewnia stały dopływ do silnika potrzebnej ilości benzyny w każdych warunkach.

Może się zdarzyć, w wypadku systemu próżniowego, gdy silnik pracuje w sposób wytężony przy jeździe pod górę, mając otwartą szeroko rurę wdechową, że ssanie silnika będzie za słabe i zbiorniczek próżniowy nie będzie należycie napełniony. Jeżeli więc, w czasie jazdy pod górę, silnik waszego wozu zacznie zwalniać, najwidoczniej z braku benzyny, to należy zatrzymać samochód i puścić na parę chwil silnik z przymkniętym czyli opóźnionym wdechem, aby w ten sposób zassać potrzebną ilość benzyny do zbiorniczka próżniowego. Jeżeli jazda pod górę przytrafia się wam bardzo często, to najlepszem lekarstwem na ten brak benzyny będzie użycie w samochodzie waszym zbiorniczka próżniowego o większej objętości, a wówczas, w czasie jazdy po równej drodze, nagromadzić w nim będziecie mogli większą ilość benzyny, co pozwoli wam na przezwyciężanie bardzo długich nawet pochyłości drogi.

Działanie karburatora polega na tem, iż rozdrabnia on płynną benzynę na drobniutkie kropeleczki i miesza je z powietrzem w celu utworzenia mieszanki pędzącej silnik. Karburator podobny jest w zasadzie do zwykłego rozpylacza perfum. Strumień powietrza, przebiegając przez wytrysk benzyny, rozdrabnia ją na drobne cząsteczki i miesza z powietrzem. Na kole kierownika umieszczona jest dźwignia czyli rączka wdechowa, regulująca działanie karburtora, to jest regulująca dopływ mieszanki wybuchowej do silnika, zmieniając przez to dowolnie szybkość jego biegu i moc. W większości wozów istnieje jeszcze regulator pedałowy, zwany przyśpieszaczem. Naciskając stopą ten pe-

dał czyli „nadeptując na gaz", otrzymujemy ten sam rezultat, co i przy użyciu dźwigni ręcznej przy kierowniku. Przesunięcia rączki wdechowej otwierają zawór umieszczony w szczycie karburatora, wskutek czego silnik, obracając się, może zassać sobie coraz więcej mieszanki czyli gazu.

Karburatory bywają najrozmaitszych typów i konstrukcji, tak iż niemożliwem jest opisanie wszystkich na tem miejscu.

Chcąc się należycie zapoznać z konstrukcją i działaniem karburatora, zastosowanego w waszym samochodzie, powinniście dokładnie przestudjować książeczkę instrukcyjną, którą wam dostarczy sprzedawca samochodów danego typu. Znajdziecie tam wszelkie informacje, dotyczące właściwości i regulacji waszego wozu i jego karburatora.

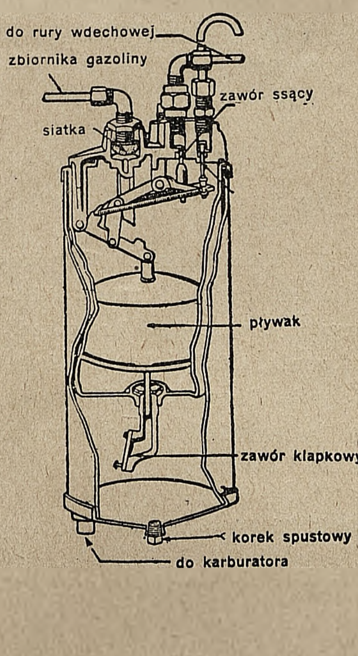
Najważniejszem jednak jest utrzymanie systemu, doprowadzającego benzynę w zupełnej czystości. Jeżeli bowiem brud dostanie się jakąkolwiek drogą do cienkich kanalików, pod klapki zaworowe w systemie próżniowym lub zalepi siatki w karburatorze, to silnik nie będzie otrzymywał dostatecznej ilości benzyny, aby mógł działać. W miarę możliwości zatem, używajcie w samochodzie waszym jedynie czystą zupełnie benzynę. Zawsze bezpieczniej jest kupować ją w solidnych firmach, posiadających dobrze utrzymane miejsca sprzedaży. Są automobiliści, którzy, chcąc się upewnić, iż w sprzedawanej im benzynie niema ani brudu, ani wody, przefiltrowują ją przed wlaniem do zbiornika przez zamsz.

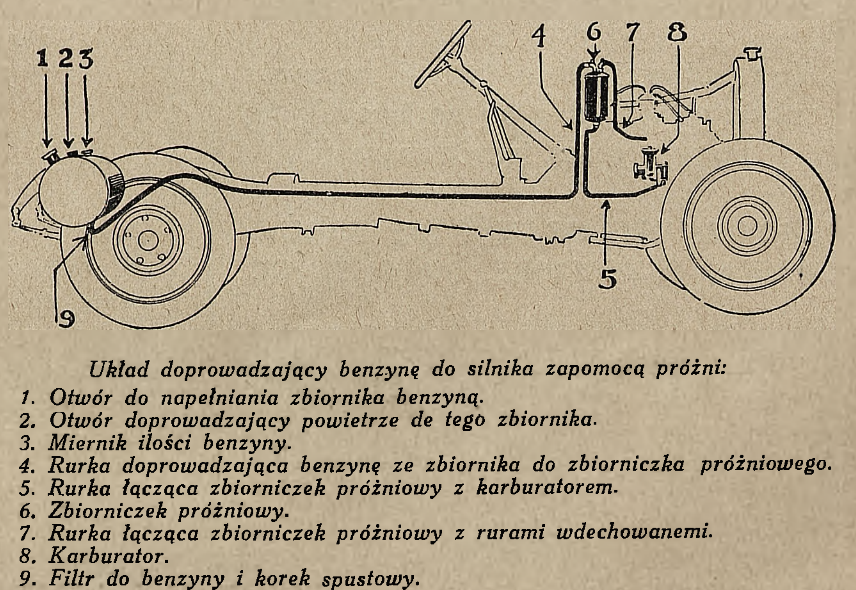
Pamiętajcie, ażeby otwór dla powietrza umieszczony na zbiorniku benzyny był otwarty, to jest nie zalepiony brudem. Jeżeli bowiem powietrze nie może przedostać się wewnątrz zbiornika, to ciśnienie atmosferyczne nie działa na poziom benzyny, wobec czego nie może ona odpływać do karburatora. Dobrze jest co parę miesięcy spuścic benzynę i nagromadzony na dnie brud i osad, otwierając spustowy korek, umieszczony w dnie zbiornika. Siatki, znajdujące się zazwyczaj u szczytu zbiorniczka próżniowego i w karburatorze, powinno się od czasu do czasu wyjmować i oczyszczać. Otwórzcie czasami korek lub kranik spustowy, umieszczony w dnie karburatora i zbiornika próżniowego, aby wypuścić nagromadzoną tam wodę i brud. Woda, jako cięższa od benzyny, nagromadza się na samem dnie zbiorniczka próżniowego oraz karburatora. W czasie mrozu bowiem nagromadzona tam woda mogłaby zamarznąć i wówczas lód przerwałby działanie karburatora.

Jeżeli takie zamarznięcie się przytrafi, to trzeba wprowadzić samochód do ciepłego garażu lub też otworzyć korek spustowy w dnie karburatora, a następnie oblewać go gorącą wodą dopóty, dopóki ten lód się nie roztopi i nie wypłynie nazewnątrz.

Gdy się zdarzy, że samochód wasz nie zechce ruszyć, otwórzcie najpierw korek w dnie karburatora, a gdy zacznie przezeń wypływać benzyna, będzie to dowodem, że to nie brak benzyny jest przyczyną niedokładności. Jeżeli zaś okaże się, że w karburatorze niema benzyny, to otwórzcie dno zbiorniczka próżniowego, i gdy przekonacie się, że benzyna tam się znajduje, to wywnioskujecie stąd, iż rurka łącząca ten zbiorniczek została zatkana, wobec czego zdejmiecie ją i przeczyścicie, oczyszczając również siatkę karburatora.

Gdy w zbiorniku próżniowym niema benzyny, a rozrusznik naszego samochodu działa, to po zamknięciu wdechu, obracamy silnik zapomocą tego rozrusznika przez pół minuty, co powoduje zassanie do tego zbiorniczka dostatecznej ilości benzyny, jeżeli naturalnie główny zbiornik nie jest pusty. Można także napełnić zbiorniczek próżniowy, nalewając doń bezpośrednio od szczytu około połowy litra benzyny; jeżeli zbiorniczek ten źle dzia-





Układ doprowadzający benzynę do silnika zapomocą próżni:

1. *Otwór do napełniania zbiornika benzyną.*
2. *Otwór doprowadzający powietrze de tego zbiornika.*
3. *Miernik ilości benzyny.*
4. *Rurka doprowadzająca benzynę ze zbiornika do zbiorniczka próżniowego.*
5. *Rurka łącząca zbiorniczek próżniowy z karburatorem.*
6. *Zbiorniczek próżniowy.*
7. *Rurka łącząca zbiorniczek próżniowy z rurami wdechowanemi.*
8. *Karburator.*
9. *Filtr do benzyny i korek spustowy.*

ła, to trzeba go przemyć czystą benzyną, aby wypłókać brud, nagromadzony pod zaworami.

Gdy pływak został przedziurawiony i napełnił się benzyną lub, gdy jakakolwiek inna część mechanizmu zbiorniczka próżniowego uległa zepsuciu to trzeba go otworzyć i zreparować. Nawet w wypadku całkowitego zepsucia się zbiorniczka próżniowego można jeszcze dojechać do domu lub do garażu, trzeba jednak z cierpliwością napełniać ręcznie ten zbiorniczek benzyną, w miarę tego, jak się on, wskutek zużycia, opróżnia.

Istnieją w sprzedaży liczne sprzęty czyli akcesorja w rodzaju rozpylaczy, ogrzewaczy i t. d., mające na celu polepszenie działania karburatora, ale stosują się one dziś tylko w samochodach starszych typów, niedostosowanych jeszcze do dzisiejszych gatunków benzyny i niewyposażonych w najnowsze urządzenia. Reklamowane bywają również liczne chemikalja, jako domieszki do benzyny. W każdym jednak razie, pamiętajcie o tem, że fabryka, która wypuściła w świat wasze auto, posiada laboratorjum inżynieryjne, gdzie się bada i próbuje nowe urządzenia, przeznaczone do udoskonalenia wytwarzanych przez nią samochodów. Jeżeli więc proponują wam nabycie jakichś nowych sprzętów i dodatków, to, zanim poweźmiecie decyzję, zwróćcie się listownie do fabryki, która wyprodukowała wasze auto i postąpcie zgodnie z nadesłaną wam odpowiedzią.

W oprac. inż. Z. Koczorowskiego.

Tajemnica sprzedanego kapelusza czyli naucz się, Polaku, sprzedawać!

Miasto powiatowe w dzień targowy. W sklepie konfekcyjnym przy ulicy Jagiellońskiej pojawia się chłop. Elegancki subjekt z pogardliwą miną przypatruje się przybyszowi.

— Co chcecie?

— A no chciałbym se kupić kapelus.

— Jaki?

Chłop zakłopotany. Trudno mu określić dokładnie, jaki kapelusz chce kupić. Łatwiej mu to przychodzi zapomocą rąk: wskazuje na kapelusze, znajdujące się na półkach. Subjekt jednak dalej egzaminuje:

— Jaki numer?

To pytanie tak samo dla chłopa trudne do odpowiedzi. Skąd ma znać numer swego kapelusza. Chce poprostu kapelusz na głowę, żeby „pasował", a oni go pytają o numer. Wkońcu subjekt bierze stary kapelusz wiejskiego klienta i mierzy jego szerokość. Ostrożnie trzyma go w palcach, by przypadkiem nie posmarować ich potem czy kurzem, zdobiącym zniszczony odwieczny kapelusz chłopski. Następuje jeszcze ostatnie pytanie:

— Jakiego koloru?

Gdy odpowiedź nie następuje, zniecierpliwiony subjekt modyfikuje swe pytanie:

— Czarny, zielony, bronzowy czy granatowy?

— A no granatowy — brzmi odpowiedź.

Wybiera więc subjekt odpowiedni kapelusz i daje go do zmierzenia chłopu. Wciska go chłop na swój łeb kudłaty, przypatruje się swojej fizjognomji w lustrze ukradkiem, bo widzi, że ten pan kupiec przygląda się jego niezgrabnym ruchom. Nie podoba mu się kapelusz zbytnio, ale chce go kupić; boi się poprostu narazić panu kupcowi, który mu się przypatruje z miną niecierpliwą. Chciałby jednak wiedzieć cenę kapelusza.

— Dwadzieścia złotych.

— O Rany Boskie — jęczy dusza chłopska. — Dyć to nie dostał on więcej za dwa cielaki, co dziś sprzedał na targu. Ściąga więc ze łba nowy kapelusz i chce się targować.

— Dyć to drogo. Może Pon co spuscą.

Subjekt patrzy na chłopa z oburzeniem.

— U nas są ceny „PRIX FIX" — mówi dumny ze swej francuczczyzny i ciekawy jej efektu na chłopie — jeżeli chcecie się targować, to idźcie na żydowskie stragany.

Chłop nieporadny stoi jeszcze. Zapłacić dwadzieścia złotych czy nie? Ale subjekt na decyzję nie czeka. Odbiera od niego kapelusz, demonstracyjnie otrzepuje go ze śladu chłopskich rąk i kładzie na półki. I chłop cichcem wynosi się ze sklepu, zawstydzony swą nieporadnością; i ten pan, co mu pokazał kapelusz, i ta pani, co siedzi przy kasie i nawet ten mały chłopiec, wszystko to zdaje się mówić:

— Patrzcie na chama; przyszedł, nic nie kupił, zasmarował kapelusz swemi łapskami, zabrudził podłogę swemi butami.

I wyszedł chłop ze sklepu bez kapelusza, choć miał świętą ochotę kupić go w tym sklepie. Chciał przecie raz posłuchać swego proboszcza, który mówi ciągle: „nie kupować u żydów", chciał posłuchać swej gazetki, która wciąż pisze: „kupuj u katolików". Poszedł do sklepu chrześcijańskiego, choćby wolał sto razy więcej iść do żyda. Żyd musi go słuchać, a ten ze sklepu gada z nim jak jaki starosta. Patrzy się na niego, jakby mu co ukradł.

Poszedł więc chłop między żydowskie stragany. „Jeżeli ten ze sklepu każe mi sam u żydów kupować" rezonuje sobie po drodze dla usprawiedliwienia swego postępowania. Widzi już stragan żydowski pełen kapeluszy. Przypatruje się im zdaleka i jeszcze się rozmyśla, czy nie pójść jeszcze do innego chrześcijańskiego sklepu. Ale już za późno.

— Dzień dobry, panię gospodarzu, jak się macie? — witają go czarni właściciele kapeluszy. Amator kapelusza już został odkryty. Rozpoczyna się sprzedaż.

— Spróbujcie, panie gospodarzu, tylko. Jak wam się nie podoba, to nie kupicie. Spróbować można za darmo.

I chłop próbuje.

— Nie muszę kupić, tylko chcę spróbować — myśli Piast, przy wkładaniu na głowę co chwila innego kapelusza. Ale już za późno, aby się cofnąć.

— No, panie gospodarzu, który wybieracie?

Nie ma już nasz chłop wyboru kupić czy nie kupić, ma tylko wybrać kapelusz odpowiedni.

Waha się jeszcze. Tyle kapeluszy. Próbuje jeszcze i przygląda się w lustrze, które pod nos mu wtyka usłużny sprzedający. Decyzja jednak następuje. Decyduje... drugi żydek.

— Jak się macie panie wójcie. Gdzie pani wójtowa? — wita się, z przymierzającym już niewiedzieć po raz który kapelusz.

— Nie jestem wójtem — twierdzi skromnie zwykły obywatel wiejski.

— Co wy nie wójt? — dziwi się żydek; — Taki fajny kapelusz to tylko wójty noszą. I wy w nim wyglądacie jak prawdziwy wójt.

Argument trafia. Chłop przypatruje się z uwagą w lustrze. Rzeczywiście w tym granatowym

kapeluszu, zasuniętym z powagą na czoło, wygląda na wójta.

Kapelusz zostaje na głowie aspiranta na wójta. Jeszcze mały targ. Żydy chcą dwadzieścia pięć złotych.

— Ksiądz kanonik mają rację, co Żydy drożej liczą od chrześcijańskich sklepów — przelatuje przez głowę, ozdobioną wójtowskim kapeluszem, która jednak nie boi się Żyda i zaczyna się targować. Zaczynają się opisy jakości kapelusza. I prawdziwa „jedwabna wstążka", jakiej „pewnie nie ma ani pani dziedzicka", i kolor kapelusza, co „na najgorszym dyszczu" zostanie zawsze ten sam wyjeżdżają na tapet. Wkońcu jednak żydzi opuszczają na cenie. Dziewiętnaście złotych zostaje w rękach straganiarzy.

Słowa księdza kanonika, napomnienia gazetki poszły na marne!

Nie pomogą one dużo, gdy nie zmieni się kupiec katolicki. Gdy nie nauczy się on sprzedawać. Gdy nie będzie stosował się do kupujących. Gdy nie przestanie być zwykłym automatem wydającym towary, a nie zacznie naśladować tych, którzy umieją sprzedawać. Sztuka umiejętnej sprzedaży przynosi większe rezultaty, niż największa propaganda: kupuj u swoich. Widzimy to w cyfrach, wykazujących mały udział Polaków w handlu; wiemy to z doświadczenia.

A umiejętna sprzedaż to nie tylko otwieranie sklepu o przepisanej godzinie, zapytania co do towaru, wymienienie jego ceny i wreszcie zapakowanie. Umiejętna sprzedaż to nie czekanie, lecz szukanie odbiorców. Umiejętna sprzedaż to nie tylko przedstawienie samego towaru, opisu jakości ale i dogodzenie najrozmaitszym instynktom, poglądom i słabostkom kupującego, z towarem często nawet nie mającym wiele wspólnego.

Zanalizujemy opisany przykład: dlaczego nasz wieśniak nie kupił w sklepie, lecz przy straganie. Przedewszystkiem sklepowy personel nie tylko był obcym dla niego, ale czynił wszystko, by dać mu odczuć różnicę pomiędzy wsią a miastem. Względem subjekta czuł się chłop czemś niższem, względem żyda był „panem gospodarzem", któremu się kłaniał każdy żydek. Mógł wobec niego śmiało sprecyzować swe żądania, mógł się targować i nawet zwymyślać straganiarza. Następnie subjekt był urzędnikiem, udawał starostę lub co najmniej kancelistę z sądu, zamiast być kupcem. Zadawał tylko pytania zamiast przedstawiać towar. Straganiarz przedewszystkiem uspokoił chłopski instynkt ostrożności przez powiedzenie: „spróbować można za darmo". I chłop, nie bojąc się konieczności kupna, zaczął próbować. A potem straganiarz bez trudu zastąpił pytanie: kupić czy nie kupić, innem pytaniem, które zredukowało możliwość cofnięcia się przed kupnem: „Który kapelusz wybieracie". I gdy to jeszcze nie pomogło, wystarczył apel do osobistej dumy amatora na kapelusz, małe pochlebstwo, by kupno było prawie załatwione. I zostało ono dokonane, gdy jeszcze instynkt oszczędności został zaspokojony: gdy kupującemu „udało" się wytargować kilka złotych.

Jak widzimy z powyższego przykładu, elementy psychologiczne były decydującym czynnikiem w dokonaniu sprzedaży. I przykładów takich możnaby cytować tysiące. Dlatego też w organizacji sprzedaży psychologja odgrywa wielką rolę: uczy się subjekta, agenta podróżującego mniej towaroznawstwa, a więcej „człowiekoznawstwa", psychologji. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych: tam agent podróżujący nie tłumaczy fabrykantowi skomplikowanych szczegółów maszyny, którą on chce sprzedać, lecz w cyfrach wykazuje mu dochody, jakie osiągnie w używaniu właśnie tej maszyny. Subjekt w sklepie, pokazując kolekcję perfum, bierze jeden flakon i wręcza go zainteresowanej perfumami osobie ze słowami: „te perfumy bierze od nas stale pani hrabina X, albo też pani prezesowa Y". I w jednym wypadku instynkt oszczędności, każe kupić maszynę powiększającą dochody, a w drugim wypadku instynkt naśladownictwa każe kupić perfumy, by choć zapachem dorównać pani X czy Y.

Nic więc dziwnego, że na wydziałach handlowych amerykańskich uniwersytetów wykłada się psychologję, że profesorzy psychologji wykładają o sprzedaży i o ogłoszeniu. Że się elementarnej psychologji uczy w szkołach kupieckich. I dzięki temu Europejczyk przybyły do St. Zj. sam nie wie, dlaczego on tyle kupuje najrozmaitszych rzeczy, których zupełnie w Europie nie pragnął, dlaczego pragnie posiadać tyle przedmiotów, które w Europie były mu zupełnie obojętne. Zastosowanie psychologji w sprzedaży jest na to odpowiedzią.

I dlatego niejeden „społecznik" u nas dziwi się, dlaczego tylu ludzi kupuje w żydowskich sklepikach, po straganach najrozmaitszych, gdy przecie w katolickim sklepie towar nie tylko jest lepszy ale i tańszy w wielu wypadkach. I na to odpowiedź: ponieważ pan Górski czy Nowaka Nast. są tylko maszynami sprzedającemi, a Bracia Laszczower czy Sabina Cokolwiek są ludźmi, znającymi nie tylko swój towar, ale i psychologję ludzi, którzy od nich kupują, i którą odpowiednio wyzyskać potrafią.

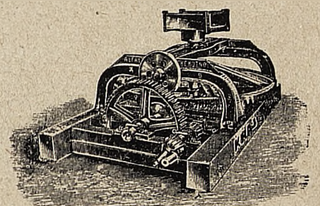
I dlatego uczenie elementarnych wiadomości psychologji w szkołach handlowych, zapoznanie się naszych kupców i przemysłowców z ludzkiemi instynktami, decydującemi o kupnie, przyniesie większe rezultaty, niż głoszone wszędzie: Kupujcie tylko u chrześcijan.

Frank Lewis.

Wzorową wieś polską obsługują „Kutnowianki"

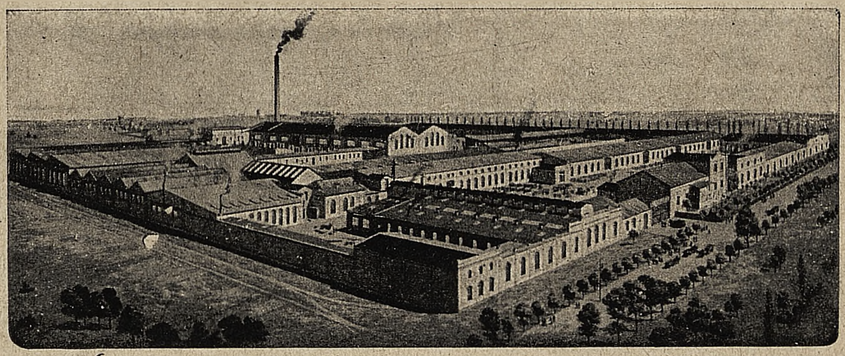


Kutnowianka jest to nazwa powszechnie znanej i używanej w Polsce szerokomłotnej młocarni. Najczęściej spotykamy się z nią w średnich i małych gospodarstwach wiejskich, gdzie ze względu na swe zalety daje się jak najpraktyczniej zastosować. Kutnowianka jest przedewszystkiem młocarnią nader wydajną w pracy, gdyż, dając lekko od 30—40 korcy omłotu dziennie, zwraca słomę prostą i nietarganą; jest przytem ekonomiczną, posiadając bowiem odpowiednio umieszczony bęben, skraca pracę sześciu silnych koni do jednej zaledwie pary. Dzięki wyżej opisanym zaletom, Kutnowianka jest bezkonkurencyjnym zdobywcą gospodarczo-wiejskiego rynku w Polsce i za granicą. Celem wprowadzenia w ruch Kutnowianki, zwykłej sieczkarni lub cepówki, używane są silno-konne o ulepszonej konstrukcji Maneże pałąkowe typu BR i Z, powszechnie znane pod nazwą: Znaku BR—4 (Dionizy), 2—4 konny o 40 obrotach z mufą przelotną lub znaku Z—5 (Fakir), 3—4 konny o 42 obrotach (patrz rycina). Wspomniane maszyny są wyrobami znanej w Polsce fabryki maszyn i narzędzi rolniczych w Kutnie pod firmą Sp. Akc. „Kraj". Zarząd fabryki i biuro sprzedaży mieszczą się przy ul. Chmielnej w Warszawie. Zaznaczyć należy, że Sp. Akc. „Kraj" przemianowaną została z firmy Alfred Vaedtke, założonej w r. 1890. Rozbudowana na 20.000 mtr. placu, jest ona typem współczesnej fabryki zagranicznej, ściśle dostosowanej do potrzeb rynku krajowego. Pokrywając zapotrzebowanie rynku krajowego, Sp. Akc. „Kraj" rozwija eksport swoich wyrobów do krajów, z któremi przed wojną była w stałym kontakcie. Sp. Akc. „Kraj" jest jedną z nielicznych firm polskich, które dobrocią swego towaru potrafiły wyrugować w zupełności z rynku polskiego tandetę zagraniczną. Setki robotników polskich znajdują stałą pracę w fabryce narzędzi rolniczych Sp. Akc. „Kraj" i niezliczone rzesze gospodarzy rolnych oszczędzają swój czas i pieniądz, używając maszyn wyrobu kutnowskiego.



ROLNIKU POLSKI! Chcesz upodobnić wieś i gospodarstwo twoje do wzorowej wsi polskiej w Liskowie — młóć twe zboże na szerokomłotnej Kutnowiance. Maszyny rolnicze, a zwłaszcza szerokomłotną Kutnowiankę wyrobu Sp. Akc. „Kraj" gorąco polecamy czytelnikom naszym z ziemi amerykańskiej, gospodarującym w Polsce, jako jedyną pracującą lekko, wymłacającą na czysto ziarno nie uszkodzone i zwracającą prostą i nie targaną słomę — młocarnię ekonomiczną.

87



Widok ogólny fabryki Sp. Akc. „Kraj" (dawniej A. Vaedtke) w Kutnie.

Namysłowski za Oceanem

Występy Orkiestry Ludowej w Ameryce

„...by stać na straży pielęgnowania języka polskiego, tak bardzo zagrożonego tu na wychodztwie, przez fałszywy szowinizm amerykanizacyjny". Tak pisze w odezwie swej redaktor „Echa Muzycznego" w Chicago, p. Zalewski. Głosów tych słyszymy coraz więcej. Są one w zupełności usprawiedliwione. Ileż bowiem rodzin polskich w Ameryce wprost mi się przyznawało „dzieci nasze niemal zupełnie po polsku nie mówią". I gdyby w duszy emigranta polskiego nie zamajaczyło czasem wspomnienie Wolnej Ojczyzny, kto wie czyby dziecko jego, na amerykańskiej ziemi zrodzone, wiedziało, co to „Polska".

Na emigrację naszą działać musimy wprost, nie przez odezwy, nie przez martwy papier, ale zapomocą żywego słowa polskiego, żywej muzyki polskiej, która tchnieniem swego prawdziwie polskiego sentymentu u Polaka-emigranta łzę wzruszenia wywołać musi.

W siódmym roku Niepodległości Ojczyzny naszej po raz pierwszy wyjechała do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej orkiestra ludowa dyr. Stanisława Namysłowskiego, by tam — wśród licznych rzesz polskich zapomocą swych mazurów i oberków, swej rozlewnej pieśni polskiej podnosić upadającego ducha, zagrzać do otuchy i wytrwałości, zespolić w miłości do Ojczyzny. Wielkie zadanie miał przed sobą dyr. Namysłowski, wielkie dzieło, za którego dokonanie cała Polska zjednoczyć się winna w swej wdzięczności.

I wędrowała dziarska drużyna od miasta do miasta, od osady do osady, wszędzie wyglądem swym ochoczym a malowniczym zachwycając, dziarskim rytmem polskich tańców i melodji tlejące iskierki w duszy polskiej na nowo zapalając.

Orkiestra Namysłowskiego wszędzie była witana owacyjnie i uroczyście. Chlebem i solą witano chłopaków w sukmanach, komitety lokalne w każdem mieście „ad hoc" zawiązane podejmowały brać artystyczną bankietami, majorzy czyli prezy-



Orkiestra Ludowa Namysłowskiego.

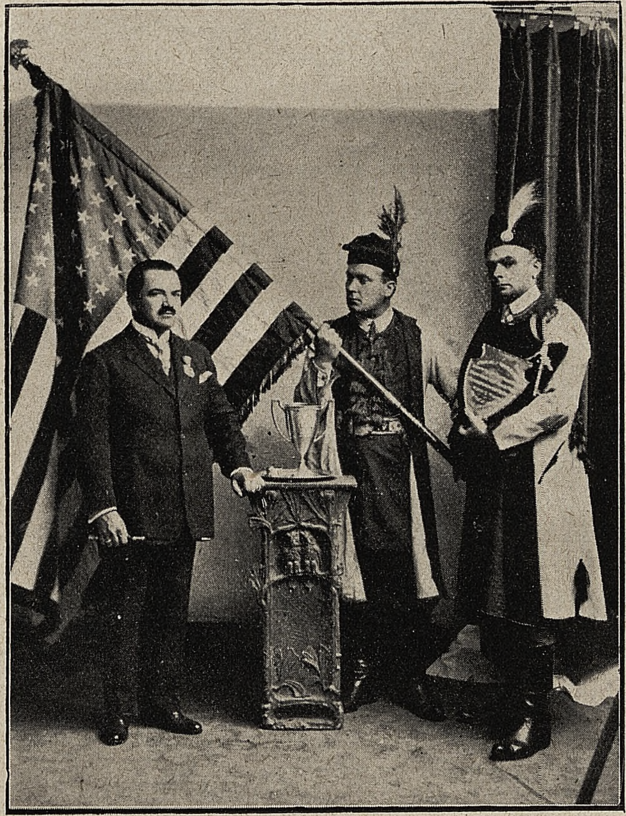
denci miast wręczali dyr. Namysłowskiemu klucze swych grodów na znak hołdu, w Bostonie major miasta wręczył dyr. Namysłowskiemu sztandar Stanów Zjednoczonych, najwyższe i najchlubniejsze odznaczenie, jakie z rąk jego cudzoziemiec mógł otrzymać, w mieście Hamtramck (stan Michigan) major miasta Polak, p. Jeżewski, wręczył orkiestrze srebrną tablicę pamiątkową z napisem: „Orkiestrze Namysłowskiego za ukojenie naszych tęsknot swojską melodją, w dowód serdecznego uznania i ku pamięci — za mieszkańców miasta Hamtramck Michigan Stan. Zjedn. burmistrz miasta Piotr C. Jeżewski".

To garstka tylko dowodów serdeczności i uznania, z jakiem namysłowczyków witano, a ileż łez wzruszenia serdecznego zrosiło ziemię amerykańską, gdy wśród powszechnego podniecenia, wśród przyśpieszonego tętna tysięcy serc polskich zjawiał się na stacji pociąg, wiozący tych, którzy z dalekich łąk i pól ojczystych zew święty i pozdrowienie Matki-Ojczyzny wieźli. Liczne te chwile tak w umysłach namysłowczyków jak i emigrantów polskich oraz wielu nawet Amerykanów niezatarte wrażenie pozostawią.

Szczegółowe sprawozdanie z podróży namysłowczyków po Ameryce, ścisłe daty, nazwy oraz oryginalne zdjęcia fotograficzne przedstawię łaskawym czytelnikom do bliższego zaznajomienia się w mojej specjalnej broszurce, p. t.: „Namysłowski w Ameryce", która już opuściła prasę i jest we wszystkich księgarniach do nabycia. W broszurce tej będą mieli szan. czytelnicy sposobność dokładnego zaznajomienia się z orjentacją amerykańską w stosunku do orkiestry Namysłowskiego, na podstawie głosów prasy amerykańskiej.



Stanisław Namysłowski.



Stanisław Namysłowski na tle sztandaru Stanów Zjednoczonych.

Jak wielki sukces odnieśli namysłowczycy w Ameryce świadczy fakt, iż na ich przyjęcie w Detroit i w Chicago zostało urządzone niemal święto narodowe polskie. Orły polskie, rozpostarte na magistratach, śnieżną swą bielą na amarantowem tle, znaczyły zwycięski szlak propagandy ducha polskiego od New-Yorku po Niagarę, od jeziora Erie, poprzez Huron i Ontario po Michigan. Prawdziwa polska mowa przez namysłowczyków w krainę dolarów przywieziona, głosiła „urbi et orbi" o wielkiej i niepodległej Polsce.

Ewenementem wyprawy była wizyta dyr. Namysłowskiego w towarzystwie posła Rzeczypospolitej d-ra Wróblewskiego w Washingtonie u prezydenta St. Zjednoczonych Coolidge'a w „White House" czyli w Białym Domu.

Dyr. Namysłowski miał szczęście. Oto prezydent Coolidge, ujrzawszy dyr. Namysłowskiego, uśmiechnął się. Waszyngtońskie sfery miarodajne utrzymują, iż prezydent Coolidge nigdy się nie uśmiecha.

Słowa prez. Stan. Zjedn.: „prasa New-Yorku przyjęła was nieprzychylnie — ja jednak jestem po stronie publiczności, która was lubi" — są najwymowniejszą odpowiedzią na tendencyjny artykuł w „The World", skierowany przeciwko orkiestrze.

Przez trzymiesięczną acz męczącą podróż na-





Stanisław Namysłowski spotykany i podejmowany chlebem i solą w różnych miastach amerykańskich.

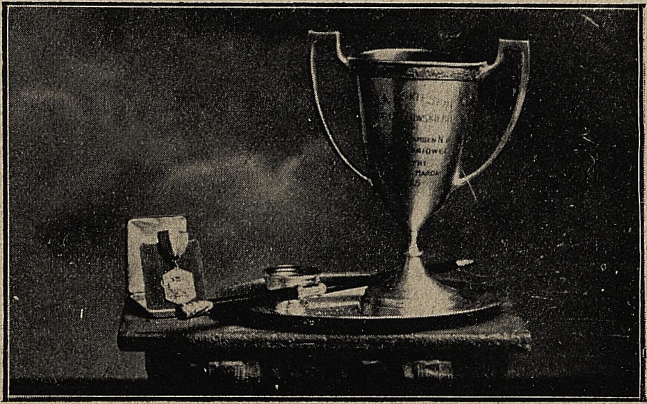
mysłowczyków po Ameryce Północnej zapoczątkowało się wielkie dzieło polskiej propagandy tak wśród emigracji jak i wśród przedstawicieli Ameryki.

Świetna tradycja bohaterskiego Naczelnika Kościuszki, który „o naszą i waszą wolność" walczył, teraz pod wpływem malowniczych sukman, krakusek z pawiemi piórkami, oraz szczerej polskiej muzyki na nowo odżyła w sercach tych wszystkich, którzy wielką pracę namysłowczyków widzieli i rozumieli.

Trzy wieńce, złożone przez orkiestrę pod pomnikiem Kościuszki, Pułaskiego i na mogile Nieznanego Żołnierza Amerykańskiego oby stały się synonimem braterstwa i zgody, a z nią wielkiego umiłowania Wolności, w świętem Imieniu której Trzej Wielcy Jej Obrońcy życie swe oddali.

— — — — — — — — —

Po przełamaniu tysięcznych trudności, po przezwyciężeniu niebywałego przemęczenia, spowodowanego ciągłą jazdą z miejsca na miejsce, ciągłemi przyjęciami serdecznej polonji, po odniesieniu wielkiego sukcesu moralnego, powrócili dzielni namysłowczycy „na Ojczyzny łono", by tu, w rodzimej



Puhar—upominek z Ameryki.

swej prasie, całe szpalty nieprzychylnych o sobie sprawozdań znaleźć. I nie znalazł się nikt, ktoby bodaj w kilku skromnych słowach zapracowanej dla wspólnej sprawy drużynie oraz jej dyrektorowi podziękował. Lecz nic to. Żywa i serdeczna, nigdy niegasnąca pamięć o Was tam za dalekim Atlantykiem niechaj największą będzie Wam podzięką.

„Więc bywajcie, Grajki hoże.
W naszych sercach już tli skra.
Wy z niej żaru wzniećcie zorze,
Bo w Was cała Polska gra.

(Z wiersza H. Tetmajera, Chicago 20.III 1925 r.).

Tadeusz Górzyński.

Warszawa, w czerwcu, 1925 r.

Manuskrypt człowieka, który zabił.

(Dalszy ciąg ze str. 6)

skiego — Jankes w każdym calu. Zasypał więc nas odrazu pytaniami o kraj i nasze dotychczasowe życie. Rozmowa kręci się ciągle wokół Polski, dotąd ani sposobu zaczepić go o tajemnicę mego pamiętnika. Janeczka bejecznie przypadła mu do gustu. Mkniemy wspaniałym ekspresem do Los Angeles.

26 czerwca.

Jesteśmy nakoniec na miejscu. Według objaśnienia wuja ma on „swój flat [1]) na pryncypalnym kornerze [2]) w centralnej wardzie [3])". Zupełnie już zamerykanizował język polski. Ale co za apartamenty posiada wujaszek — no, no! Zainstalował nas i urządził nasz pokój iście po królewsku. Zwiedzaliśmy trochę miasto i biura firmy „Parker Davidson & Company", której wuj jest genjalnym dyrektorem. Cóż to za kolosalna instytucja!

Próbowałem zaczepić go o wyjaśnienie naszego kontraktu. Śmieje się: w swoim czasie dowiem się wszystkiego. Tymczasem przez pierwszy tydzień zwalnia mnie od obowiązku pisania dziennika, aby sam się mógł nacieszyć nami i pokazać nam miasto i okolice.

3 lipca.

Dziwne zjawisko zwróciło moją uwagę wczoraj wieczorem w oknie imponującej kamienicy naprzeciwko naszych okien. Mignęło tam kilkanaście razy oślepiającej siły światło. Było tak jarzące, iż musiałem zwrócić na nie uwagę, mimo iż byłem zajęty pisaniem listów do Kraju i odwrócony plecami do okna. Nie była to rzecz przypadkowa, gdyż odstępy w wybuchach światła były zbyt regularne. Jakgdyby jakaś tajemnicza ręka rzucała sygnały do kogoś w przestrzeń. Co to być mogło?

4 lipca.

Pytałem wuja o widziane zjawisko. Znów się roześmiał i uspokoił mnie, iż to zapewne odbywała się próba nowego reflektora do kinematografji, gdyż tu podobno każde prawie mieszkanie ma coś wspólnego z tym przemysłem.

5 lipca

Dziwne zjawisko naprzeciwko się powtórzyło. Teraz jestem głęboko przekonany, że to są jakieś tajemnicze sygnały, a nie żadne próby nowych lamp. Jak mnie to zagadkowe zjawisko zaczyna męczyć, a jednocześnie pociągać. Mimowoli stale już obserwuję to okno i gdy tylko jestem w naszym pokoju, na niczem innem skupić uwagi nie mogę.

6 lipca.

Sygnały się znowu powtórzyły w zupełnej ciszy i ciemni nocy. Nie mam już żadnych zwątpień, że jest w tem coś wysoce tajemniczego. Muszę dojść do poznania tej zagadki.

7 lipca.

Janeczkę oddałem pod opiekę wuja, sam zaś pod pretekstem bólu głowy cały dzień nie opuszczam swego pokoju i, dyskretnie ukryty za firanką, obserwuję okno naprzeciwko. Dzieją się tam dziwne rzeczy. Od rana okno to jest narozcież roztwarte, po pokoju kręcą się bezustannie pracujący ludzie, w ciągu dnia z iście amerykańską szybkością pokój zamieniono w luksusowy apartament, tonący w jedwabiu ścian, puchu dywanów i powodzi kwiatów. Dziwnie dobrze widzę z mego okna wszystko, co się tam dzieje, mam jakgdyby celowo obrany punkt obserwacyjny. Co za bogate stylowe meble sypialni... Dla kogo to wszystko? Kto ma tam zamieszkać?

8 lipca w nocy.

Przez cały dzień żadnego ruchu w oknie naprzeciwko. Późnym wieczorem ujrzałem zapalające się w niem światło. Byłem dlaczegoś tak wzburzony, że nie mogłem tchu złapać. W miękkim półcieniu jedwabnego abażuru ujrzałem wytworną sylwetkę kobiecą. Podglądając ją jak złodziej, kradłem wewnętrzne strzępy cudzego życia, lecz nie mogłem od niej oczu oderwać. Jakaś potężna moc ciągnęła mnie i przykuwała do tego okna. Powoli, leniwie, zaczęła się rozbierać... Z obłoków koronek, niby z piany morskiej, wyłoniła się jak rzeźbiona z alabastru dziewicza postać boskiej Venus. Takiego cudu nie widziałem w mem życiu. Czemu tam tak mało światła?! Nie widzę jej twarzy! Nie widzę!... Dlaczego ona nie zapuściła rolety? Ta straszna, pociągająca pokusa!... Zginęła z pola obserwacji. Światło zgasło. Widocznie ułożyła się do snu.

9 lipca.

Nie spałem całą noc. Wstałem z bólem głowy i wyczerpaniem wewnętrznem. Szarpią się we mnie i zmagają chaotycznie jakieś postrzępione, skłębione chmury uczuć. Wstydzę się sam siebie. Toć tak bezgranicznie, tak głęboko kocham swoją Janeczkę, a jednak... jednak wiem, że wieczorem, gdy ona zaśnie, będę znowu podglądał przez okno tę kobietę o boskich linjach. Co za szatańskie opętanie. Co ta kobieta ma wspólnego z tajemniczemi sygnałami?

Tegoż dnia w nocy.

Piszę, obserwując okno. Janeczka śpi. Światło w pokoju się zapaliło, jaskrawsze niż wczoraj. Weszła. Jeszcze zwiększyła światło. Jak to dobrze, — ujrzę ją dokładnie całą, zobaczę jej twarz. Rozbiera się znowu. Staje naga, oślepiająca przepychem swego ciała przed lustrem gotowalni, pręży się, przeciąga, gibka jak wąż, kusząca... Co za męka! Lubuje się sobą. Odwraca się do światła. Nakoniec, nakoniec zobaczę jej twarz...

Boże, Boże, pocom tu przyjeżdżał! Ta z ilustracji... i żywa... — tuż przy mnie...

---

[1]) mieszkanie, [2]) na frontowym rogu, [3]) w śródmiejskim okręgu.

10 lipca rano.

Jej roleta spuszczona. To tak dalej trwać nie może. Muszę opanować swe nerwy, swoją słabość. Teraz, gdy wiem—nie wolno mi krzywdzić Janeczki. Dość tych głupich ostatnich paru dni. Powracam do normalnego życia, nie będę się ani na chwilę rozstawał z Janeczką. Postaram się nie bywać wcale w naszym pokoju, a wieczorem — odrazu do łóżka. Cóż mnie to wszystko może dzisiaj obchodzić!

11 lipca.

Nie spojrzałem wczoraj ani razu w jej okno. Zaciąłem się. Muszę przełamać przeznaczenie, które mnie tak doświadcza.

12 lipca.

Przy obiedzie obojętnie zapytałem wuja o Dolores Issy. Sam nie poznałem swego głosu, tak był drewniany, gdym zadawał to pytanie. Wuj spojrzał na mnie badawczo i poinformował nas, że jest to nasza młoda rodaczka, która od roku stała się pierwszą gwiazdą filmową świata. Zapytał, dlaczego mnie interesuje. Bąknąłem coś o ilustracji, oglądanej na statku. Ano, tak! Wuj ją zna. Jest obecnie w Los Angeles, kończy właśnie pozowanie do nowego olbrzymiego obrazu. Otacza ją rój wielbicieli, wśród których jest kilku multimiljonerów. Jest rzadkiem zjawiskiem jako artystka filmowa: niedostępna dla nikogo. W danej chwili, przez swe kaprysy, wygórowaną ambicję i pychę znalazła się w trudnej sytuacji, na propozycję bowiem trzech największych filmowych firm świata postawiła tak wygórowane warunki, że wszystkie trzy się cofnęły, a z mniejszemi już nie wypada jej dzisiaj podpisać kontraktu.

Tegoż dnia w nocy.

Codzień do południa rolety jej zapuszczone. W dzień nie ukazuje się wcale. Wieczorem zaś przez te parę dni ja zapuszczałem naszą roletę, aby nie patrzyć. Dzisiaj jednak dosięgły mnie znowu djabelskie świetlne sygnały, które przebiły nawet zasłonę rolety i zmusiły mnie do podniesienia jej.

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles:" Brawo Murray!).

Oślepiające pasmo światła z przeciwka było wyraźnie skoncentrowane na naszem oknie. Jeśli to ktoś mnie obserwował, musiał bezwzględnie dostrzec mię w oknie mimo zupełnej ciemności, panującej w naszym pokoju, tajemniczy bowiem reflektor poprostu kąpał mnie chwil parę w słonecznej jasności. Ukryłem się zaraz za framugą okna. Byłem narazie tak oślepiony, że musiałem zamknąć bolące oczy. Gdy je otworzyłem, w rozwartem oknie naprzeciwko ujrzałem Isię. Stała już rozebrana, zupełnie naga, okryta tylko złotym płaszczem swych przepysznych złotych włosów i wyciągała ręce gdzieś w przestrzeń za okno. Klasyczny posąg nadludzkiej tęsknoty, pożądania, pokusy... Nie trzeba było słów. Wszystko, co chciała komuś powiedzieć, było tak plastyczne, wyraźne... Szaleję... Płomienny zew tętniącej pragnieniem ukochania krwi, wołanie niedotkniętego ręką ludzką kwiatu o pieszczotę słońca, co może go spali, lecz nasyci...

Wuj powiedział: niedostępna dla nikogo. A ja, co ją tak bezgranicznie kochałem, tutaj, tuż obok, patrzę, jak cudna, dziewicza, wyciąga w przestrzeń spragnione ramiona, jak się męczy...

Co za tortury! Obudzę Janeczkę, przytulę się do niej mocno, mocno. Tylko ona jedna dla mnie, tylko ona!...

14 lipca. Wieczorem.

Ratuję się jak mogę i umiem. Dwa dni spędzaliśmy z Janeczką i wujem w szaleńczym kalejdoskopie nowych wrażeń: robiliśmy dalsze wycieczki automobilowe, zwiedzaliśmy miasto, wytwórnie i pracownie większych firm kinematograficznych. Zdaje się, żem się tem uleczył. Przestaję myśleć o oknie. Los czasem ciężko doświadcza człowieka, lecz może właśnie poto, aby go silnym uczynić. Janeczka jest zaniepokojona mem nienaturalnem gorączkowem podnieceniem i nagłemi zmianami mego nastroju. Wyczuwa kobiecą intuicją, że się garnę ku niej, w niej jakgdyby szukając ratunku i oparcia. Wuj śmieje się z niej i żartuje, tłumacząc mój stan nagłą zmianą klimatu, nadmiarem nowych wrażeń i miłości do niej. Jakże mu wdzięczny jestem za tę niespodzianą pomoc.

Nie pozwalam wcale podnosić rolety w naszym pokoju nawet w dzień, — tłumacząc się gorącem w mieszkaniu, które mnie wyczerpuje i nie daje zasnąć w nocy.

15 lipca. W nocy.

O północy obudziły mnie przeklęte snopy świetlne, które poprzez roletę wdzierały się do pokoju, niecąc w nim jaskrawą światłość. Zaciąłem się: nie wstanę z łóżka, do okna nie pójdę! Snopy niespokojnie drgały w ciemni, niby promienie jarzących oczu potężnego olbrzyma, nerwowo mrugającego powiekami. Trwało to tak długo, żem stracił cierpliwość...

(Przypisek Kierownika Działu Redakcyjnego firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles:" Znowu zuch Murray! Proponuję podnieść mu wynagrodzenie. Dobrze pracuje!).

Zdecydowałem nareszcie przekonać się, czy te sygnały są przeznaczone dla mnie i czy mają jakiś związek z nią. Zerwałem się z łóżka i szarpnąłem roletę. Przede mną stała w oknie jaskrawo oświetlona Isia w przezroczystym nocnym stroju i patrząc w moje okno, śmiała się... Nie miałem więcej żadnych zwątpień. Więc te sygnały, ona naprzeciwko — to wszystko... Zatrzęsły mną dreszcze. Otworzyłem szybko okno, wysunąłem się... Śmiech jej zgasł. Wyciągnęła do mnie rękę, jakgdyby błagając o coś. Przechyliła się cała naprzód, potem rozwiała się nagle jak we mgle. Roleta w jej oknie spadła. Światło za nią zgasło.

16 lipca. Rano.

Postanowiłem rozmówić się mimo wszystko

z wujem, chociaż nie chciałem dotąd poruszać z kimkolwiek mej tajemnicy. Tak dłużej męczyć się nie mogę. Przyszedłem do jego gabinetu w biurze i oświadczyłem, że chciałbym albo wyjechać z Los Angeles gdzieś indziej, albo natychmiast wracać do Kraju, gdyż źle się tu czuję. Widocznie klimat tutejszy mi nie służy. Wuj poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu i krótko zadecydował, że zostać tu muszę, gdyż taka była nasza umowa, a mój interes tego wymaga. Dla dużego zarobku trzeba być czasem cierpliwym i niejedno znieść.

Pal djabli interes i zarobek! Nie mogę więcej — duszę się! Muszę stąd uciekać! Wuj badawczo popatrzył na mnie, zimnym, stalowym wzrokiem. Pod tem spojrzeniem cała rozpaczliwa energja mego wybuchu załamała się odrazu. Przecie interes robimy wspólnie. Jeśli ja chcę go zerwać, to on musi swoje zarobić i od swego nie odstąpi. Winienem pisać dalej mój dziennik, aż nadejdzie czas zakończenia sprawy. Co za chłodny, wyrachowany człowiek!... Już zawróciłem się, aby odejść z jego gabinetu z beznadziejnością w sercu, gdy nagle, sam nie wiem dlaczego, zapytałem go, czy Dolores Issy wie, że wuj ma gości, że właśnie ja tu jestem u wuja. Ze zdziwieniem przyjął moje zapytanie. Czy Dolores Issy mnie zna?... „Nie, nie — skądże", rzuciłem mu szybko. To nie ja mówiłem, to mówił ktoś obcy za mnie. Wuj wątpi, aby mogła wiedzieć. W tej chwili kończy grać w filmie, którego ostatnie sceny fotografują na łonie natury o kilkaset mil od Los Angeles. Od tygodnia siedzi tam właśnie w obozie swej firmy. Tu wuj podał mi ostatni numer dziennika filmowego z dokładnym opisem życia w jej obozie. Zrobiło mi się słabo, zakręciło się w głowie. Wypadłem z gabinetu z resztką przytomności.

17 lipca.

Dotąd nie mogę zebrać myśli. Wydaje mi się, że mam gorączkę. Albo jest to u mnie początek obłąkania, albo podlegam jakiejś piekielnej wzrokowej halucynacji czy autosugestji. Rozmowa z wujem nie tylko nic nie wyjaśnia, lecz zacisnęła wokół mnie krąg otaczających mnie tajemnic nie do zniesienia. Duszę się w tem zamkniętem kole, jak w śmiertelnym stryczku. Muszę zrozumieć, co znaczy to wszystko, inaczej oszaleję. Jakie to szczęście, że Janeczka tak dobrze się czuje pod opieką wuja, króry, widząc mój stan, obmyśla dla niej coraz nowe rozrywki i ciągle ją gdzieś zabiera.

17 lipca. W nocy.

Gdy tylko Janeczka usnęła, przyczaiłem się przy oknie. Piekielny reflektor zmacał moją obecność. Nie ukrywałem się tym razem. Telepatja, złudzenie, zjawa, czary? Muszę to poznać. Znowu w jaskrawem świetle stanęła naga przed oknem, wyciągnęła do mnie ręce, prężyła się cała, przegięła ku mnie, nabrzmiała bezmiarem tęsknego wołania. „Pójdź... Chodź do mnie!" — bezdźwięcznie biegło ku mnie. Żeby mi udowadniano nie wiem jak — nie uwierzę, że jest w tej chwili nieobecną. To ona, realna, żywa, — ona sama!... Przylatuje stamtąd na noc aeroplanem, przyjeżdża automobilem czy ekspresem — czy ja wiem, jakie jeszcze ci amerykańscy warjaci mają sposoby na to... Oni wszystko potrafią — nawet być jednocześnie w dwóch miejscach. — Boże, co za męka! Wzywa mnie, woła ciągle...

Nie, nie, nie! Nigdy! Wdarłaś się znowu w moje istnienie, wróciłaś aby mi zburzyć życie, moje szczęście z Janeczką. Nie odejdę już dziś od niej dla ciebie! Trzeba było wówczas ustąpić ze swego kinematograficznego obłędu, pozbyć się wszelkich aspiracyj do szerokiego bogatego życia artystki, nauczyć się pracować jak Janeczka, aby stać się towarzyszką mego szarego życia nędzarza... Słyszysz!... Nie wrócę!... Nie wrócę więcej do ciebie! Napróżno wysilasz się na te wszystkie tajemnicze figliki amerykańskie! Nie!... Zrywam się. W napływie wzburzenia uderzam wściekle pięścią w futrynę okna. Cofa się do pokoju, rozpływa się znowu w jakiejś srebrnej mgle...

Tajemnica wyjaśniona. Lżej mi. Od łoskotu mego uderzenia Janeczka się budzi, wystraszona. Przytulam ją. Śpij, śpij, moja malutka, słodka, jedyna!... Ja cię ukołyszę...

18 lipca.

Obudził się we mnie dziwny wstręt i nienawiść do tej kobiety. Podła, cyniczna komedjantka. Chce mnie opanować czarem swej pięknej dziewiczej nagości. Zastanawia mnie jeszcze tylko ta dziwna srebrzysta mgła, w której ginie w swym pokoju, a którą już zaobserwowałem po raz drugi. Zapewne też jakieś amerykańskie sztuczki, obliczone na efekt. Muszę to jeszcze dzisiaj wybadać.

Tegoż dnia w nocy.

Nikczemna! Pogardzam nią, jak plugawym gadem. Wynalazła nowy sposób pokonania mnie, godny zaiste chyba tylko artystki kinematograficznej. Ukazała mi się dziś w całej nagości, pod jarzącem światłem, w objęciach jakiegoś mężczyzny. Ściskał ją, pieścił i całował jej włosy, jej ciało. Skręcała mu się w ramionach, jak wiór objęty płomieniem. Stopniowo oboje stapiali się w jeden posąg, aż przegiął ją i wcisnął swe wargi w jej usta...

Potem, parząc w me okno, śmiała się ironicznie i zapuściła zwolna roletę. Na tle jej widziałem wyraźnie dwa cienie, chylące się ku sobie. Światło zgasło. „Niedostępna"... O, podła, przewrotna, kłamliwa gadzino!

Coś się we mnie szarpie, zrywa, coś ryczy nieludzkim głosem, jak dzikie zwierzę, spragnione krwi...

19 lipca. W nocy.

Cały dzień chodziłem jak obłąkany. Ładnie nieobecna tutaj! Dobry jest ten wujaszek. Mogą swemi dobrze poinformowanemi, przereklamowanemi dziennikami napalić w piecu. Wszystkie ich interesa są takie. Byłbym dziś zerwał bezwzględnie

moją umowę z wujem, by wyjechać natychmiast, lecz porwał mi Janeczkę i na dwa dni wyjechali automobilem na jakąś eskapadę, wmawiając mi, abym pozostał ze względu na moje zdrowie. Tam znowu wieczorem powtórzyła się scena z dnia wczorajszego, w jeszcze żywszem tempie. Oburzenie poprostu oblewa mnie gorącą falą i wstyd mi notować szczegóły. Przeklęta!...

20 lipca. Rano.

Po nieprzespanej nocy obmyśliłem wszystko na zimno, spokojnie. To dalej trwać nie może, bo opadam z sił i mogę się złamać. Chłodna samoanaliza odkryła mi, niestety, iż cierpię nieludzko, jak potępieniec, poprostu z uczucia ordynarnej, samczej zazdrości, którego dotąd nie dostrzegałem w gorączce, z powodu nawału wrażeń i przeżyć.

Z chwilą, gdym to zrozumiał — faktycznie już jestem pobity przez tę kobietę. Nie wolno mi pozwolić skrzywdzić Janeczki, jej szczęścia, naszego szczęścia. Trudno: Kto mieczem wojuje, od miecza zginąć musi. Nie będzie się mną bawiła. Muszę tego potwora o boskim kształcie unieszkodliwić dla innych nieszczęśliwców, którym dla zabawki łamać będzie życie, nie mogę jej pozwolić triumfować nade mną, burzyć nam szczęście i życie — muszę ją zabić, jak tam wtedy, na statku... Idę kupić rewolwer. Wszystko mi jedno, co będzie. Czas z tem skończyć.

Tegoż dnia w nocy.

Przeżyłem piekło zwierzęcego bólu i krwawych zmagań ze sobą. Wszystko w jej oknie powtórzyło się, z większem jeszcze tylko wyrafinowaniem. Śmiała się, patrząc na mnie, oh, jak niecnie się śmiała!...

Nie mogłem się dzisiaj zdobyć na to, nie starczyło mi jeszcze sił. Jutro, jutro nieodwołalnie, gdyż pojutrze rano powracają wuj z Janeczką. Przemogę się. Będę gotów na pewno.

21 lipca.

Piszę, obserwując. Jestem zupełnie spokojny i przygotowany. Cały dzień ćwiczyłem się w strzelaniu do celu. Wieczorem wstrzyknąłem sobie dawkę morfiny. Nie spudłuję! Żegnaj, piękna gwiazdo filmowa, Dolores Issy! Samaś chciała tego, co się stanie nieodwołalnie.

. . . .

Pokój się oświetla. Wchodzi. Okno otwarte. Tem lepiej. Rozbiera się powoli. Oh, jak powoli! Każda minuta wydaje się wiekiem. Mimo opanowania drżę cały. Już! Staje naga przed lustrem, wygina się, pieści się wzrokiem, gładzi ręką swe ciało... Spogląda na drzwi, oczekując kogoś widocznie... Ah, tak?!... Mierzę długo, spokojnie. Dobrze się upozowała. Mam dobry, nieruchomy cel. Strzelam!

. . . .

Stało się. Skończone. Idę zameldować się do komisarjatu. Niech się dzieje wola Boża.

PROTOKÓŁ KOMISARJATU POLICJI.

Dnia 21 lipca 192... roku, o godz. 24 min. 30 zgłosił się do komisarjatu Nr.... obywatel polski Aleksander ..... zamieszkały od dn. 26 czerwca w domu Nr.... przy ul... w Los Angeles u znanego dobrze policji z najlepszej strony dyrektora generalnego firmy „Parkęr, Davidson & Company, Los Angeles", Mathew Mac Ulson i oświadczył, iż przed chwilą zamordował przy pomocy wystrzału z rewolweru pannę Dolores Issy, słynną artystkę filmową w jej mieszkaniu, przy ul.... w domu Nr..., o czem uważał za swój obowiązek natychmiast dobrowolnie zgłosić policji.

Wobec tego, iż policji wiadomem jest, że p. Dolores Issy zamieszkuje we własnem mieszkaniu, znajdującem się pod zupełnie innym adresem, niż wskazany, jak również wobec tego, iż policji dokładnie wiadomem jest, że wyżej wymieniona domniemana ofiara morderstwa, p. Dolores Issy jest w danej chwili nieobecną w mieście, znajdując się przy pracy w obozie filmowym, w punkcie odległym o kilkaset mil od Los Angeles, ponadto wobec jawnie chorobliwego wyglądu zgłaszającego się i niemożności wytłumaczenia przez niego jakichkolwiek szczegółów, dotyczących morderstwa, zostało zarządzone natychmiast, co następuje:

1) Ustalenie telefoniczne w obozie i w miejskiem mieszkaniu p. Dolores Issy, gdzie faktycznie ta ostatnia w chwili obecnej się znajduje.

2) Zbadanie lokalu, w którym miało się rzekomo dokonać morderstwo.

Ponieważ jednak okazało się, iż

1) p. Dolores Issy znajduje się obecnie w obozie, jest zdrowa i żadnemu wypadkowi nie uległa,

2) wskazany przez zgłaszającego się lokal nie należy do p. Dolores Issy, lecz jest jednym z pomocniczych lokalów firmy „Parker, Davidson & Company, Los Angeles",

3) we wskazanym lokalu nie miał miejsca żaden wypadek, zgłaszający się zaś nie przestawał twierdzić, iż popełnił morderstwo na osobie p. Dolores Issy,

zgłaszający się p. Aleksander ...... został odstawiony pod opieką policji do miejsca swego zamieszkania i oddany w ręce domowników, jako podejrzany o znajdowanie się w stanie ostrego ataku rozstroju nerwowego lub umysłowego".

Komisarz (podpis).

Los Angeles, dnia 21 lipca 192... r.

Tegoż 21 lipca, w nocy.

Nie jestem warjatem. Nie, nie!... Zamordowałem ją. Jestem mordercą. Dlaczego nie chcą mi wierzyć? Dziwny kraj, w którym z morderców robią warjatów i nie chcą ich odrazu aresztować. Będę im jeszcze musiał dowodzić, żem popełnił zbrodnię. Wuju, wuju, pocoś mnie tu sprowadzał! O, co za nadludzka męka!...

22 lipca.

Zaraz po swym przyjeździe wuj wyciągnął mnie tajemniczo do swego gabinetu w biurze, gdzie zamknął za nami drzwi na klucz. Takim go jeszcze nigdy dotąd nie widziałem. Promieniał radością, ściskał mnie, całował, „My boy, — zuch z ciebie! Zrobiliśmy świetny interes. Przeszedłeś moje oczekiwania. Wszystkie twoje przykre przeżycia sowicie ci się opłacą. Tylko ani słowa o niczem przed Janeczką. You see! Ani słowa. Nie powinna o niczem wiedzieć, mogłoby jej być przykro. Urządzimy tak, że i później nie dowie się o niczem"....

Jakto? Po tem wszystkiem tak rozmawia ze mną? Może chodziło mu właśnie o to, bym ją zamordował? Czy to tutaj takiemi drogami robi się interesy i pieniądze? Wybuchnąłem. Jak on śmie się cieszyć z mego nieszczęścia?! Jak on może tak rozmawiać z mordercą, chwalić kogoś za to, że popełnił zbrodnię, traktować tak lekko potworne, ohydne przejścia nieszczęśliwego zgubionego człowieka, w dodatku własnego siostrzeńca?!

Wuj poczerwieniał nagle, posiniał, jakgdyby tknął go atak apopleksji. Począł się trząść w powracających, dławiących go napadach gromkiego śmiechu. Ryczał, charczał, jęczał, zwijał się w swoim fotelu, dochodził do kurczów. Trząsł się pod nim fotel, trzęsło się biurko, o które się opierał, nie mogąc utrzymać równowagi. Łzy gradem spływały mu z zaciśniętych oczu. Teraz ja się przeraziłem nie na żarty. Nerwowy atak? Jeszcze gorzej?... — Po chwili opanował się. Wstał. Przybliżył się. Objął mnie. Niepotrzebnie się trapię. Nie jestem żadnym mordercą, zaręcza mi za to słowem honoru. Muszę to sobie wybić z głowy, opanować się, uspokoić nerwy i... jeszcze trochę być cierpliwym, a pisać dziennik. Za dwa dni nastąpi zakończenie naszego interesu, przy którym, jak się okazało, zarobię znacznie więcej, niż było przewidziane, a kto wie, czy ta sprawa wogóle nie zabezpieczy mi całego przyszłego życia. Przeprasza mnie serdecznie za bolesne, ciężkie wrażenie i moje przeżycia — lecz zrobił to wszystko dla mego dobra. Zrozumiem to wkrótce, będę mu wdzięczny. Musiał mnie narazić na te przykre chwile — była to bowiem jedyna dla mnie okazja do wyzyskania. Teraz radzi mi wziąć letnią kąpiel i zasnąć parę godzin. Wziął mnie pod rękę i sam troskliwie zaprowadził do domu.

Tegoż dnia wieczorem.

Spałem kamiennym snem do wieczora. Dotąd nie aresztowano mnie. Nie mogę zrozumieć, co to znaczy. Czyżby wuj mówił prawdę? Czyżby rzeczywiście to wszystko, co przeżyłem, było tylko moją fantazją, imaginacją chorego nerwowo człowieka?

Sen mnie pokrzepił, czuję się spokojniejszym, tylko głowa tak ciąży od natłoku myśli. Nieszczęsne okno zamknięte i ciemne. Życie w niem zagasło.

24 lipca.

Dwa dni, za poradą sprowadzonego przez wuja lekarza, spędziłem w łóżku pod czułą opieką Janeczki, która na chwilę mnie nie odstępuje, pieszcząc i psując mnie jak chore dziecko. Powoli przychodzę do siebie. Staram się nie myśleć o tamtem. Jedziemy z wujem na dłuższy spacer autem za miasto.

25 lipca.

Zaraz po śniadaniu wpadł do mnie boy [1]) z biura od wuja i zdyszany wyrecytował mi, iż „bas" [2]) prosi mnie, bym przyszedł natychmiast do „ofisu". [3]) Zastałem wuja w gabinecie, uroczystego i jakgdyby trochę wzruszonego. Miał jednak uśmiech na ustach, a w oczach igrały mu jakieś tajone błyski zadowolenia czy dumy. Tonął formalnie w stosach porozkładanych wszędzie najnowszych pism. Cały jego ogromny gabinet pływał w tej papierowej powodzi. Dostrzegłem grube czerwone linje ołówka, któremi coś było pozaznaczane w tekście. Wuj zaproponował mi przejrzenie znajdującego się tu materjału prasowego, a sam usiadł spokojnie w fotelu, paląc cygaro.

WYCINKI DEPESZ UMIESZCZONYCH GRUBEMI CZCIONKAMI NA PIERWSZEJ STRONIE WSZYSTKICH PISM AMERYKAŃSKICH.

22 lipca (Agencja Cinema): Los Angeles. Wczoraj wieczorem w Los Angeles została zamordowana wystrzałem z rewolweru najsłynniejsza w ostatnich czasach na świecie artystka kinematograficzna, Dolores Issy. Morderstwo nosi charakter romantyczny. Morderca, młody obcokrajowiec, niedawno przybyły do Ameryki, natychmiast po zabójstwie zgłosił się sam do policji. Zdradza objawy silnego rozstroju nerwowego.

23 lipca. (Agencja Leopardi). Buffalo. Na skutek informacji o śmierci Dolores Issy na tutejszej giełdzie filmowej toczą się formalnie walki o wykupienie każdego filmu, w którym artystka ta uczestniczyła. Jedna z największych tutejszych firm kinematograficznych, Pipe Pluck & Capstan Company, która ostatnio zabiegała o zakontraktowanie tej słynnej artystki, ogłosiła 50 tysięcy dolarów nagrody za najdokładniejsze sprawozdanie prasowe w przeciągu tygodnia o szczegółach zabójstwa.

24 lipca (Agencja Cinema) Los Angeles. Dolores Issy żyje. Wiadomość o zamordowaniu jej nie była jednak fałszywą, gdyż zostało faktycznie dokonane na kinematograficznej postaci wielkiej artystki.

24 lipca. (Agencja Cinema). Los Angeles. Młody miejscowy inżynier-elektrotechnik Frank Afternoon dokonał genjalnego wynalazku, który wywołał kompletny przewrót w dotychczasowej sztuce kinematografji. Stworzył on mianowicie plastyczny bezekranowy kinematograf, który można wyświetlać w normalnych warunkach każdego pokoju przy pełnem oświetleniu. W wykonaniu pierwszego filmu nowego wynalazku brała udział największa sława filmowa, Dolores Issy. O doskonałości plastyki i złudzenia, osiągniętych przez „Żywy Film", jak ochrzcił swój wynalazek genjalny inżynier, świadczy najlepiej fakt morderstwa, popełnionego pod wpływem afektu na filmowej postaci Dolores Issy przez jej młodego kompatrjotę, doskonale znającego ją z ojczyzny. Po wystrzeleniu do zjawy kinematograficznej, dostrzeżonej

---

[1]) chłopak biurowy, goniec, woźny.
[2]) szef, pan, [3]) do biura.

przez okno, desperat ów zgłosił się do policji jako morderca, a gdy go przekonywano, że jest w błędzie, nie chciał temu uwierzyć. W Los Angeles panuje niesłychane ogólne podniecenie wynalazkiem.

24 lipca. (Agencja Cinema). Los Angeles. Jednocześnie z wynalazkiem inżyniera Franka Afternoon, dokonany został przez technika kierującego działem kinematograficznym reklamowej firmy „Parker, Davidson & Company" Thomasa Murray, nowy wynalazek lampy projekcyjnej kolosalnego napięcia. Świeżo skonstruowana lampa odegrała wielką rolę w domniemanem zabójstwie Dolores Issy. Oba wynalazki zostały połączone w całość. Prawo do eksploatacji ich uzyskała znana firma reklamowa „Parker, Davidson & Company, Los Angeles".

25 lipca. (Agencja Cinema). Los Angeles. Firma kinematograficzna „Pipe Pluck & Capstan Company, Buffalo", która wyznaczyła parę dni temu 50.000 za najszybsze podanie szczegółów zabójstwa Dolores Issy, zaproponowała dzisiaj telegraficznie słynnej artystce pierwszeństwo występów w „Żywym Filmie" swej produkcji, ofiarowując jej wynagrodzenie pięć razy większe, niż zażądane ostatnio przez Dolores Issy. Propozycja została przyjęta.

---

25 lipca, w nocy.

Zdaje mi się, żem nareszcie zrozumiał wszystko. Tylko poco potrzebny był wujowi ten mój dziennik? Chyba winna im była wystarczyć rola komedjanta-statysty, jaką mi tu łaskawie wyznaczono... ku mojej korzyści... Jak ona mogła, jak mogła tak...

26 lipca.

Przez cały dzień unikałem wuja. Nie mogłem mówić z tym człowiekiem. Za dużo przeżyłem przez niego. Wieczorem przyłapał mnie jednak i zaprowadził do swego gabinetu w biurze. Rozmowa trwała dwie godziny. Ten człowiek nie uznaje uczuć i nerwów, uważa je za szkodliwy sentymentalizm dla tego, kto pragnie do czegoś dojść w życiu. Imponuje mi swym życiowym realizmem, swoją logiką, mocą i spokojem. Ten człowiek zajdzie wysoko. Przekonał mnie. Miał rację w tem, co czynił. Planując kolosalny interes, do którego powodzenia była mu koniecznie potrzebna moja osoba, pamiętał jednak o ułożeniu nam życia i zabezpieczeniu naszej przyszłości. Nie mam prawa się uskarżać, otrzymując 20.000 dolarów, zdwojono mi bowiem umówioną sumę wobec nadspodziewanie korzystnego wyniku interesu. Wuj ma rację: precz z nerwami! Interes to interes! Objął mnie i oświadczył, że teraz przestałem być grynhornem [1]), a stałem się prawdziwym Amerykaninem. Na zakończenie rozmowy poprosił o mój dziennik. Za parę dni mam się dowiedzieć poco mu był potrzebny. Przed wyjściem mem z gabinetu podał mi list... list od Isi.

Kończę mój dziennik. Za chwilę odnoszę go wujowi.

---

[1]) inaczej „zielonym"—tak nazywają w Ameryce świeżo tam przybyłych ludzi, którzy się jeszcze nie zamerykanizowali.

Wielmożny Pan Aleksander .....

Los Angeles, 26 lipca 192...

Mój drogi przyjacielu!

Proszę Cię serdecznie o przebaczenie. Daruj mi, żeś mimo Twej woli wyświadczył mi jeszcze jedną przysługę kosztem bolesnych i dotkliwych, jak sądzę, dla Ciebie przejść. Bardzo winna jestem względem Ciebie. Pocieszam się jedynie myślą, że powodowałam się nie tylko egoizmem i własną korzyścią, lecz również pragnieniem ułożenia ci materjalnego bytu w nowem życiu z Twoją śliczną i dobrą żoną, z którą podobno taki jesteś szczęśliwy.

Ponieważ przyczyniłam się do utrwalenia Waszego szczęścia, sądzę, iż nie masz do mnie żalu, żem wykorzystała Twe dawne uczucie do mnie i pomyślnie przeprowadziłam sobie sprawę, od której może zależała cała dalsza moja przyszłość, a mianowicie nowe engagement na bezkonkurencyjnych warunkach. Jak widzisz, i ja się zamerykanizowałam. Cieszę się z tego serdecznie. Amerykanie są to dzielni, pomysłowi i przedsiębiorczy ludzie, którzy potrafią zawsze pracą osiągnąć swój cel. Lecz nie myśl o mnie źle. Za dwa lata powracam do kraju, gdzie zakładam wielki instytut filmowy dla niezamożnej młodzieży, na który zbieram obecnie potrzebne środki swą pracą w Ameryce. Pragnę przyszczepić w Ojczyźnie zalety mocnego amerykańskiego narodu.

Nie byliśmy stworzeni dla siebie. Nie mogłam się wyrzec mojej sztuki, — to też przywiązaniem do niej zastąpię sobie miłość, której w życiu nie znalazłam. Z pamięcią o mej jedynej miłości do Ciebie nie potrafię należeć do nikogo innego. Nie miej do mnie żalu i nie sądź mnie surowo, iż występowałam naga w owym próbnym plastycznym filmie nowego wynalazku, który specjalnie dla Ciebie wyświetlano nocami w oknie naprzeciwko. Grałam raz w życiu dla Ciebie! Bądź pewien, że oprócz Ciebie nikt więcej nie ujrzy tego filmu, gdyż po osiągnięciu zamierzonego celu oryginał spaliłam dziś rano własnemi rękami przed mym odjazdem w świat.

W chwili gdy będziesz czytał to pismo, będę już pozowała w mem nowem engagement u stóp piramid, dokąd przenosi mnie zaraz oczekujący już kurjerski aeroplan. Bądź zdrów i bardzo szczęśliwy, mój przyjacielu! Dziękuję Ci za oddaną mi wielką przysługę.

Twoja Isia.

Numer 273 tygodnika „Cinema Weekly" z dnia 5 sierpnia 192... zawiera opowiadanie pod tytułem:

„MANUSKRYPT CZŁOWIEKA, KTÓRY ZABIŁ."

Pod tytułem dopisano: Własność Agencji Reklamowej „Parker, Davidson & Company, Los Angeles." Po słowie „Koniec", umieszczonem pod

opowiadaniem, znajduje się wielkie ogłoszenie treści następującej:

REKLAMUJCIE SIĘ TYLKO PRZEZ BIURO „PARKER, DAVIDSON & COMPANY, LOS ANGELES"

Jest to, jak widzicie, najbardziej przedsiębiorcze biuro w Ameryce. Przy pomocy swej niewyczerpanej pomysłowości przeprowadziło ono powierzoną sobie przez piękną Dolores Issy trudną sprawę pożądanego dla niej engagement, jednocześnie bezkonkurencyjnie wprowadzając w świat dwa nowe wynalazki, które dokonały przewrotu w kinematografji

KUPUJCIE APARATY KINEMATOGRAFICZNE „ŻYWY FILM" FRANKA AFTERNOON!

Precz z przestarzałym ekranowym kinematografem!

KUPUJCIE LAMPĘ PROJEKCYJNĄ „SUNLIGHT" THOMASA MURRAY!

Kto nie wierzy w powyższą historję, niech pójdzie na ulicę Filmową w Warszawie, a tam, pod Nr. 13 ujrzy piękny szyld na drzwiach stylowej kamienicy:

ALEKSANDER ...SKI
Generalny Reprezentant na Polskę
Agencji Reklamowej
„Parker, Davidson & Company, Los Angeles"
Generalna Reprezentacja
APARATÓW DO KINEMATOGRAFJI „ŻYWY FILM"
I LAMP PROJEKCYJNYCH „SUNLIGHT".

Koniec.

Polski Monopol Tytoniowy

Geneza i działalność Polskiego Monopolu Tytoniowego

Zaprowadzony ustawą z dnia 1 czerwca 1922 r. Monopol Tytoniowy, jako jednolita forma opodatkowania tytoniu w całej Polsce, nie jest na ziemiach polskich nowością, lecz przedstawia się raczej, jako nawiązanie do starej tradycji dawnej Polski, gdzie istniał on już w r. 1776, najpierw w formie dzierżawy, wypuszczonej w ręce konsorcjum prywatnego, a następnie, począwszy od uchwały Sejmu Czteroletniego z dnia 16 października 1789 r., w formie własnego Zarządu Skarbowego, a zatem w tej formie, w jakiej on dzisiaj w Polsce Odrodzonej istnieje. Motywem do objęcia eksploatacji monopolu we własny Zarząd Skarbowy była dążność Sejmu Czteroletniego do sanacji finansów Państwa i uzyskania możliwie znacznych dochodów z gospodarki monopolowej. I istotnie z chwilą przejęcia monopolu we własny Zarząd Skarbu dochody z tego źródła wzrosły znacznie w porównaniu z dochodami lat ubiegłych, gdyż o blisko 50 proc.

Po trzecim rozbiorze Polski państwa zaborcze wprowadziły na zabranych ziemiach własne systemy opodatkowania tytoniu, a mianowicie system monopolu na terytorjum b. zaboru austrjackiego, system opłat benderolowych na terytorjum b. Królestwa Polskiego, w zaborze pruskim zaś system akcyzy od tytoniu krajowego i papierosów.

Ta różnorakość systemów opodatkowania tytoniu, jaką zastała po zaborach budząca się do nowego życia państwowość polska, przetrwała faktycznie do 1 sierpnia 1924 roku, gdyż mimo wydania ustawy z 1922 roku, zarządzającej jednolity monopol dla całego Państwa, ostateczne wykonanie tej ustawy i wprowadzenie pełnego monopolu, skutkiem braku odpowiednich środków finansowych, przeciągnęło się aż do 1924 roku. Doświadczenie jednak tych paru lat, poprzedzających wprowadzenie pełnego monopolu, wykazało zupełną słuszność zapatrywania Sejmu Czteroletniego, za którym poszedł też Sejm Ustawodawczy 1922 roku, że jedynie racjonalną i dla Skarbu Państwa najkorzystniejszą formą opodatkowania tytoniu jest Państwowy Monopol, prowadzony we własnym Zarządzie Skarbu Państwa.

Wykazuje to w szczególności następujące krótkie zestawienie rezultatów finansowych akcyzy i Państwowego Monopolu z lat 1920 do 1924 roku.

Stan posiadania w przemyśle tytoniowym w chwili reaktywowania Państwa Polskiego był mianowicie ten, że przemysł prywatny, opłacający Skarbowi Państwa akcyzę od gotowych wyrobów, dysponował 99 fabrykami, wyposażonemi we wszelkie potrzebne środki produkcji, podczas gdy Skarb Państwa odziedziczył po okupantach jedynie parę objektów fabrycznych, położonych w Małopolsce i to w stanie zupełnej niemal ruiny, gdyż oprócz fabryki tytoniowej w Krakowie wszelkie inne objekty fabryczne zostały na skutek wojny bądź zupełnie spalone, bądź też tak zdewastowane, że bez kapitalnej odbudowy użyć się nie dały. Dzięki nieznacznemu stosunkowo zapasowi gotowych wyrobów odziedziczonych po b. Austrji, z uzyskanego stąd kapitału obrotowego zdołał jednak Zarząd Monopolu w najkrótszym czasie uruchomić własną fabrykę w Krakowie oraz zająć się remontem innych odziedziczonych po okupantach objektów fabrycznych.



Hala maszyn w Państwowej Fabryce wyrobów tytoniowych w Warszawie.

Mimo tak znacznej dysproporcji sił (99 fabryk prywatnych na dwie państwowe) Monopol Tytoniowy, prowadzony narazie w Małopolsce, daje już w pierwszych latach eksploatacji rządowej stosunkowo nieporównanie wyższe dochody, niż akcyza z fabryk prywatnych z całej reszty kraju. W roku 1920 mianowicie dochody z akcyzy wynoszą od wszystkich 99 fabryk prywatnych kwotę Mk. pol. 561,987,453, dochody zaś z produkcji dwóch państwowych fabryk kwotę: 354,776,323 Mk. polskich i w tym samym mniej więcej stosunku w roku 1921 i 1922.

Niezależnie od bieżących dochodów z własnej produkcji wnosi jeszcze Mo-

nopol Skarbowi Państwa stosunkowo b. poważny majątek w formie nowoodbudowanych fabryk małopolskich, nowych magazynów, instalacyj, surowców tytoniowych i materjałów ekonomicznych.

Na skutek przeprowadzonych inwestycyj, dokonanych bez żadnych wkładów gotówkowych ze strony Skarbu Państwa, zatem własnemi siłami Monopolu, jak również na skutek raźno postępującej rozbudowy, układ sił w przemyśle tytoniowym w połowie roku 1924 przedstawia się w ten sposób, że po stronie przemysłu prywatnego pracuje 99 fabryk, Państwowy zaś Monopol reprezentuje 9 fabryk. Dzięki temu częściowemu przesunięciu sił na korzyść produkcji monopolowej wzrastają też w szybkiem tempie dochody, płynące z tego źródła dla Skarbu Państwa. W 1923 roku dochody te wynoszą nieosiągniętą nigdy dotychczas kwotę przeszło 42 miljonów złotych, począwszy zaś od stycznia 1924 roku, dochody te z miesiąca na miesiąc rosną nadal w przyśpieszonem tempie.

Fakt stałego wzrastania dochodów Skarbu Państwa w miarę rozwoju i krzepnięcia organizacji monopolowej skłonił też ostatecznie Ministerstwo Skarbu do zarządzenia definitywnego zlikwidowania prywatnego przemysłu tytoniowego z dniem 31 lipca 1924 r. tak, że, począwszy od dnia 1 sierpnia 1924 r., całą krajową produkcję tytoniu ujął w swój zarząd Polski Monopol Tytoniowy.

Polski Monopol Tytoniowy jest przedsiębiorstwem państwowem o charakterze zupełnie samodzielnej osoby prawnej. Majątek zakładowy tego przedsiębiorstwa składa się obecnie z następujących fabryk: z dwóch fabryk w Warszawie („Miasto" i „Ochota"), z trzech fabryk w Poznaniu („Jeżyce", „Łazarz" i „ul. Bukowska"), oraz fabryk w Krakowie, Radomiu, Monasterzyskach, Kowlu, Zabłotowie, Łodzi, Winnikach, Starogardzie, Bydgoszczy, Grudziądzu, Inowrocławiu, Kościanie, Wodzisławiu, Wilnie, Grodnie i Białymstoku.

Wszystkie powyższe fabryki, jak również dawne fabryki własne monopolu zaopatrzone są we wszelkie urządzenia techniczne wedle wymogów najnowszej techniki fabrykacyjnej, we własną z reguły siłę popędową i potrzebne instalacje siły i światła, jak również we wszelkie maszyny służące do fabrykacji tytoniów, gilz i opakowań oraz potrzebne środki transportowe. Jak to widoczne jest z zamieszczonych tutaj odbitek fotograficznych, fabryki monopolowe mieszczą się z reguły w dużych, jedno do trzech piętrowych budynkach fabrycznych, zbudowanych masywnie z cegły i żelbetonu, o salach dużych i wysokich, pełnych powietrza i światła, ogrzewanych centralnie, nieprzeładowanych maszynami, w których robotnik może się swobodnie poruszać i pracować wśród bardzo dobrych warunków dla zdrowia. Pod względem zainstalowania poszczególnych oddziałów fabrykacyjnych można przeważną część fabryk monopolowych uważać za ostatni wyraz techniki — ponieważ ruch fabrykacji odbywa się sukcesywnie, regularnemi posunięciami w kierunku ekspedycji, tak, że usunięta jest powrotność ruchu fabrykacyjnego w kierunku wstecznym, co zmniejsza koszta fabrykacyjne i ułatwia znacznie kontrolę. Przy niektórych fabrykach istnieją żłobki, w których robotnice mogą pozostawiać na czas pracy swój drobiazg dziecięcy pod czujną opieką fachowych pielęgniarek, dalej ambulatorja lekarskie i ochronki.

Przedsiębiorstwo polskiego Monopolu Tytoniowego dysponuje następującemi Państwowemi Magazynami wyrobów tytoniowych: w Katowicach, Stanisławowie, Lwowie, Rzeszowie, Przemyślu, Kołomyi, Kaliszu, Wadowicach, Kielcach, Lublinie, Nowym Sączu, Toruniu, Wilnie, Częstochowie, Jagielnicy, Równem, Krzemieńcu, Brześciu n/Bugiem i Poznaniu, posiada pięć własnych magazynów fermentacyjnych (urzędów wykupu tytoniu krajowego) w Borszczowie, Krzemieńcu, Jagielnicy, Monasterzyskach i Zabłotowie, następnie cztery magazyny surowców tytoniowych w Oświęcimiu, Aleksandrowie Kujawskim, Warszawie oraz w Maczkach (Granicy) oraz sklepy detaliczne w Warszawie, Poznaniu i innych miejscowościach.

Dzienna produkcja Polskiego Monopolu Tytoniowego wynosi obecnie około 48.000 kg. tytoniu, przerabianego na cygara, papierosy ustnikowe i bezustnikowe, tytonie krajane, machorkę i tytonie fajkowe oraz tabakę do zażywania. Wyroby te wytwarza się z oryginalnych tytoni zagranicznych i krajowych, pierwszorzędnej jakości bez jakichkolwiek obcych domieszek czy surogatów.

Z chwilą zlikwidowania przemysłu tytoniowego



Żłobek dla dzieci robotnic w Państwowej Fabryce wyrobów tytoniowych w Warszawie.

i objęcia produkcji wyłącznie w ręce monopolu dochody z omawianego źródła podatkowego wzmogły się b. znacznie. Gdy w r. 1923 dochody te przy mieszanym systemie produkcji wyniosły, jak wyżej wspomniano, zaledwie kwotę 42 miljony złotych, to w roku 1924 dochody te wyniosły kwotę 133.500.000 zł., a zatem wzrosły przeszło trzykrotnie w porównaniu do 1923 r.

Niezależnie od produkcji i wyrobów tytoniowych Polski Monopol Tytoniowy zajmuje się również intensywnie uprawą tytoni krajowych. Prócz Wschodniej Małopolski dopuszczono do uprawy tytoniu niektóre połacie województw wschodnich oraz powiaty grudziądzki i rybnicki. Dzięki licznym ułatwieniom i udzieleniu technicznej pomocy plantatorom, racjonalna uprawa tytoniu krajowego wzmaga się z roku na rok. Podczas gdy zbiory 1919 r. dały zaledwie 14.000 kg. tytoniu, zbiory te na r. 1925 przewiduje się około 1 miljona kg. tytoniu.

Nadmienić wkońcu wypada, że Polski Monopol Tytoniowy mimo skierowania z natury rzeczy swych sił przedewszystkiem w kierunku zapewnienia Skarbowi Państwa jak największych dochodów, nie zapomina też o swych zadaniach charytatywnych i obowiązkach wobec inwalidów wojennych, których słuszne postulaty stara się w jak najszerszej mierze uwzględniać przy obsadzaniu hurtowni i sklepów tytoniowych.

90



MAREK ODROWĄŻ

BOHATER POWIEŚCI M. H. SZPYRKÓWNY „PROROK Z PUSZCZY".

Rysował Antoni Gawiński *Klisza wyk. w Zakł. W Główczewskiego*

Prorok z Puszczy

Z filmopisu człowieka nieznanego

M. H. Szpyrkówna

Samopas przebijający się przez życie młody prowincjał Marek Odrowąż przechodzi ciężką szkołę stołeczną. Miasto go naprzód odpycha przeczuciem okrucieństwa, potem — pochłania urokiem swych oszałamiających tajemnic. Poznaje je głównie w środowisku filmowem, gdzie go rzucił nieprawdopodobnym przypadkiem los, i to w sposób, który rujnuje naraz jego siły, wiarę i młodzieńczy zapał. Jako ubogi mechanik i nieuznany jeszcze wynalazca, zakochuje się pierwszą miłością w primadonnie i naraża ją niefortunnem wtargnięciem wobec jej protektora-księcia. Gwiazda, uniesiona pasją, zdziera mu z oczu obsłonki złudzeń co do charakteru jej stosunków i, wobec księcia, wyprasza romantycznego kochanka za drzwi. Marek się rzuca z mostu na Wiśle, ale nieszczęśliwie zostawia portfel, w którym list, zaadresowany do pięknej miss Liany, stawia księcia au courant istotnego stanu rzeczy i powoduje scenę. Gwiazda pięknej aktorki grozi poważnem zmierzchnięciem.

Z ogólnej czerni niebytu wydostało Marka nawierzch pewne nad wyraz miłe, łagodne kołysanie. Koiło, jak najśliczniejszy rytm nieprzełożonej na słowa pieśni. Podłożyło się miękkiem skrzydłem pod obolałą bezmyślność, w której trwał i wyniosło na światło świadomości. Nie była to cała świadomość, lecz w każdym razie pewien jej przebłysk. Oświetlił jedno tylko, banalne jak katarynka w tym wypadku, a niemniej dla każdego nowe jak zmartwychstanie wrażenie:

— A więc, żyję.

Pewność ta, niezabarwiona jeszcze żadnym afektem in plus ani in minus, stanowiła poprostu skonstatowanie faktu. Płynęła nie z kołysania, gdyż to miało wdzięk raczej nadziemski. Składały się na nie inne zmysły. Wilgotny powiew chłodził twarz, powiew mokradeł letnim wieczorem, znany jeszcze z dzieciństwa. Zdaleka i gdzieś zboku skrzypiał monotonnie w trawie głos jakiegoś nocnego ptaka. Były to rzeczy ziemskie, na pewno znane, tutejsze. Uniósł się na łokciu, aby przebić okiem ciemność, nakrytą przez gwiazdy. Natychmiast jednak nieznośny, przenikający do głębi ból przeszył mu ciało w kilku naraz miejscach. Jęknął na głos i opadł z powrotem, uderzając o twarde deski. W tejże chwili uczuł, że ktoś, ciemniejszy na tle mroku, pochylił się nad nim i przykrył chropawym, ciepłym kocem. A więc był nie sam! Ktoś dbał, o co dbać należało.

Niezmierny spokój spłynął w jego duszę. Z westchnieniem najgłębszej ulgi przymknął oczy i pogrążył się znowu w rozkołysany łagodnie sen, poprzez który, jak przez zasłonę z gazy, dochodził go plusk wody i monotonny, daleki ptasi skrzyp.

Obudziło go poczucie obecności kogoś, pilnie patrzącego. Otworzył oczy i spojrzał przytomnie. Nikogo żywego jednakże w pobliżu nie było. Promyk słońca, złoty i radosny jak rozbawione dziecko, tańczył leciuchno po ścianie poprzez zielony mrok drzew za otwartem oknem. Tuż przy tem oknie, po wiejsku małem i w drobną szybkę, stał tapczan wymoszczony pachnącem, jak wyszukany balsam sianem. Na tem to łożu ktoś nieznany złożył jego, Marka, bezwładne ciało. W otwartym czworoboku okienka widać było moc zieloności i słońca. Pachniał i szumiał las. Marek zamknął oczy i z precyzyjną rozkoszą, powoli, wciągnął w płuca kilkakroć wielkie, zachłanne wdechy powietrza. Były w niem skondensowane zasoby odżywczych pierwotworów, które przyroda chytrze narządza w laboratorjum magicznem w ziemi: Coś z parującej w słońcu żywicy, ulatniającej się o zachodzie duszy kwiatów, niepokalanej przez chemikalje sztuczne ziemi i świeżości powietrza, bliskiego gwiazd.

Kuracja nie zawiodła. Czuł nieomal dosłownie ożywczy, musujący przelew wetchniętego przez organizm ozonu, jak po wypiciu wina. Uczuł się odrazu silniejszy. I natychmiast świadomość skonfrontowała go z pytaniem:

— Gdzie jestem?

Był w lesie, to jedno nie ulegało wątpliwości. Ale u kogo? I gdzie byli ci leśni mieszkańcy?... Obwiódł wzrokiem izbę. Wyglądało to, właśnie jak izba, nie pokój: ściany z okrągłych, świeżych bierwion jeszcze się złociły tu i tam złotemi skrzepami żywicy. Uśmiechnął się do tego prawie rosnącego jeszcze domku, o szparach, zarobionych siwym mchem. Nic sztucznego, żadnych papierowych tapet, malowanych posadzek, trumiennych tynków i sufitów. Na białych deskach podłogi leżał świeżo ścięty tatarak, i w powietrzu unosiła się ostra i świeża woń. Pod pułapem wisiały naręcza suchych i suszących się jeszcze ziół; czuć było macierzankę i rześką miętę. Umeblowanie nie grzeszyło przesadą: dwa stoły, kilka krzeseł i szereg półek, zawieszonych płótnem pod jedną ze ścian. Było to jednak bezwzględnie mieszkanie inteligenckie: sposób ustawienia niebogatych sprzętów, kilim łowicki na ścianie, kilka książek na stole, na którym stało coś więcej pod białym ręcznikiem — i stalugi. Ku tym stalugom oczy Marka powędrowały z niebylejakiem zdziwieniem. Nie było

życzliwe. Stalugi! Przypomniały mu coś specyficznie miejskiego, niemiłego, „tamtego". Malowane obrazy, malowane dekoracje, malowane usta... Wzdrygnął się z niechęcią i uczuł gorycz na wargach. Odwrócił oczy ku oknu, na dziecięcą świeżość maleńkiej słonecznej łączki przed oknem i nagle zrozumiał, co go obudziło. Pod olszyną, wyciągając ciekawie i płochliwie zalotną główkę ku oknu, stała płowa sarenka, prawdziwy leśny duszek wyczarowany w ciszy popołudnia. Zataił dech, bojąc się spłoszyć małego gościa. Nie bała się jednak bynajmniej. Musiano ją karmić z tego okna, gdyż przyszła parę kroków bliżej i wyciągnęła szyję. Marek z żalem spojrzał na swoje próżne ręce. Nie wyobrażał sobie nawet, żeby można było aż tak bardzo chcieć pogłaskać ręką aksamitny pyszczek, spojrzeć zbliska w orzechowe, rzewne oczy. Cóż mógł jej dać tutaj, on!..

Nasunęło mu to dalsze problematy. Należało wrócić do rzeczywistości. Gdzie był? I czy jest w pobliżu kto żywy?..

Poruszył się ostrożnie, z nieufnością wobec zaczajonego gdzieś w kościach ostrego bólu. Na ten raz jednak mógł to uczynić dość sprawnie. Spuścił nogi z tapczanu i, przeszedłszy przy ścianie dwa kroki, pchnął drzwi.

Gorące, letnie słońce lunęło mu w oczy ulewą blasku. Zmrużył na chwilę źrenice i poczuł, że głowa mu płynie w pomarańczowo-zielonych kołach pręg. Wdychał jednak powietrze. Powoli oswoił się ze światłem po półmroku izby. Odpoczął chwilę wzrokiem na młodej, ślicznej zieleni polanki, zamkniętej, jak szmaragd, w pierścień lasu. Dokoła panowała nienaruszona cisza, w którą tu i tam wlewał się cichutki ptaszęcy śpiew.

Pod trzema wyniosłemi sosnami opodal widniało coś jak szeroka, darniowa ławka. Opierała się już nieomal o ścianę puszczy. Niezwyciężone pragnienie, żeby tam wejść, wniknąć w tajemniczo szumiącą głąb, upoić się leśną wonią, nieomal boleśnie opanowało Marka. Postąpił krok i drugi zupełnie pewnie i tuż za progiem uczuł sprężystą, świeżą darń murawy. Trzeciego już jednak nie zrobił: obsunął się na trawę tam, gdzie stał, z uczuciem, że ziemia uchodzi mu z pod nóg. Stracił nagle z oczu wszystko: leśniczówkę, sosny, polankę. Leżał nieruchomo, twarzą ku ziemi, przytomny, ale zupełnie wyzuty z sił; przed okiem, wpółotwartem na przesłonecznione źdźbło trawy, widział zabiegliwą mrówkę, pracowicie ciągnącą skrzydełko ćmy. Przyglądał się bezmyślnie małemu stworowi i jego nadmiernym wysiłkom. Mrówka podsiadała się i unosiła szary płacheć skrzydła, podobny do małego żagla, i czas jakiś zwycięsko sunęła na niewidocznych nóżkach. Potem zaczepiało się o jakie źdźbło czy kolanko trawy i utykało. Trzeba było szukać okólnych dróg, popychać, wywlekać, ciągnąć z iście mrówczą skrętnością, aby dowlec wreszcie—wielkoludzką zdobycz do gniazda. Gdzie było? Daleko, gdyż na polanie kopca nie można było dopatrzeć.

Leżąc bez ruchu, uzdrowieniec zastygłą źrenicą przyglądał się tym zabiegom, i oko, jak wierna klisza, odbijało wrażenia mózgowi. Nie stać go było na myśl. Jednakże gdzieś głęboko, jak podskórna woda w ciemni i mroku ścierały się jakieś niesformułowane impulsy. Nie mrugając, obserwował mrówczą pracę i jednocześnie, jakgdyby magicznym reflektorem, coś w nim transponowało ją na inne, psychiczne płaszczyzny. Przeglądał niejako dziecinną łamigłówkę, która dla wtajemniczonych taiła swój głęboki, odrębny sens.

Powoli, jakgdyby wbrew sobie, współpracował z małym owadem. Podłożył się niejako pod to ciężkie skrzydło, czuł nieomal dotykalnie na barkach jego ciężar. Stawało się wielkie, coraz większe, przytłaczające. Było jak płacheć szarego nieba, które musiał oto wziąć na barki i odwalić, aby zobaczyć słońce. Czem było to skrzydło? Nie wiedział! Może skrzydłem jego niezbudowanego nigdy samolotu ze sztubackich czasów, może — skrzydłem jego zabitego marzenia, które chciał pochować wraz z życiem na dnie wody? Może — życiem, tym płachciem szarego życia, które mu włożył na ramiona los? A on, Marek, mała mrówka wielkiego miejskiego usypiska, wlókł je zacięcie i uparcie, aby odrobić swoje i żyć! Wlókł, jako mały podrzutek w ochronce, jako głodujący na korepetycjach sztubak, jako szaleniec — wynalazca na studenckim czwartaku — jako idjotycznie zakochany w primadonnie robociarz — mechanik filmowy, który przez trudy i niewywczasy dnia powszedniego torował swe drogi młodzieńczych wzlotów do gwiazd. I gdy już mu się zdawało, że jeszcze krok jeden, a dojdzie — że jeszcze chwila a zrzuci ciężar, odwali chmurę, schwyta Szczęście jak złotego ptaka w tęskniące dłonie: wtedy ktoś, czyje niewidzialne oko śledziło jego zabiegi, ktoś ogromny i nie do zwalczenia, ktoś nienawistny i nienawidzący wziął taką oto grudkę ziemi, która dla niego była ciężkim głazem, i —

Skrzywionemi kurczem palcami ścisnął wydartą z murawy kępkę ziemi. Mrówka już właśnie przyholowała swój łup do dołku, gdzie zamierzała go złożyć na spiżarnię, i pracowicie zabiegała, aby go zepchnąć wdół. Uniósł się na łokciu i nienawistnym wzrokiem przyjrzawszy się jej zabiegom, cisnął nagle z całej siły trzymany zlepek wprost na skrzydło, które momentalnie skryło się pod rozsypanym piaskiem. Widać było przez to jakieś przewrócone niemocnie do góry, rozpaczliwie poruszające się mrówcze nóżki. Zmełł w zębach ciężkie, bluzgające szyderstwem słowo i krzywiąc się od bólu, podniósł się, aby odejść precz.

Pod ręcznikiem na stole w izbie znalazł pewne mleczarniano-warzywne, dość spartańskie, zasoby. Zjadł cośniecoś i usiadł na ławie pod oknem, podparłszy głowę. Dokoła wciąż była cisza i bezlu-

dzie. Siedział chwilę, patrząc na zapalające się w górze gwiazdy. Puszcza głucho szeptała. Jakże różne było od welkomiejskiej ulicy, w kasku reklamy, jęku aut! Jakże inaczej pachniało, jak perfumy...

Wetchnął balsamiczne powietrze i nagle, ostro uświadomił sobie, że jednak żyje, że jednak los nie zmiażdżył go do reszty. Spuścił głowę i poczuł krew wstydu na twarzy. Gdyby mógł teraz odwalić tę ziemię z bezradnych, stawianych nóżek, gdyby mu mógł powetować dziki, ohydny odruch zła! Doczekał się księżyca i, pochylony, wyszukał miejsce. Natychmiast jednak z odrazą się odwrócił: na pobojowisku, jak szakale, uwijały się jakieś wielkie, rude rabusie owadziego rodu; objedzone skrzydełko ćmy dogorywało opodal. Vae victis!... Odszedł z ciężkiem sercem, i nie wiedział, kogo ma przepraszać za zbrodnię bez rozgrzeszenia.

* * *

Zmartwienia, spotykane w życiu, miss Liana oceniała głównie z dwu stanowisk: istotnej ich doniosłości oraz szkodliwego wpływu na cerę. Z tego wszystkiego, niezależnie od ich oceny przykrości, w chwilach przełomowych, używała niezawodnie i bez zmiany jednego wypróbowanego środka: kładła się do łóżka przy spuszczonych roletach i nie wpuszczała do siebie nikogo poza pokojówką z owocami i najlżejszem menu. Ulgi trawieniowe smakowicie wpływały na przypływ naddatku energji do ośrodków myśli, i po dwu, najwyżej — trzydniowej prostracji miss Liana zmartwychwstawała pod zbroją, z całkowitym planem kampanji w ślicznie ufryzowanej główce.

Wypadek ostatni był zbyt doniosły, aby się dał zbyć byle czem. Miss Liana przeszła serdeczny ataczek płaczu, tupania, złości i wreszcie głębokiej rzewności ku sobie samej. Zosia przynosiła bromosole i inne specyfiki i wdziała filcowe pantofle, co oznaczało wagę wyjątkową. Wszelkie wizyty, interpelacje z Filmony i rachunki krawieckie niedociekały dalej, jak do witrażowego hollu, na wyraźny zakaz gwiazdy. Gwiazda w prześlicznym czepeczku z końcami i koronkowej pajdżamie, cała na lila, siedziała wsparta o poduszki wspaniałego łoża pod baldachimem, jak umierająca Violetta. Denerwowało ją niezmiernie, że mimo ścisłą dietę i zupełny spokój, żadne odpowiednie rozwiązanie sprawy nie przychodziło jej na myśl.

Piątego dnia wstała. Uznała, że pauza była dość długa, aby się książę zaczął niepokoić. Znając zaciętość tych złotych zębów, wiedziała, że będzie czas jakiś trwał w obrażonej godności, i że do niej, Liany, będą należały pierwsze posunięcia dyplomatyczne. Należało jednak być złamaną. Należało chorować — o czem na książęcej połowie będą bezwzględnie wiedzieli — nie wywoływać żadnych alarmów — znieść obrazę niezatroszczenia się o nią — i okazać potem twarz anielsko-łagodną, jakkolwiek powleczoną pudrem. Z natury miss Liana miała prześliczną cerę, względnie rumieńce i melancholję musiała sobie nadrabiać u Dozin'a.

Zdecydowała więc zacząć nie od księcia, tylko od Filmony. Ostatecznie, porzuciła zdjęcia w toku. Należało się dowiedzieć, co tam się dzieje. Ujęła telefon i zrobiła osłabiony głos.

— Hallo? Filmona?.. Mówię z Alei Róż. Czy jest dyrektor?

Słuchawka się zmieszała. Czas jakiś słychać było śpieszne szepty i szurgoty, poczem chłopiec do drzwi odpowiedział zająkliwie, o ton za bardzo wysokim głosem:

— Pana dyrektora niema. Wyszedł. Będzie za godzinę.

Za godzinę jednak nie było go jeszcze. Po południu Liana zadzwoniła do domu dyrektora. Zdawało jej się, że słyszy narazie jego głos. Następnie jednak dowiedziała się, że go niema.

To było szczególne. Miss Liana miała swój pogląd na życie, skrócony ale dorzeczny, jak słownik kieszonkowy do podróży przez życie. Stało w nim między innemi, że osoby na pewnem stanowisku zasadniczo nie mogą napotykać takich rzeczy, jak niezastanie, niezałatwienie, nieprzyjęcie i temu podobne negatywy. Z chwilą gdy je to spotykało, powinny były tego za pierwszym razem bezwzględnie nie zauważyć: Rzeczy niebyłe nie mogą kompromitować. Dwukrotny wypadek wymagał już uważnej rewji pewności swego stanowiska. Trzykrotny zaś negatyw tego typu był już wogóle rzeczą niedopuszczalną, gdyż znaczył to samo, co opuszczenie przez szczurów okrętu, który ma zatonąć. Symbolizował katastrofę. Miss Liana poważnie, poważnie się zaniepokoiła. Dotąd była na stanowisku, niedopuszczającem podobnych niezastań po trzech telefonach. Czyżby to znaczyło, że w związku z tym awanturnikiem i jego głupim wybrykiem...

Wyczekała godzinę i kazała odźwiernemu zadzwonić od spółki poznańskiej, że w sprawie obstalunku pragnie się rozmówić z dyrektorem. Dyrektor był. W sekundę potem zatelefonowała sama od siebie. Aut — aut!..

— Filmona? Chciałam się rozmówić z dyrektorem. Tylko prędko!

— Pan dyrektor jeszcze nie wrócił. Dziś pewnie już nie będzie wcale.

Poleciła poprosić dyrektora, aby zadzwonił do niej i miała już, co chciała. Dyrektor jej unikał, to było jasne. Ale dlaczego?.. Liana zachodziła w głowę. Czyżby książę — — w jaki bądź sposób — — Nie! Książę był jednak dżentelmenem. „Tej kanalji" swoich tak — intymnych — przejść nie byłby zwierzał, i cóż im zresztą po tem! Pretensja o mechanika? Zasępiła się na chwilę, ale odrzuciła i to. Film nie bawi się w sentyment, nie dający się obliczyć na metry. Gdyby mechanik grał, o! wtedy! Ale tylko nastawiał światła. O takiego, jeśli skoczy do Wisły, nie będą robili ansy gwieździe. Nawet

jeśli wiadomym jest ten idjotyczny list — — Więc co? Więc co?

Pytanie to zostało na warsztacie. Trzeba było działać. Nazajutrz Liana ubrała się w dyskretną pół-tonowość, mogącą ujść i za przyzwoitą kondolencję pośmiertną, i o jedenastej była w Filmonie. Należało chwycić rzeczy za łeb, zanim zaczną spadać na głowę.

Weszła w chwili przerwy, gdy palono i rozmawiano, w ścisłem kółku w poczekalni. Odrazu szóstym zmysłem wiedziała, że mówiono o niej lub o czemś w związku z nią. W środku stał sam dyrektor.

Zbliżyła się swobodnie, z lekkim dąsem.

— Ślicznie. Państwo o mnie zupełnie zapomnieli! Fatalnie się czułam, umierałam na jakąś grypę, czy coś. A dyrektor, mój Boże! Nie mogłam się dobić do tej Filmony ani rusz... Myślałam już, że dyrcio zwiał do Ameryki, albo gdzie.

Fabrykant się bezradnie bronił, witając. Z wewnętrznym upadkiem ducha zauważyła o pół tonu lżejszy, niż zwykle ukłon i o cały ton mniej słodki głos.

— Wolne żarty! To szanowna pani na nas nadąsana. Obawialiśmy się, że już nas opuści na zawsze, wraz z księciem — —

— Co! Książę zdradza Filmonę. Ausgeschlossen! — śmiała się kunsztownie Liana. — E! Nie wytrzyma bez dyrektora, niema mowy. Za tydzień się przeprosi.

— Takby być powinno, no! Ale skoro do Afryki?.. Będziemy musieli poczekać dłużej. Chyba, że pani ma jakieś milsze wiadomości?.. Do mnie tylko telefonował prawie w nocy, więc krótko, z dworca. Rozumiałem, że albo tak nagły wyjazd wytrącił panią, jako najbliższą sąsiadkę, z równowagi, albo też książę ubłagał panią o towarzystwo i szykuje pani kreację Beduinki na wyjazd. Zdaje się, że Polski jeszcze nie zdążył opuścić, bo wczoraj dostałem jakiś zaległy czek ze wsi.

Małe, świdrujące oczka badały ją poprzez lekką konwersacyjkę uważnie i złośliwie. Liana uczuła nerwowy skurcz ust, aby krzyknąć: — Łajdak!.. Oczywiście, w kierunku księcia. Podczas kiedy ona choruje i obmyśla tak mądrze, tak jedynie co dalej ma z nim zrobić, on — bydlę!... Złotozęby manekin wiedeński!.. wyjeżdża bez słowa do Afryki, każąc jej na ulicy dowiadywać się, że go już niema i świecić oczami!..

Skondensowała pasję w końcu pantofla, który się wybitnie denerwował i ozdobiła twarz jak mogła.

— Ach! Cóż ja wiem? Nie mam pojęcia. Radziłam w każdym razie księciu wyjazd, bo nie skończył kuracji i był w fatalnym humorze. Panowie są tacy nieznośni! Ale może pójdziemy do mnie do garderoby. Chciałam pomówić z dyrektorem o tem i owem.

Przesunęła wzrokiem po dyskretnym kostjumie tailleur, który mógł ujść i za pół-żałobę, naprowadzając melancholijnym uśmiechem dyrektorską zapłyniętą tłuszczem myśl na sprawę samobójstwa mechanika. Nie wątpiła, że o tem wiedzą i chciała unieszkodliwić konsekwencje.

Dyrektor niespokojnie się zakręcił.

— Właśnie, sam chciałem panią prosić, ale zaszło nieporozumienie, garderoba łaskawej pani jest chwilowo zajęta.

Liana stanęła krótko i schwytała na smycz spojrzenia, niedziewczęco przenikliwego, spłoszone dyrektorskie oczęta.

— Co to znaczy? Panie dyrektorze? Zdaje mi się...

— Wreszcie trudno! Tak jest, mamy nową koleżankę, która chwilowo zajęła ubieralnię pani. Ostatecznie, rzuciła pani w toku całą robotę, nie uprzedzając, książę wycofał wkład, sądziłem — nie mogłem dopytywać. Wzmianki w pismach były co do wiadomej pani sprawy bardzo! bardzo niemiłe... — Przypuszczaliśmy, że właśnie ten wyjazd księcia — i wycofanie wkładu — że pani uznała za lepsze usunąć się na czas jakiś z widowni. Zdarzyła mi się sposobność zaangażować pierwszorzędną siłę, a na mój dwukrotny telefon nie dostawałem odpowiedzi. I tak zresztą kontrakt się kończy za dwa tygodnie. A z chwilą, gdy książę się wycofał, pani rozumie, że oszczędność sama mię zmusza do przeglądu tak wygórowanych honorarjów, jakie przyznane były pani.

Pobębnił palcami, niemile czerwony, po złotej dewizce na brzuchu i dodał, wydymając wargi:

— Zresztą, nic kategorycznego nie mówię. I dla pani znajdzie się jakieś coś! — Niepotrzebnie się pani gniewa.

Najszybszą myślową kalkulacją miss Liana obliczyła, że nie wskóra nic, albo bardzo mało. Wobec tego, uważała, że może sobie pozwolić. Podniosła głowę, obejrzała uważnie dyrektora w dół i w górę, poczem powoli rozkwitać zaczęła najprześliczniejszym uśmieszkiem, w którym taiło się żądło.

— Ależ, kochany dyrektorze! Nie gniewam się wcale. Wiem, że dyrektor nie robi tego ze złego serca, tylko zwyczajnie z głupoty. Poza tem, miło mi zakomunikować, że dostałam engagement od Amerykanów i za miesiąc przyślę dyrektorowi z Chicago... pięć dolarów na wygórowaną pensję dla nowej primadonny. Szalenie żałuję, ale auto czeka. A rivederci!...

Roześmiała się najprześlieczniejszym zatrutym uśmieszkiem i nie podając ręki, wionęła za drzwi, zostawiając fabrykanta w zupełnej prostracji. Mógłby służyć znakomicie jako obrazek poglądowy do przysłowia: épater le bourgeois. Był „zepatowany" bezwzględnie i w sposób dla jego tuszy nad wyraz dotkliwy. Chicago! Amerykanie! Taka wypłynie bodaj i z pod młyna! Czy nie pośpieszył się za bardzo z tym kontraktem i garderobą?.. Bo co do „arcy-niemiłych" wzmianek w pismach, dy-

rektor był zbyt doświadczonym, aby nie wiedzieć, że mogły być tylko reklamą: proces pewnej artystki, która zastrzeliła narzeczonego, był świeżo na wszystkich ustach i stanowczo „robił dobrze". Bo z kobietami to wogóle djabli wiedzą kiedy, co i jak!...

Miss Liana osiągnęła swoje: w dyrektorskim tłuszczu utkwił, jak zadra, amerykański cierń. Był kwaśny przez cały dzień i wszystkie zdjęcia nowej primadonny nie odpowiadały mu ryczałtem.

* * *

Istnieją jednakowoż dni feralne, i do takich niewątpliwie należał ów dzień dla Liany. Zaledwie zasiadła po południu w buduarze z papierosem, aby dokładnie obliczyć sytuację, przyniesiono jej list. Był od księcia, z pieczątką stemplową jego wiejskich posiadłości.

Liana ze złością rozdarła pięknie osygneconą kopertę. Namyślił się! Kłując spojrzeniem jak szpilkami każde słowo, wchłonęła odrazu cały list. Był zresztą bardzo zwięzły. Pod nazwiskiem i zwykłem: — p. p. c. — u dołu, na bilecie wizytowym widniały słowa:

— Do uregulowania sytuacji proszę uprzejmie uważać mieszkanie za swoje. Mam nadzieję, że sprawa tego ś. p. bałwana da się pomyślnie załatwić trzydniowym wypoczynkiem i dietą. — P. S. Księżna zamierza zająć pałacyk we wrześniu. Tout a vous.

Następował podpis.

Liana z pasją zgniotła bilet w kulkę, kalecząc palce o herbowe rogi pieczęci. Sprawa ś. p. bałwana! Trzydniowa dieta! Był mniej głupi, niż się wydawał, ten anglik nadwiślańskiego chowu! „Do uregulowania spraw uważać za swoje" — i „księżna przyjedzie we wrześniu". Czyli, że ona, Liana, ma do września „uregulować sprawy" — takiemu się zdaje, że można coś „regulować" bez pieniędzy! — a potem — Ofeljo, idź do klasztoru. Przyjedzie tą ropucha w perłach i —

Niektóre precedensy co do metod postępowania księżnej w sprawach mieszkaniowo-administracyjnych wykluczały, niestety, nawet u przedsiębiorczej kinodivy ewentualność pozostania dłużej, niż na dzień poprzedzający jej przybycie. A zmienić mieszkanie w tych czasach! Wiedziała dobrze, że pałacyk w Alei Róż to był najwyższy stopień jej zdobyczy życiowych. I oto teraz należało zejść znowu w dół — — zmieszać się z tłumem aktorek, wyczekujących swojej godziny błyśnięcia na niebie filmu — — a były wśród nich piękniejsze i jeszcze — jeszcze!.. — ustosunkowane!.. I to zejść dziś, po tem, kiedy już miała wszystko: protekcję, przepych, reklamę! Liana jęknęła i zacisnęła zęby. O, z jakążby rozkoszą kogoś podrapała, skopała, sklęła. Myśl o radości tych wszystkich płazów — zazdrosnych koleżanek, ironicznych kolegów, impertynenckich dyrektorów — — Co począć? Jak zaradzić?.. Czem zaszachować nienawistny los?.. Poszukać zastępcę na miejsce księcia? Ach, konkurencja na „coś lepszego" była tak wielka! Trzebaby na to czasu, zmiany miejsca, wyjazdu za granicę... Inna firma? Primadonnę mogła tylko kupić: zostać nią nie miała dziś szans. I zresztą, te firmy krajowe, brzęcząca pustą kasą nędza! Gdyby można tak, jak w Ameryce, zarabiać tysiące dolarów tygodniowo...

Nagle miss Liana zerwała się na nogi. Idea! Amerykańska improwizacja, skomponowana dla zepatowania dyrektora, niespodzianie wyświetliła się przed nią w aureoli natchnienia, nieomal odpowiedź. A gdyby?... Miss Liana uczuła żar w policzkach i huk w skroniach. — Te zawrotne karjery zwykłych panieneczek ze sklepu, stenografistek, kapeluszarek, rozbłyskujących w pierwszorzędne gwiazdy ekranu, płatne tysiącami dolarów — — dolarów!.. Czy są z innej gliny? Czy ludzie są tam nie ci sami? Cała rzecz w tem, aby jakoś się tam dostać, mieć dostęp, wejść! A już dalej — —

Zerwała się i chwyciwszy ołówek, zaczęła gorączkowo kreślić, liczyć i sumować (długi).

* * *

Zwiedzając nazajutrz swoje pustelnicze włości, Marek wpadał coraz to w podziw pełen domyślników. Przeżywał zgoła powieściową przygodę à la Kruzoe i bynajmniej nie wiedział, jak, gdzie i kiedy spotka się jeszcze z obliczem ludzkiem.

Przedewszystkiem napotykał wciąż mieszaninę najgłębszej pierwotności ze współczesnością, a bodaj nawet z dniem jutrzejszym. Badając pewien niezrozumiały przyrząd w rogu izby, dotarł, iż był to rodzaj telefonu, bezwzględnie jednak bezdrutowego, a również niepodobny do radjo. Dzięki temu nie umiał nim się posłużyć i wkońcu, zdemolowawszy jakąś zasadniczą sprężynkę, spoczął w zdumieniu. Tapczan z siennikiem i radjo — w środku puszczy! Czy, wkońcu, był w Polsce?..

Był jednak w Polsce, jakkolwiek zaciągnięta zgrzebnym ręcznikiem półeczka ujawniła zdumionym jego oczom znakomicie oprawny cykl wykładów matematycznych słynnego uczonego francuskiego, luźne tomy badań fizyko-chemicznych dwu antagonizujących powag niemieckich oraz foljał w języku, który wydał mu się czemś pośredniem między pismem klinowem a znakami hermetycznemi kabalistów. Na tejże półce stała ślicznie wykonana dziecinna łódeczka przedziwnej lekkości i kilka pudełek podziurkowanych zwierzchu. Przywarłszy do nich okiem, ujrzał w środku parę domierających żyjątek z gatunku chrząszczy, pijawicę i białe płaty pleśni. Przedstawiało się to dziwacznie, a przykro woniało. — Dopiero odchodząc, spostrzegł przy zaciąganiu ręcznika u góry półki kartonik z pięknie wyrysowaną trupią główką i ostrzeżeniem:

— Nie dotykać! Trucizny.

To już było lepsze: miał do czynienia z przyrodnikiem. Cóż za nowoczesny Faust, nie mogąc znaleźć upragnionego djabła, stwarzał tu sobie czarnoksięskie eliksiry! Był zupełnie rozciekawiony. Ubocznie, ale niemniej ciekawie prezentowała się jak adjutant za generałem myśl, co też będzie zjadał po wyczerpaniu pozostawionych mu zasobów? Prócz jego izby leśniczówka posiadała tylko schodki na górę, gdzie część dachu była modą wschodnią i amerykańską, przysposobiona pod płaski, bardzo obszerny taras. Pod okapem stał tam szereg porządnie usegregowanych pak. Podniósłszy pokrywy, Marek ze zdumieniem skonstatował, że jedne zawierały rozmaite gatunki zbóż i grochów, inne zaś — regularne apteczki polowe. Z największej, po otwarciu rozwiały się zwyczajne kłęby puchu i piór.

Nad tem wszystkiem skądinąd przepływał cudowny, cichy, słoneczny dzień. Czując się dużo silniejszy, Marek wziął na kieł i postanowił wyjść poza obręby okalających go drzew. Laskę — prawdziwy kij apostolski — znalazł na gwoździu obok drzwi. Przeczekał południe i zjadłszy spokojnie — ze względu na grochy w skrzyniach — zapasy odżywcze, wyruszył w świat.

Jedyne miejsce, gdzie gąszcz drzew wyglądał jakgdyby przetrzebiony, wyświetlało się w słońcu wprost leśniczówki, u wylotu polanki. Znalazł tam naprzód głęboki rów, rodzaj parowu, na którego dnie huczał strumień niewidoczny wśród zadrzewia i traw. Zanim zszedł po chytrych kamyczkach i zadziorach pni na dół, Marek się zachwycił w milczeniu przez niewiadomą chwilę pierwotnem pięknem, zauroczoną dziczą tego leśnego samotniska. Leszczyny i głogi, srebrne osiki i młode, strzeliste klony, strzępiaste jarzębiny i ciemnolistność zamyślonych kalin, krzaki obsypane białą, tchnącą czystym miodem kaszką i krzaki obsypane jakimś różowym, drobnym i radosnym kwiatem i krzaki bez kwiatu, powikłane, splątane na zawsze, poprzerastane, chwytające się wzajem, jak rozszalały w tańcu tłum dziewcząt w pas: wszystko to stłoczyło się wesołą ciżbą na stokach parowu, aby runąć zielonym pędem w dół, do wody. Drzewa biegły ku tej wodzie wężyskami korzeni, na których wypryskiwały młodziutkie, świeże witki. Krzaki przeginały się na dół najbujniejszemi gałęźmi, zalecając się okwiatem, sypanym na wodę przez lotny wiew. Wrosłe w ziemię, tęskniły do bieżącej swobodnie gdzieś het! poza puszczę wody i w nieruchomym pędzie skłaniały się wszystkie tam, gdzie zdążał jej tajemniczy, kłapotliwy bieg — wolny przechodzień wśród nich, przykutych do ziemi więźniów bytu.

Marek uważnie, rozgarniając gałęzie, wgłębiał się w pachnące zielenie i mrocznie, zstępował ku tajniom przeszytych przez słońce osierdzi parowu. Kiedy już zeszedł, otworzyło się samo słoneczne dno, odsłonięte przez pozostałe na stokach drzewa. Tu rosły już tylko zioła — dostałe trawy, kłoszące się ciężkiemi kiściami w słońcu, strzeliste kminy, bladoróżowe rozkwity malw, i zrzadka, samotnie wystrzelające królewskie w swem odosobnieniu irysy. Jeszcze niżej murawiła się niziutka, świeża, szmaragdowo-zielona, wąska łączka, cała w słońcu. Środkiem jej rwał terkotliwie ów strumień, przeskakując kamyki, zwały pni i wykręty korzeni w nieustającym popłochu. Na zarwanych, krętych brzegach modremi pękami rozkrzewiały się olbrzymie, ciemno-błękitne w cieniu, a zliljowiałe gdzie indziej niezapominajki, jak zdziwione, niewinne oczy najmłodszej leśnej dziatwy, zasłuchanej w niewiarogodną bajkę wody. Nieprzeniknioną cisza tam złożyła skrzydła.

Dotarłszy do tego najgłębszego ostępu, Marek przez chwilę stał, wyczerpany i oczarowany. Urok dzikiej, świeżej, nieskazitelnej pierwotności upoił go haszyszem woni, czarem spokoju, tchnieniem potęgi, głębią piękna. Nie było świata. Przed nim, po tamtej stronie, wznosiło się drugie podobne zbocze, a u góry błękitniało czyste, głębokie niebo. Nie było nic poza tem. Był sam. I oto nagle, jak człowiek, spuszczony do głębokiej studni za dnia, spostrzega gwiazdy, z głębin tego parowu zobaczył w górze — Boga.

Nie wiedząc jak i kiedy, dla siebie samego niespodzianie znalazł się nagle na klęczkach. Odrzucił daleko kij, rozpostarł i wyciągnął przed siebie ręce, jak pokutnicy wędrowni, widywani po kościołach w dzieciństwie. Mówił coś, gorąco, bezładnie i dużo, przekonywał o czemś tego bliskiego Boga, coś mu przyrzekał, na coś się zaklinał, z czegoś się gorąco, ze łzami podszytemi buntem goryczy, usprawiedliwiał. Przeżywał jedyny moment obecności Nieobecnego, ucieleśnienia idei, podania o łaskę, złożonego do samych stóp niedostępnego kiedy indziej majestatu. Z głębokiej studni swojej życiowej porażki dojrzał jasność, dotąd rozpraszaną przez światło dnia powszedniego i w kwietnej ciszy bezludzia odnalazł własny głos. Nie wiedział, że takiemi dziecinnemi słowami prostoty mówić umie, nie przypuszczał, że takiemi męskiemi łzami świadczyć swej męce potrafi. W tej niedużej chwili, jak w nocnej błyskawicy, ujrzał krótko a niezbicie istotne zarysy swych przejść, całą ich osobistą krwawość i całą żadność objektywną. Cóż zaszło? Zakochał się w kobiecie próżnej a wyrachowanej, i ta go poświęciła dla ocalenia swej karjery. Cóż zaszło?.. Skupił w swem jednem sercu wszystkie nadzieje, wiary i miłości życia w jedno, i zawiesił je śród gwiazd, a oto ciśnięto je w gnojówkę. Stary, stary jak świat, wierszowany od dwudziestu wieków kawał, a on! A on!..

— Tak, ale serce pęka każdemu odnowa!...— wył ból.

— Bo nie wolno opierać życia na kobiecie! Miałeś zdobywać chleb i uczyć się! Tworzyć! Pracować!.. — wołał bunt.

— Była najprześliczniejszą!... — łkało coś.

— I wygnała cię za drzwi wobec kochanka, bo ją utrzymywał!

— Za obelgę oddałem — usiłowałem oddać!..— życie!

— Płaci się własnością, nie depozytem. Samobójstwo — to defraudacja popełniona na życiu: wymaga odwagi, ale pociąga niesławę!

— Mam prawo! To wartość najwyższa, której się wyzbywam!

— Jesteś mazgajem. To droga najmniejszego oporu.

— U silnych!

— A czy przetrwanie i zwyciężenie nie byłoby silniejsze?

— Sprzeniewierzono mi najświętsze wartości — — i dlaczego!

— A ty! Czyś nie sprzeniewierzył najświętszych swoich wartości — i dla kogo?.. Pamiętasz twoje gwiezdne, młodzieńcze noce? Sny o ludzkości? Wzloty twórcze, nieudolne, jak wyskrzydlanie orlęcia, który jednak będzie orłem?.. Twoje śmieszne, sztubackie maszyny i latawce, w które wkładałeś najcudowniejszy motor na świecie — duszę serca?.. Cóżeś z tem wszystkiem zrobił, wtedy właśnie, gdyś mógł się oddać pracy, wydoskonalić, wyrobić?..

— Miała oczy jak błękit niebieski!.. — szlochał ból.

— Raczej wydrzeć żeleźce, niż zatruć krew!

— Boli!.. Boli!.. Boli!

— Umrzyj, ale się naródź, jeśli chcesz dalej żyć!..

— Jak żyć samemu? Skopano, wyrzucono, zelżono! Skąd wziąć siły? Skąd? Skąd?...

Jakgdyby na ostatnim sądzie, Marek zestawiał te wewnętrzne skowyty i bunty. Coś się w nim darło, coś szarpało. Jęcząc i zataczając się, szedł mechanicznie przed siebie, jak prowadziła malutka ścieżka, wzdłuż parowu, po dnie. I nagle wzdrygnął się i stanął jak wryty, w bezgranicznem zdumieniu: w pierwszej chwili miał wrażenie, że dostał obłąkania lub że widzi własnego trupa. Przed nim, o parę kroków, leżał jakgdyby on sam — rzucony na ziemię twardą ręką rozpaczy, z rozpostartemi ramionami, kurczowo wczepionemi w ziemię, z kijem odrzuconym obok. Dopiero po chwili zrozumiał, że była to figura, rzeźba wykonana z realistyczną dokładnością. Podniósł pozytywniej oczy i spostrzegł, że stoi przed kamiennym krzyżem; pielgrzym na postumencie był tylko jego dopełnieniem.

Przez długie chwile nieruchomo patrzył na pomnik. Kto go tu dźwignął, w tym gąszczu i zaciszu wśród pogodnych, jak oczy dziecięce, niezapominajek — posąg bólu, buntu, rozpaczy? Nie wiedział. Ale wiedział jedno: że ów nieznany ktoś został także strącony przez rękę losu z mostu, łączącego byt z niebytem, w dół. Czy umarł? I czy się narodził znowu? A jeśli tak, to przez co i w imię czego?..

Czuł się niezmiernie strudzony; zaniechał już zamiaru zwiedzić puszczę. Z trudem wydostał się na szczyt parowu i szedł ku chacie. Nie wrócił już na miejsce swojej modlitwy i rozterki: odłożył to na stronę w swych myślach, jak kosztowny klejnot, dzieło twórcze, które się udało w natchnieniu i może być uszkodzone przez nieostrożne dotknięcie. Chciałby za poetą skreślić nad parowem ogniste słowa:

— Tu umarł człowiek — tu się narodził Bóg.

Na polanę już się słały ukośne promienie zachodu. Zastanowił go stłumiony, niezrozumiały szum, który sądził, że idzie z puszczy. Wiatru jednak nie było. Wszedł do izby, ale bezzwłocznie wybiegł znowu; szum jakgdyby trwał nad jego głową, nieomal ogłuszający i zupełnie niezbadanej natury. Odstąpił parę kroków, aby spojrzeć w górę— i nagle zastygł z podniesionemi oczyma.. Przemknęła mu jedna krótka myśl, że może wogóle to wszystko jest jednak raczej snem, bo rzeczywistością być nieomal nie mogło?

Na dachu leśniczówki, na tarasie czerwonozłotym od zachodu, stał ubrany w zgrzebne płótno człowiek z białą brodą i wspaniałą postawą. Zaś przed nim, dokoła, na tarasie, na dachu, na jego ramionach i poprostu w powietrzu szumiały, wiały i trzepotały się tysiące ptaszęcych piór. Były to same skrzydła, które się podnosiły i opadały, i sam świergot, który się zlewał w jeden ogromny, nieopisany i niedopowtórzenia przez ludzkie głosy chór. Stał w środku tej ruchomej, skrzydlatej rozchwiei i miarowym, szerokim ruchem białego rękawa bluzy rozrzucał ziarno przed siebie. Po ustach znać było, że mówi, ale głosu w świergocie i szumach słyszeć było niesposób. Zachodzące słońce stało się wspaniałą aureolą na białą, pyszną głowę, istną głowę Mojżesza, a puszcza za nim stała jak milczące, czarne tło.

Marek nieruchomo, w niemem zdumieniu, patrzył. Nie wiedział, ile minęło czasu. Zagłębił się cały w rozważanie szczególnego misterjum, któremu był przytomny. Nie było to wcale karmienie ptactwa, jakkolwiek istotnie starzec rzucał ziarno ptasiej tysiącznej rzeszy; wyglądało to raczej na ucztę ewangeliczną. Przypomniał sobie widziany gdzieś obraz pod tytułem: — Pozwólcie najmniejszym przyjść do mnie. — To, co widział, stanowiło jakgdyby projekcję powyższego obrazu w innej płaszczyźnie. Starzec mówił do ptaków, a ptaki go słuchały. Przyglądając się, Marek stwierdził szczególną karność, przedziwny ordynek w niesfornej napozór skrzydlatej rzeszy. Część opadała na taras i żerowała przy sypanem ziarnie, podczas gdy inne trzepotały się chmurą w powietrzu; potem starzec wiewał szerokim rękawem, i nasyceni odlatywali, a inny zastęp opadał na opustoszały pomost. Opadały gromadami podług

gatunków — gile, wróble, makolągwy, skowronki, jaskółki — przeważnie drobna, leśna brać. Duże kawki i gawrony wrzaskliwie obsiadły balustradę, jak licytująca się wzajem czarna giełda, i Marek dokładnie mógł obserwować, że muszą czekać kolei, gdyż każdy czarny intruz spadły między maleństwa był wyganiany surowym gestem przez siwego ptasznika. Gdacząc i kracząc, odlatywały precz i ostrzyły dzioby na poręczy, czekały kolei. Gołębie zdawały się mieć swe pied-a terre na okapie nad skrzyniami tuż ponad głową starca, ale tylko i wyłącznie jaskółki były benjaminkami wśród małego ludku i tylko im wolno było siadać na ramionach starego człowieka, chwytać ziarno wprost z jego rąk, rozwijać się i zwijać w skrzydlate wieńce dokoła jego głowy. Marek spostrzegł z podziwem, że wiedziały o tym przywileju i strzegły go zazdrośnie, pędząc każdego zabłąkańca-intruza do szeregów, zasiadających kolejno taras przed stopami starego człowieka. Za nim były tylko gołębie, a obok niego, niejako z nim—jaskółki. I przemawiał do nich, rzucając ziarno innym, małemi, żartobliwemi słowami na stronie, jak do ulubionych dzieci podczas ogólnego przeglądu szkół.

Nieruchomo, z założonemi ramionami Marek przeczekał wszystkie. Ostatnia, wrzaskliwie się uganiając, odleciała wreszcie czarna giełda, do której ptasi profesor coś karcąco i nakazująco przemawiał. Taras opustoszał.

Młody mechanik z miasta opuścił drzewo, pod którem stał, oparty, i wszedł do izby, a stamtąd, schodkami, na taras. Tajemnica jego ocalenia i pobytu miała być rozwiązana; incognito leśnego samotnika rozstrzygnięte. Otworzył niskie drzwiczki i pochylając głowę, wyszedł na pomost.

Stary człowiek siedział opodal na jednej ze skrzyń, pochylony nad czemś małem, co miał na kolanach, i zwijał ostrożnie cienki bandaż. Otwarta apteczka obok ukazywała flasze i słoje. Ujrzał z podziwem, że owija nim nóżkę szarego gołębia, trzymanego między kolanami. Ptak się leciutko trzepotał i wydawał niskie, gardłowe pogruchiwanie, pełne przeciągłej nuty cierpienia. Drugi gołąb siedział obok na okapie i uważnie przyglądał się opatrunkowi.

Na skrzyp drzwi stary człowiek podniósł głowę i ujrzawszy Marka, z aprobatą w żywych, czarnych oczach kilkakroć skinął głową. Posadził gołębia w koszyku z trochą siana i wyciągając rękę, szedł ku gościowi.

— Robiłem mały opatrunek jednemu z moich klientów! Widzę, że drugi — to pan!... — ma się dobrze. Przybyłem dziś, aby się o tem upewnić. Bardzo się pan zdziwił tej samotni? Nie wie pan przecież nawet, kto jestem?

— Nie wiedziałem!... — mówił Marek, uważnie patrząc w sokole oczy starca i na tem skupiając wszystkie władze. — Teraz już chyba wiem! Prorok z puszczy. Jedyne imię, jakie mógłbym przyjąć — tu!...

Gospodarz z uśmiechem zbierał swoje przyrządy.

— Piękne, za piękne bodaj imię. Jeżeli nazwiemy prorokiem tego, który prostuje ścieżki, to — — może — —

— Czyje ścieżki?... — zagadnął mechanik, myśląc o dziwnych przyrządach i księgach.

Starzec wyprostował się. Obwiódł wzrokiem ciemne pierścienie boru, roztaczające się jak oko sięgało ze wszystkich stron. W miarę jak patrzył, w pysznych, ognistych oczach łagodniał błysk, przysłaniany przez wielkie, z dna duszy idące zamyślenie. Obrócił ku młodemu samobójcy piękną, biblijną głowę, na którą zachód kładł ostatnie poświetle, i zataczając ramieniem w zgrzebnym rękawie rozległe jak widnokrąg czoło, powiedział stłumionym przez wagę słowa głosem:

— Puszczy! Prostuję ścieżki puszczy dla tego, który niewątpliwie przyjdzie po mnie, aby dokonać tu spraw, przeze mnie zaledwie przeczuwanych. A teraz może zejdziemy? Nie ciekaw pan trafu, który człowieka, skaczącego z mostu, chwyta za kołnierz i ciska na dach jedynie podówczas płynącej motorówki? Przy kolacji — jeśli to tak nazwiemy!... — opowiem panu podobną historję z nocy tysiąc i jednej. Proszę!

(D. c. n.).

Polska w Ameryce

Kongres Wychodztwa Polskiego w Detroit

POWODY ZWOŁANIA KONGRESU.

Z wybuchem wojny światowej wielki syn Polski i jeden z najgenjalniejszych jej wodzów w dziele narodowego odrodzenia, Ignacy Paderewski, rozumiejąc, że ta Polska, naówczas pod trzema uciskana zaborami, zmuszona oddać całą młodzież swoją do walczących ze sobą armij nieprzyjacielskich, musi zorganizować własną pomoc z zewnątrz i tą drogą upomnieć się o nieprzedawnione prawa swoje — wezwał do tego Wychodztwo Polskie w Stanach Zjednoczonych i na Sejmie w Detroit w r. 1918 dokonał zespolenia wszystkich sił czteromiljonowej emigracji naszej w Ameryce. Utworzony wówczas Wydział Narodowy pod wodzą Paderewskiego, a pod przewodnictwem Jana F. Smulskiego, aż do dni dzisiejszych prowadził niezrównaną i bezprzykładną w dziejach świata akcję niepodległościową, która doprowadziła do oświadczenia się Ameryki za sprawą naszą, do utworzenia współwalczącej, sojuszniczej armji polskiej w Ameryce i do przedstawicielstwa narodu polskiego w Kongresie Wersalskim.

Gdy już niepodległość Polski została przez ten Kongres postanowioną, po zawarciu traktatu Wersalskiego i uznaniu jej przez wielkie mocarstwa, a w pierwszej linji przez Stany Zjednoczone, spostrzegły się nieprzychylne nam czynniki, żeśmy w Ameryce i w polityce wszechświatowej za sprawą Paderewskiego olbrzymią odegrali rolę i zdobyli stanowisko, które tym czynnikom bardzo przeszkadzało. Z drugiej strony zwolennicy przeciwnej w kraju orjentacji niechętnie patrzyli, jak ponad ich prace i, w najlepszej myśli, acz w innym kierunku, podejmowane zabiegi, wybijała się do uznania i historycznego znaczenia owa akcja w Ameryce przeprowadzona.

Z dwóch więc stron: od nieprzychylnych Polsce czynników w Ameryce i od zazdrosnej rywalizacji partystycznej z kraju, — rzuciły się na Wychodztwo ataki, streszczające się w bardzo pokrewnych i bardzo niebezpiecznych hasłach: „Amerykanizujcie się!" i „Zostawcie Polskę Polakom w kraju".

Hasła te dlatego były niebezpieczne, ponieważ walczącym przez lat dziesiątki o niepodległość Macierzy Ojczystej nie godziło się rzucić w oczy brutalnego wyrzeczenia się ich, i to tuż po odzyskaniu przy ich pomocy niepodległości, podczas gdy z drugiej strony amerykanizacja zupełna, po niezliczonych wysiłkach wojennych, odpychanych niebacznie, nęciła ogromnemi korzyściami.

Ci jednak, którzy wśród Wychodztwa byli pionierami w utrzymaniu ducha narodowego i tradycyj ojczystych: duchowieństwo polskie i organizacje narodowe w Ameryce, nie dali zmarnować sławionej niegdyś „czwartej dzielnicy polskiej" i wystąpili śmiało i odważnie przeciw fali niszczycielskiej, podrywającej tu polskości grunt pod nogami.

Oto powód główny zwołania kongresu do Detroit.

GŁOSY WYBITNYCH AMERYKANÓW.

Ze strony amerykańskiej nie wywołało to żadnego sprzeciwu, a jeden z wybitnych pisarzy amerykańskich, Charles D. Cameron o rozbudzeniu się narodowem polskiego Wychodztwa w dzienniku „The Detroit News" tak się wyraził: „Ludność Polska przywiozła ze sobą do tego kraju wielkie plemienne tradycje, zawierające się w nieposkromionem poświęceniu dla Ojczyzny i w nigdy nie gasnącem zamiłowaniu wolności. Przybyli do kraju, który w ciągu własnej rewolucji wolnościowej był świadkiem, jak Polacy bywają lojalni dla amerykańskich zasad i ideałów. Przez przeszło lat sto Stany Zjednoczone kształciły swoich oficerów wojskowych w akademji w West Point, uplanowanej i założonej przez Kościuszkę. Przez przeszło sto lat pobojowisko pod Savanna przypomina każdemu hrabiego Pułaskiego, patrjotę polskiego, wygnańca i jednego z polskich bohaterów, którzy położyli życie w obronie rewolucji.

Ale podczas gdy przeszłość jest źródłem dumy narodowej, obecny Kongres Wychodztwa Polskiego spogląda w teraźniejszość i w przyszłość. Czas teraźniejszy jest najodpowiedniejszym punktem obserwacyjnym, z którego można wnioskować o przyszłości i przewidywać przyszłość ze wszystkiemi jej obietnicami. Wszyscy jesteśmy Amerykanami, jako razem wzięci, ale odziedziczyliśmy po przodkach różne nazwiska i różne wierzenia, oraz odmienne rasowe wspomnienia i pamiątki.

Obowiązkiem więc jest z rasowych i narodowych pierwiastków, podobnie jak jest obowiązkiem poszczególnych jednostek w społeczeństwie, zachować to wszystko, co jest naprawdę kosztownem w tej spuściźnie, aby dodać potem to wszystko do dobrobytu ogólnego. Aby pielęgnować to, co jest najlepszem w polskiem życiu i w polskiej pamięci, aby zachować to dla wzbogacenia ogólno-amerykańskiej myśli— na to właśnie zwołany był ten kongres".

Major czyli burmistrz miasta Detroit, J. W. Smyth, jakby w nawiązaniu do tych słów, ofiarując Kongresowi gościnność i składając mu symbolicznie klucze miasta, powiedział: „Witajcie nam jak swoi wśród swoich, jako naród tych samych, co Ameryka ideałów, jako współwalczący o niepodległość minionych i o święte prawa ludzkości".

Przy uroczystych powitaniach znakomity sędzia amerykański, Ira Jayne, w mowie, która przez radjo w całych Stanach była ogłoszoną, sławił Paderewskiego i pracę Polaków w Ameryce, zaznaczając, że okazali się szlachetnymi rycerzami pracy w czasie pokoju i rycerzami poświęcenia w walce o niepodległość.

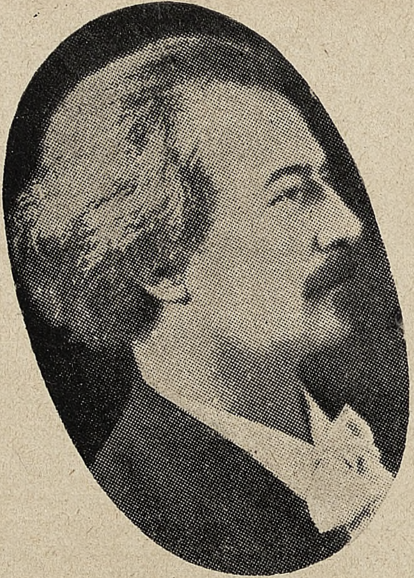
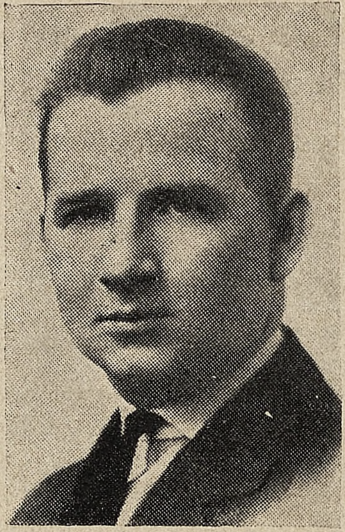
GŁOSY Z KRAJU OJCZYSTEGO.

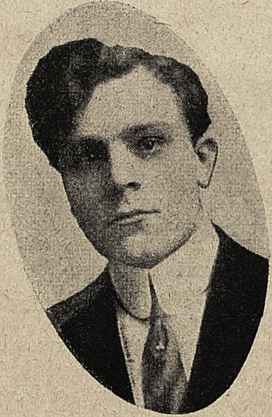
Doniosłość Kongresu uznał rząd polski w kablogramie następującym J. E. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej: „Jestem przekonany, że zgodnie z chlubną tradycją Wychodztwa Polskiego, które znalazło za oceanem tak serdeczną gościnność, Zjazd w Detroit stanie się jednym więcej zadatkiem przyjaźni i wspólności ideałów łączącej oddawna Naród Polski i wielką Republikę Amerykańską. Wojciechowski Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej".

Marszałek Senatu Trąmpczyński kablował: „W czasie dłuższego pobytu na obczyźnie nie tylko nie uroniliście nic ze skarbów duchowych, które każdy Polak w sercu nosi, lecz zostaliście wzbogaceni wiedzą i doświadczeniem. Nauczyliście się wytrwale pracować i zrozumieliście na przykładzie narodu amerykańskiego, iż tylko rzetelna praca tworzy mocne społeczeństwo i potężne państwa. Oby te Wasze przymioty zdołały przesiąknąć i w resztę narodu Polskiego.

Wasza pomoc pod tym względem będzie niezbędną, jeśli kraj nasz wyczerpany mamy doprowadzić do rzędu innych państw kulturalnych. Pomimo wszelkich przejściowych rozczarowań, pomimo rozlicznych błędów popełnionych przez brak organizacji, musimy cel ten jeszcze w naszem pokoleniu osiągnąć".

Kablogramy te przyjął kongres gorącemi oklaskami, a przytaczamy je z długiego szeregu innych.







Rząd górny:
I. J. Paderewski,
Prezes Honorowy Kongresu,
Leon T. Walkowicz,
J. F. Sawicki.

Rząd średni:
Z. Stefanowicz,
J. E. ks. Biskup P. Rhode,
J. Smulski.
Rząd dolny:
Emilja Napieralska,
ks. Ludwik Grudziński.

Słowa powitania od Paderewskiego miały w sobie dźwięk szczególniejszy. To był głos od wodza i od wieloletniego przewodnika.

Oto kablogram Paderewskiego:

For Polish American Congress. „Myślą i sercem zawsze z Wychodztwem zasyłam Dostojnym Delegatom Jego gorące braterskie pozdrowienie i z głębi duszy życzę, aby obrady Kongresu odbyły się z wiarą w przyszłość i spokojem godnym polskiego Wychodztwa. Proszę Boga, aby uchwały Kongresu znalazły swe źródło we wiernych uczuciach dla przybranej Ojczyzny i dla jej szlachetnych ideałów, ale zarazem i w troskliwej pamięci o losach macierzystej ziemi. Przeznaczeniem Polski jest żyć w niebezpieczeństwie. Walczyć ona musi i walczyć będzie zwycięsko, mimo że niekiedy nawet rodacy małego ducha, a przychylni wrogom szerzą zwątpienie w naszych szeregach. W górę serca, bracia ukochani. Nie słuchajcie głosu odstępców. Pomnijcie, że wzniosłe hasło założycieli Związku Narodowego Polskiego obowiązuje wszystkich Polaków, że tylko solidarnością i zgodą możemy się wznieść ponad głowy wrogów". — Paderewski.

LICZBA DELEGATÓW — NABOŻEŃSTWO — PRZEWODNICTWO — GŁOSY BISKUPÓW NASZYCH W AMERYCE.

Kongres był nadspodziewanie bardzo liczny. Delegatów było do dwóch tysięcy, a w tej liczbie ze stanu:

Illinois 385, Pennsylvania 101, Michigan 394, Wisconsin 86, New York 225, Indiana 55, Massachusetts 43, Ohio 127.

Starym polskim obyczajem Kongres rozpoczął się nabożeństwem, które celebrował nowo mianowany biskup sufragan J. K. Plagens w asystencji licznej polskiego duchowieństwa. Kazanie sejmowe wypowiedział pierwszy polski biskup w Ameryce Paweł P. Rhode z Green Bay Wis, podnosząc, że Bóg przez mężów wielkiego ducha, jak Sienkiewicz i Paderewski, w najcięższej chwili Naród rozbudził i zjednoczył, aby w zgodnym wysiłku i w poświęceniu serdecznem spełnił ten naród Jego myśl świętą w odbudowie Polski w zwycięstwie zasad chrześcijańskich i cnót obywatelskich w nowem życiu wolnych narodów.

Ks. Biskup Plagens przemawiał po nabożeństwie w Hali w języku angielskim, podnosząc obowiązek wieczny pamięci o ziemi ojczystej.

Przy ukonstytuowaniu się Kongresu wybrano przez aklamację marszałkiem długoletniego cenzora Związku Narodowego Polskiego, p. Antoniego Schreibera z Buffalo, aby w ten sposób wyrazić uznanie za solidarność narodową kilkuset obecnym delegatom ze Związku N. P., którzy nie dali się pociągnąć teraźniejszemu cenzorowi Związku, Sypniewskiemu, sprzeciwiającemu się do ostatniej chwili bezzasadnie i wbrew opinji przeważającej większości Wychodztwa zwołaniu Kongresu.

P. Sypniewski doprowadził aż do sądowego zakazu przystąpienia do Kongresu, wyrobionego przez pięciu dyrektorów, swoich zaufanych, przeciw Zarządowi Centralnemu Związku, do zakazu tego jednak się nie zastosowano.

Drugim marszałkiem obrano d-ra Gońskiego z Milwaukee.

Wicemarszałkami Kongresu wybrano, panów: Świetlika, Lesińskiego, Grabowskiego, Jankowskiego, Gońskiego, Pidrasa, Gardłońskiego, panią Martę Mazurowską i panią Gibasiewicz. Sekretarzem został ksiądz Syski, a jego asystentami ksiądz Hintz i ksiądz Górski.

Wśród wybitnych Polaków, którzy na Kongres przybyli, znajdowali się: prezes Jan F. Smulski, prezeska Związku Polek, p. Emilja Napieralska, obydwaj kengresmani St. Kunz z Chicago i p. Sosnowski z Detroit, radca zdrowia dr. Franciszek E. Fronczak, sędziowie Błoński, Sawicki, Grodzki, Alderman Adamkiewicz, prezes sokolstwa i Weteranów Armji Polskiej dr. Tadeusz Starzyński, prezes Zjednoczenia Kazimierczak, major dr. Pietrzykowski, dr. Hojnacki z Milwaukee i dr. J. Orłowski, który umyślnie z kraju na Kongres przyjechał.

Z pośród duchowieństwa obok księży biskupów naszych byli obecni księża prałaci Kasprzak z Milwaukee, Streński z Brooklynu, ks. prałat Grupa z Seminarjum duchownego z Orchard Lake, ks. dr. Aleksander Pitass z Buffalo, ks. Ludwik Grudziński, jeden z najwybitniejszych organizatorów Wychodztwa, kapelan Zjednoczenia ks. Bronisław Celichowski, i wybitny pisarz i działacz społeczny ks. Feliks Feldheim z Evanston.

Z konsulów Rzeczypospolitej był generalny konsul z Chicago Weydental i konsul z Detroit Gruszka.

Z kraju przybył także b. minister rolnictwa Pomorski, przyjęty bardzo serdecznie, mówił on o sile moralnej Wychodztwa, potrzebnej krajowi.

Z długiego szeregu przemówień, wyróżnił się niewątpliwie głos prezesa Jana F. Smulskiego, który wystąpił energicznie przeciw tym, którzy „w służalstwie dla władzy obcej, ulegając naciskowi nieprzychylnemu, postępują po drodze dusicieli i zdrajców".

Powiedział on: „Jestestwo nasze jest dwojakie. Obywatelstwo amerykańskie i jego obowiązki są święte. Przestrzegać musimy skrupulatnie i wypełnić sumiennie każde wymaganie i prawo kraju, w którym mieszkamy i którego jesteśmy poddanymi. Ale drugie nasze jestestwo jest zarówno obowiązujące, zarówno święte. Jestestwo ducha i krwi narodu, z którego wzrośliśmy. Sprzeniewierzenie się swej krwi jest największą zbrodnią i uniezdolnia nas do właściwego wypełniania innych obowiązków. Miejmy ambicję narodową i dumę rasy. Krwi naszej choćbyśmy chcieli zaprzeć się nie możemy. Zmienić możemy nazwisko, odstąpić wiary, zaprzeć się pochodzenia, ale krwi, która krąży w żyłach naszych, zmienić nie potrafimy ani w sobie, ani w potomstwie naszem.

Anglja, kraj niewielki, nieliczący w swych granicach więcej mieszkańców, niż Polska, jest najpotężniejszym prawie, a naród brytyjski dominujący światu.

A Polska, naród polski, czyż mniej spodziewać się może od swych dzieci? Wychodztwo Polskie, złóż dowód, że krew, płynąca w żyłach polskich, nie jest pośledniejszą od krwi innych narodów.

Miejmy na tyle odwagi, ażeby oddać należność krajowi, w którym mieszkamy i zadowolenie dążenia serca i sympatji narodowi, z którego krwi i kości pochodzimy".

REFERATY CO DO ZADAŃ WYCHODZTWA.

W ciągu kilku dni obrad przedstawiono Kongresowi cały szereg referatów z dziedziny najważniejszych zadań Wychodztwa.

Podajemy w streszczeniu przewodnie myśli i uchwały.

W sprawie naturalizacji, czyli przyjmowania przez Polaków w Ameryce obywatelstwa amerykańskiego, podniesiono korzyści dla Polski ze zwiększenia wpływów politycznych w Ameryce, uchwalono prowadzenie specjalnych szkół obywatelskich, wydanie podręcznika i zakładanie klubów politycznych dla wykazania politycznej siły polskiej.

W sprawie emigracji uchwalono zorganizowanie opieki nad emigracją z ziem polskich, a centrum będzie w Domu św. Józefa, nabytym przez zawsze ofiarnego ks. Bójnowskiego. Osobna Komisja utrzymana będzie w Ellis Island.

W sprawie oświaty postanowiono zająć się ochroną języka polskiego w nauczaniu początkowem, a więc w szkole parafjalnej, w kościele, w organizacjach, przyjmując następującą zasadę: „Szkoła Polska, która pragnie spełnić dziś swe zadanie, winna stać na równym poziomie ze szkołą publiczną pod względem wykonania programu, nakreślonego przez poszczególne stanowe władze szkolne, a przewyższać ją w swej pracy wychowawczej bogatszym programem, lepiej przystosowanym do duchowej zdolności dziecka polskiego. Takie szkoły, wprawdzie wyjątkowe, dziś już istnieją w dzielnicach tych, w których rodacy nasi zrozumieli doniosłość swego zadania. Ze względu na dominujący wpływ duchowieństwa na ogół, pożądanem jest bardzo, aby kandydaci na księży polskich przechodzili przynajmniej szkołę wyższą i kurs filozoficzny w seminarjach lub szkołach polskich".

Aby ochronę polskości w tym duchu przeprowadzić, uchwalono założyć przy Centrali Wychodztwa Radę Szkolną o charakterze informacyjno-doradczym.

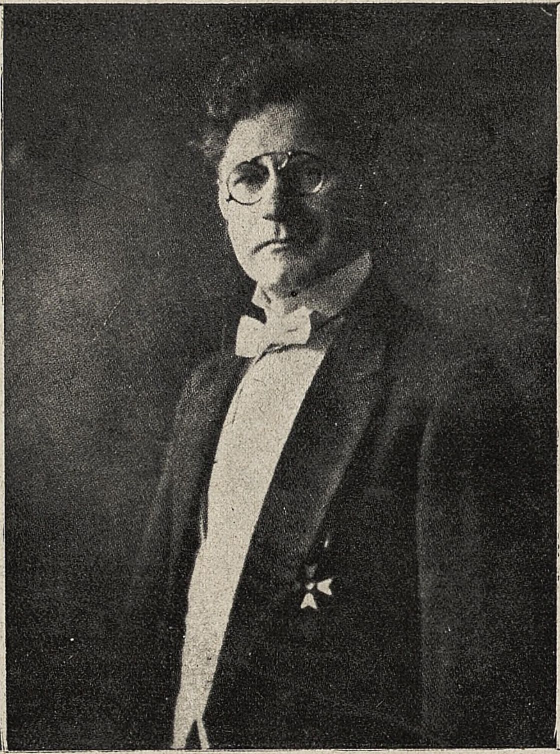
Zadaniem Rady Szkolnej będzie obmyślanie środków i metod przeprowadzenia jednolitego programu wychowania i ochrony języka polskiego zgodnie z wymaganiami poszczególnych stanowych władz szkolnych.

Ponieważ obok programu pierwszorzędne znaczenie mają też i dobre podręczniki, pomoce szkolne i czasopisma dla nauczycieli i uczniów, poleca się proponowanej Radzie Szkolnej spowodowanie odpowiednich czynników do gorliwego zajęcia się tą sprawą.

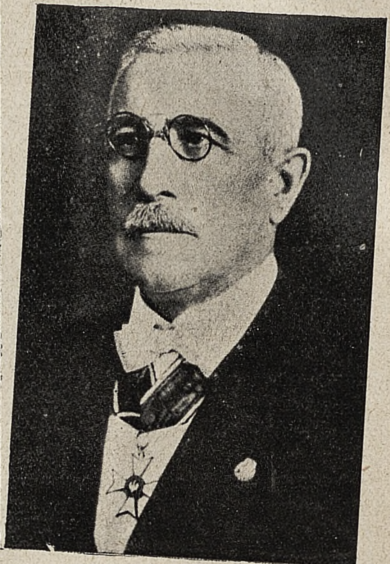
Jako środki uzupełniające prawdziwe wykształcenie młodzieży polskiego pochodzenia, polecenia godne są szkółki sobotnie, kółka literackie, chóry i bibljoteki polskie, szkoły wakacyjne, obchody narodowe, prasa polska, skauting i sokolstwo.



Ppłk. Dr. T. A. Starzyński,
Prezes Związku Sokolstwa
Polskiego.



Jerzy Władysław Siwiński,
Prezes Rady Naczelnej Kongresu
Wychodztwa.



Kazimierz Żychliński,
Prezes Związku N. P.
Wiceprezes R. N. K. W.

W sprawie wyższej oświaty referent Dr. Lenart przedstawił, że koniecznem jest kształcenie uzdolnionej młodzieży naszej w zakładach naukowych wyższych tak polskich, jak amerykańskich.

Polskich szkół wyższych mamy dziesięć, a to:

1. Kolegjum Św. Trójcy w Chicago,
2. Kolegjum Św. St. Kostki w Chicago,
3. Kolegjum Polskie, w Orchard Lake, Mich.,
4. Kolegjum Zw. Nar. Pol., w Cambridge Springs, Pa.
5. Kolegjum Polskie, w Erie, Pa.,
6. Kolegjum Polskie, Ramsay, N. J.,
7. Kolegjum Polskie, w Philadelphii, Pa.,
8. Kolegjum OO. Franciszkanów w Buffalo, N.Y., nowe,
9. Kolegjum dla Dziewcząt, w New York City, nowe,
10. Kolegjum dla Dziewcząt, Ss. Norbertanek, w Chicago.

W celu pomocy dla młodzieży powstały fundacje:

1. Fundusz prof. Mierzwy,
2. Fundusz Detroit Society,
3. Fundusz Chicago Society.

Prof. Mierzwa ma już dotychczas 10-ciu studentów z Polski, kształcących się w Ameryce, — miasto Detroit nie tylko, że własnym kosztem stawia Dom Akademicki w Warszawie, ale i przy Detroit Society Funduszem Stypendjalnym dobiega do pokaźnej sumy $ 20,000. Chicago Society kształci 12-tu uczni w Kolegjum Związkowem.

Uchwalono zbierać dalsze fundusze w całej Ameryce, postanawiając, aby z tego funduszu mieli prawo korzystać uczniowie nawet z najpośledniejszych dzielnic polskich w Ameryce i aby można zasilać donacjami na lepsze wyposażenie nasze już istniejące uczelnie polskie i kolegja.

Referat Edwarda J. Przybysza objął dalsze i głębsze zagadnienia wyższej oświaty w Ameryce. Pan Przybysz przedstawił to na tle zadań utworzonej w r. 1924 fundacji imienia Woodrow Wilson, która przy należytej opiece i środkach może dopomóc poważnej liczbie młodzieży do ukończenia fachowych studjów.

W referacie o dobroczynności Wychodztwa dr. Fr. E. Fronczak zalecił zakładanie polskich domów t. zw. „Settlementów", jako ośrodków pracy społecznej i dobroczynnej, a jeżeli na to warunki finansowe nie pozwalałyby na otwieranie takich polskich „Settlementów" w istniejących już sokolniach czy „domach polskich". W domach tych możnaby utrzymać biura tych centralnych towarzystw dobroczynności, gdzieby przychodzili biedni i potrzebujący pomocy po poradę, czy zasiłek czy opiekę w sądzie, gdzie urzędowałby stale odpowiedni urzędnik czy urzędniczka.

Fundusze na utrzymanie tych towarzystw mogą łatwo być zebrane przez urządzenie zabaw, przedstawień, festynów, pikników, następnie prywatnych donacyj i podatków poszczególnych towarzystw, składek jednorazowych w parafjach lub też „Tag-days" w całem mieście, wreszcie zapomóg z większych organizacyj od zamożnych obywateli.

Gdy we wszystkich większych osadach powstaną takie „Towarzystwa Dobroczynne", polski emigrant, który wskutek nieznajomości języka dostanie się przed kratki sądowe za jakieś drobne przestępstwo prawa miejskiego, nie pójdzie na miesiąc lub dwa do więzienia, ale za wstawieniem się towarzystwa wyjdzie wolno albo z minimalną karą, dziewczęta polskie znajdą opiekę, sieroty polskie i wdowy ciepłą rękę, która się niemi zajmie, znajdzie dom, przytułek i poradę prawną.

Wtedy wrogowie nasi nie będą wyśmiewać się, że Polacy giną bez ich pomocy.

To najwięcej podniesie nasze tu imię i znaczenie, gdyż wzmocni stanowisko nasze wobec obcych i wobec nas samych, żeśmy do organizowania, współpracy i pomagania jeden drugiemu zdolni.

W sprawie Hallerczyków ref. L. T. Walkowicz podniósł doniosłość ich należytego zorganizowania, aby łącz-

ność z Polską umocnić i podnieść godność poświęcenia za ojczyznę i solidarność narodową w dziale wojennej pomocy dla b. żołnierzy polskich.

Poparł to bardzo wymownie sekretarz Związku Hallerczyków, S. Z. Stachowicz.

Specjalny referat poświęcony był pieśni polskiej, a to im. Związku Śpiewaków Polskich. W referacie czytamy: „Kultywowanie śpiewu narodowego i muzyki polskiej jest najpiękniejszym i najdodatniejszym czynnikiem uszlachetniania społeczeństwa, a także jest najsilniejszą bronią przeciw zakusom wynarodowienia naszej młodzieży. Jak Związek Śpiewaków pracuje na niwie narodowej, świadczą prace około organizowania dziatwy polskiej w kółka śpiewacze własnym kosztem i pracą, a praca ta coraz szersze zatacza koła. Przez przeszło 36 lat byliśmy tą dźwignią, która przyczyniała się do podtrzymania ducha narodowego wśród społeczeństwa polskiego w Ameryce, i dalej według zakreślonego celu pracujemy z pożytkiem dla wszystkich". Ponieważ Związek Śpiewaków był zawsze dodatnim czynnikiem w życiu narodowem polskiem, Kongres gorąco zadania jego poparł, przekazując centrali przyszłej opiekę dla jego zadań.

Piękne przedstawienie sprawy przedłożył Kongresowi znakomity muzyk kompozytor, p. Aleksander Karczyński.

W obronie interesów robotniczych przemawiali wymownie ks. komandor Ludwik Grudziński i prof. L. Szymczak.

O zadaniach prasy referował red. „Nowin Milwauckich" Jesiorkowski, domagając się instytucji o celach wzajemnej pomocy i moralnego poparcia.

REFERAT J. F. SMULSKIEGO O STRATACH WYCHODZTWA.

Zasłużony prezes Banku North Westeru w Chicago pierwszej instytucji polskiej finansowej za oceanem, która doprowadziła depozyty do $ 25.000.000 i ugruntowała kredyt i interesy przemysłowe Polaków w Ameryce, mówił o stratach Polonji Amerykańskiej przy rozmaitych tranzakcjach z Polską i doszedł do przekonania, że z tych pretensyj tylko jedna ma podstawę moralną i realną, to jest pretensja na sumy przesłane w depozyt do banków w Polsce, za które równowartość otrzymał rząd polski w dolarach amerykańskich.

P. Smulski stwierdził, że dnia 10-go kwietnia tego roku nadeszła wiadomość telegraficzna z Polski, która brzmi, jak następuje:

„W sejmowej komisji skarbowej przeszedł w trzeciem czytaniu projekt wypłacenia deponentom amerykańskim ich wkładek oszczędnościowych w Polskiej Kasie Oszczędnościowej 100 za 100, czyli w pełnej sumie deponowanych w dolarach przez Polaków amerykańskich oszczędności. Sumy te wypłacone zostaną bonami państwowemi, przynoszącemi 5 procent, a dojrzewającemi w latach 20. Ze względu na całkowite porozumienie z Rządem Polskim, uchwała komisji skarbowej przyjętą zostanie zarówno przez Sejm, jak i przez Senat Polski bez opozycji".

Tak więc Rzeczpospolita Polska odpowiada na żądania tych, którzy ponieśli straty, zawierzając swój dobytek ojczyźnie. Wprawdzie nie zwraca ona tych strat gotówką, ale czyni wszystko, co jest w jej mocy. Wyrównanie strat miljonowych gotówką jest wyłączone, bo niemożliwe. Polska więc podejmuje wyrównanie tego długu w bonach dwudziestoletnich, pięcio-procentowych, które przedstawiać będą wartość poważną i pewną. Tylko upadek państwa mógłby spowodować wstrzymanie ostatecznej wypłaty.

Miejmy więc cierpliwość i wiarę. Miejmy uwzględnienie dla tej Ojczyzny, która wytęża swe siły, by zadośćuczynić sprawiedliwości i moralnym obowiązkom.

SPRAWA RÓWNOUPRAWNIENIA POLSKIEGO DUCHOWIEŃSTWA I KRZYWD NA NIWIE KOŚCIELNEJ.

Sprawa ta była może jedną z najdrażliwszych, ale dzięki należytemu jej ujęciu i traktowaniu przez kapłanów tej miary, co czcigodny ks. Ludwik Grudziński i ks. Bronisław Celichowski, nie wywołała na Kongresie, ani gorączkowych wystąpień, ani ataków przeciw hierarchji kościelnej. Przyczyniły się do uspokojenia rozżalonych słusznie serc polskich telegramy, które nadeszły z Rzymu.

Jeden z tych telegramów był od Najzacniejszego ks. arcybiskupa Cieplaka, który mimo gorącej chęci osobistego poznania położenia i spraw Wychodztwa, sam przybyć nie mógł, ale przynajmniej w serdecznych słowach Kongresowi pozdrowienia i życzenia przesłał.

Drugi telegram był od Papieża z apostolskiem błogosławieństwem, jako znak życzliwości i pamięci głowy kościoła o potrzebach Polonji Amerykańskiej.

Oto dosłowny tekst telegramu w języku angielskim:

„To the American Catholics of Polish descent, steadily faithful to their traditional love, respect and loyalty towards Church hierarchy and that great hospitable country, Holy Father sends, as a pledge of benevolence, Apostolic blessing. Cardinal Gaspari".

O sprawie samej treściwy, poglądowy referat wypowiedział dr. Smykowski, poczem Kongres przyjął następującą rezolucję:

Wychodztwo Polsko-Amerykańskie przez posłów ze wszystkich Stanów Ameryki na Kongresie w Detroit reprezentowanych stwierdza zupełną solidarność co do zadań potrzeb religijnych, których głównym punktem były dotychczasowe prośby 4 miljonów obywateli polskiego pochodzenia o uzyskanie biskupów, którzyby, znając dokładnie te potrzeby i położenie ludu, dali mu taką opiekę religijną, jaka mu się należy, jako obywatelom amerykańskim i jako Polakom z pochodzenia. Wychodztwo ponawia odnośną prośbę i gorące, słuszne życzenia, wyrażając najgłębsze przekonanie, że zacne, czcigodne duchowieństwo polskie, z którem wspólnie przy jego pracy i niespożytym trudzie wybudowano tu około 800 kościołów i szkół polskich, ma w sobie dostateczny zastęp wybitnych sił, któreby w pracy arcypasterskiej tutejszej hierarchji biskupiej skutecznie pomagać mogło.

Kongres nie widzi żadnej racji, dla którejby wobec zasady równouprawnienia sprostać mieli tak wielkiemu zadaniu wyłącznie biskupi-sufragani. Wychodztwo więc prosi i obstaje przy niezbędnym dla religijnego swego życia postulacie, abyśmy przy sprawiedliwem poparciu w hierarchji tutejszej uzyskali nominacje arcybiskupów i biskupów regularnych polskiego pochodzenia.

Kongres uchwala utworzyć fundusz odpowiedni pod kontrolą Centrali i powołać Komisję z pięciu praktykujących katolików, któraby w porozumieniu z zarządem Centrali i innemi czynnikami katolickemi Wychodztwa podjęła odpowiednie kroki. Tej Komisji Kongres szczególniejszy wkłada obowiązek podjęcia wszystkich możliwych kroków, aby przez sprawiedliwą interpretację odnośnych przepisów nowego prawa kanonicznego co do wprowadzenia podziału parafji terytorjalnego, umożliwić tworzenie nowych parafij dla obywateli polskiego pochodzenia, uważając tę rzecz jako zasadniczą sprawę utrzymania wiary ojców i jako pierwszorzędny, nieodzowny i kardynalny warunek wszystkich Amerykanów polskiego pochodzenia w Stanach Zjednoczonych.

UTWORZENIE NOWEJ CENTRALI WYCHODZTWA.

Głównym punktem obrad Kongresu było, oczywiście, utworzenie nowej Centrali Wychodztwa, gdyż Wydział Narodowy, co z uznaniem podniesiono, spełnił zadanie Konstytucją swą zakreślone, a nowe zadania wymagały nowego ich skreślenia.

Kongres uchwalił utworzyć taką nową Centralę i dał jej nazwę: „P o l s k a R a d a O p i e k i S p o ł e c z n e j"—Polish American Welfare Council".

Program streścił najlepiej w mowie swojej pierwszy prezes tej Rady, mecenas Siwiński z Baltimore.

W stosunku do Polski: zwalczanie antypolskiej propagandy w Ameryce, aby nie było tu fałszywych i oszczerczych o Polsce informacyj. „Jest naszym obowiązkiem czuwać, aby szlachetne dzieło, do którego w wielkiej mierze przyczynił się genjusz całego narodu amerykańskiego i jego przewodnika nieśmiertelnego Wilsona, nie było wniwecz obrócone. Jeżeli chcemy mieć siłę moralną, to przedewszystkiem musimy stworzyć to, cośmy dotąd zaniedbali, a w czem nas uprzedzili inni, musimy stworzyć jedną silną organizację, którаby rozpoczęła pracę w tym kierunku, wyrobiła większe dla nas znaczenie.

„Mamy wiele pięknych czynów za sobą, złożyliśmy już liczne dowody lojalności dla tego kraju, a jeżeli dodamy do tego, że już w charakterze naszym leżą cnoty, któremi i każdy dobry Amerykanin powinien się odznaczać, to przyjdziemy do zrozumienia, że w niczem dobrem Amerykanom nie ustępujemy.

„Statystyki wykazują, że my tworzymy 4 procent narodu amerykańskiego, a około 9 procent daliśmy zabitych i rannych, więc jeżeli lojalność można mierzyć statystycznie, to jesteśmy przeszło 200 procent lojalni.

„Musimy raz położyć koniec nagonkom na nasz język czy to w pismach, czy w szkołach parafjalnych i zamanifestować stanowczo i silnie, że cnoty dobrego obywatela nie polegają na wyzbyciu się języka i zerwaniu kontaktu duchowego z Ojczyzną ojców, lecz na jego charakterze, jego ideałach i na jego lojalności. Wyzbądźmy się naszej skromności raz na zawsze. Zadokumentujmy, że ideały tego kraju są naszemi ideałami. Że amerykanizm z Washingtonu chętnie przyjmowaliśmy i przyjmujemy, ale fałszywego amerykanizmu, czy to z Dublina, Berlina lub K. K. K. townu nie chcemy".

Oto dlaczego potrzebną jest nowa Centrala, jak ją pojmował Paderewski. Musi ona być oparta na poważnym funduszu zakładowym.

Kongres postanawia utworzyć narazie fundusz jednego miljona dolarów. Natychmiast zapoczątkowana składka przyniosła 25.000 dol.

Dla osiągnięcia swego celu, którym w stosunku do Ameryki jest współpraca z amerykańskiem społeczeństwem nad wyrobieniem zdrowego obywatelstwa z utrzymaniem wszystkich dodatnich cech narodowych polskich i łączności z Polską — powstaje „Rada Opieki Społecznej", która ma mieć oddziały we wszystkich środowiskach polskich w Ameryce i gromadzi fundusz w drodze składek i opodatkowania się dobrowolnego wszystkich zdrowo myślących obywateli i nieobywateli amerykańskich polskiego pochodzenia, w Stanach Zjednoczonych zamieszkujących. Narazie utworzono oddziałów 17-cie.

W skład poszczególnych dzielnicowych czyli lokalnych oddziałów Polskiej Rady Opieki Społecznej w Ameryce wchodzą prezesi wszystkich lokalnych organizacyj i towarzystw polskich w danej osadzie łącznie z miejscowem polskiem duchowieństwem i miejscową zawodowo-polską inteligencją a także z przedstawicielstwem, o ile możności całem niezorganizowanej i luźno zamieszkałej w tejże osadzie ludności polskiej.

Dla zdobycia funduszów i wprowadzenia w czyn żądań postulatów Polskiej Rady Opieki Spoełcznej w Ameryce przyjęta będzie zasada, by każdy zarobkujący Polak czy Polka w Ameryce opodatkował się i opłacał na rzecz Polskiej Rady Opieki Społecznej w Ameryce co najmniej jednego dolara rocznie.

Zbieraniem podatku narodowego zajmują się oddziały wszystkich lokali Polskiej Rady Opieki Społecznej w Ameryce w sposób do warunków miejscowych najbardziej odpowiedni i praktyczny.

Przechowywaniem wszelkich funduszów Polskiej Rady Opieki Społecznej w Ameryce zajmować się będą kasjerzy specjalnie na to obrani, czy to w oddziałach, czy to w okręgach, czy to w Centrali pozostający pod kaucją, — a rozporządzenia temi funduszami odbywać się będą tylko za ogólną i zaprotokółowaną zawsze uchwałą danego Oddziału, Okręgu lub też Centrali.

Organizacja ma być dokonaną w ciągu sześciu miesięcy, poczem natsąpi wybór stałego zarządu. Siedziba będzie w mieście Detroit.

Do przeprowadzenia organizacji nowej Centrali i jako jej Zarząd powołano przez olbrzymią większość głosów następujących, powszechnie cenionych obywateli:

Na prezesa Polskiej Rady Opieki Społecznej w Ameryce — mecenasa Wł. Siwińskiego z Baltimore Md., oficera orderu Odrodzenia.

Na wiceprezesa d-ra Rudolfa Sadowskiego, wybitnego lekarza w Detroit, kawalera orderu Odrodzenia.

Na kasjera: Jana Lesińskiego, bardzo zasłużonego prezesa Komitetu Obywatelskiego w Detroit, kawalera orderu Odrodzenia.

Na sekretarza: adwokata d-ra Leona Hojnackiego z Milwaukee Wis.

Do Komitetu spraw społecznych i religijnych: Zygmunta Stefanowicza, dotychczasowego sekr. gen. Wydz. Nar., jako przewodnizcącego, prezeskę Związku Polek Emilję Napieralską, jako sekretarkę i kasjerkę, a pp. Smykowskiego, Siwińskiego i ks. komandora Ludwika Grudzińskiego jako członków.

REZOLUCJE KONGRESU.

W powziętych przez Kongres rezolucjach czytamy:

„Obywatele Stanów Zjednoczonych polskiego pochodzenia oraz Polacy, czasowo tu mieszkający, zwracają się ku wszystkim mieszkańcom tego kraju, w którym znaleźli Wolność, pracę i poszanowanie wszystkich praw ludzkich, z uczuciem najlojalniejszej przyjaźni i serdecznego braterstwa i składają hołd wdzięczności swojej głębokiej Rządowi Stanów Zjednoczonych w osobie Czcigodnego Prezydenta Coolidgea.

„Stojąc niezłomnie przy wierze praojców, ufając bezwzględnie w najlepszą wolę i najszlachetniejsze zamiary Ojca Świętego i w oczekiwaniu wymiaru sprawiedliwości, który, uwzględniając w zupełności słuszne prawa nasze, niewątpliwie rychło nastąpi, Wychodztwo Polskie w Ameryce w Tym Świętym Roku składa Jego Świątobliwości Papieżowi Piusowi XI hołd czci najgłębszej, przywiązania i miłości.

„Co do stanowiska, zajętego obecnie przez rządy pewnych państw, niezupełnie nam przychylne, Wychodztwo Amerykańskie w całym jego składzie żywi głęboką i niezachwianą ufność w sprawiedliwość i moralną potęgę Stanów Zjednoczonych i poczucie honoru Amerykańskiego Narodu.

„Polacy zawdzięczają Zjednoczenie, Niepodległość i Wolność swej Ojczyzny Ameryce przedewszystkiem, i to nie jednemu stronnictwu, ale szlachetnemu genjuszowi całego Amerykańskiego Narodu.

„Pierwszym, który podniósł za Polską głos w imieniu Ameyki, był Prezydent Stanów Zjednoczonych ś. p. Woodrow Wilson — pierwszy, a tak skuteczny ratunek dla wyczerpanego klęską głodową Narodu Polskiego przyszedł z tej szlachetnej krainy, — tu powstała armja polska, dzięki której Naród Polski zdobył miejsce na konferencji pokojowej, — pierwsze uznanie prawowitego rządu polskiego przyszło również z Ameryki. — To też Polacy wierzą bezwzględnie i niewzruszenie, że Stany Zjednoczone nie pozwolą nigdy, ażeby dzieło, z ich wielkodusznego popędu powstałe, zostało zniweczone, lub choćby spaczone. Do ponownego morderstwa na ledwie wskrzeszonem ciele Polski, Ameryka nie może przyłożyć ręki".

Taki był przebieg Kongresu Wychodztwa, o którym amerykańskie pisma napisały, że powagą i godnością w ujęciu doniosłych zadań sprawił głębokie wrażenie i dobrze wróży o dalszych pracach obywateli polskich w Ameryce.

KRONIKA

AMERYKAŃSKO-POLSKIEJ IZBY HANDLOWO-PRZEMYSŁOWEJ W POLSCE ORAZ TOWARZYSTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO.

1. „Memorial Day".

Dnia 30-go maja 1925 r. o godz. 10-tej rano w Katedrze Św. Jana w Warszawie odbyło się uroczyste nabożeństwo za dusze poległych żołnierzy amerykańskich, urządzone z okazji uroczystego święta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej p. n. „Memorial Day", przez Towarzystwo Polsko-Amerykańskie.

Nabożeństwo było celebrowane przez J. E. ks. biskupa Galla z udziałem asysty duchowieństwa, oraz orkiestr wojskowych.

W rzęsiście oświetlonej świątyni, przy katafalku okrytym gwiaździstym sztandarem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz godłem Rzeczypospolitej Polskiej, otoczonym przez wojskową wartę honorową, zgromadzili się przedstawiciele Rządu, przedstawicielstw zagranicznych, wojskowości, instytucyj społecznych i komunalnych oraz prasy. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej reprezentował generalny adjutant p. generał Marjusz Zaruski; między obecnymi zauważyliśmy: p. marszałka senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego; p. wice-marszałka Sejmu Osieckiego; p. Williamsona S. Howwella, I-go sekretarza poselstwa amerykańskiego, reprezentanta p. ministra pełnomocnego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej p. A. J. Pearsona; zastępcę p. ministra spraw wojskowych generała Osińskiego, p. ministra handlu i przemysłu Czesława Klarnera; p. generała Frosson; p. barona de Vaux; zastępcę ministra pełnomocnego i ambasadora Francji p. A. de Panafieu; p. wice-ministra sprawiedliwości Siennickiego; p. ministra pełnomocnego i dyrektora protokółu dyplomatycznego p. Stefana hr. Przeździeckiego; charge d'affaires poselstwa polskiego w Norwegji p. Michała Kwapiszewskiego; p. konsula generalnego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej Theodore'a Jaeckela; p. komisarza rządu Jarmułowicza; zastępcę komisarza rządu Moldenhawera; prezydenta m. stoł. Warszawy p. Jabłońskiego; p. generała Konarzewskiego, szefa D. O. K. Nr. 1; p. generała Kukiela; p. generała Pajewskiego; p. generała Zymirskiego; bardzo liczny zastęp naczelnych sfer wojskowych i amerykańskiej kolonji w Warszawie, oraz wielu innych, których, z powodu braku miejsca, wymienić nie jesteśmy w stanie.

Na nabożeństwie obecni byli in corpore członkowie Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce, z prezesem Leopoldem Kotnowskim na czele.

Podniosłe nabożeństwo uświetniło i zadokumentowało uczucia serdecznej przyjaźni, łączące Polskę ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej.

„Memorial Day" odbił się szerokiem echem w prasie warszawskiej, która pomieściła cały szereg artykułów i wzmianek. Na wyróżnienie zasługują artykuły: w „Kurjerze Warszawskim" z dn. 28-go maja (p. S. L. Centkiewicza) w „Polsce Zbrojnej", oraz w „Rzeczypospolitej". W dniu tym również odbyło się we Lwowie uroczyste odsłonięcie pomnika na grobowcu trzech lotników amerykańskich eskadry im. Kościuszki, poległych w obronie niepodległości Polski w latach 1918—20.

2. Staraniem komisji towarzyskiej Tow. Polsko-Amerykańskiego odbyło się ostatnie przed wakacjami zebranie, które zgromadziło bardzo liczne grono osób z pośród członków Tow., oraz gości wprowadzonych obu narodowości. Wieczór urozmaicił piantsta p. Przemysław Drzewiecki bardzo ładnem wykonaniem utworów Chopina i Liszta, czem zjednał sobie ogólne uznanie.

Zebranie zaszczycili swoją obecnością pp.: dr. Alfred Pearson, minister pełnomocny i Theodor Jaeckel, konsul jeneralny z małżonką, powitani przy wejściu przez prezydjum Tow. in corpore z wiceprezesem p. Leopoldem Kotnowskim na czele.

Program wieczoru w ożywionym nastroju i miłej atmosferze przeciągnął się poza północ.

Komisja towarzyska, do której należą: pp. ord. Helena Bispingowa, Wanda Troetzerowa, Wacławowa Brunowa, Maurice Pate, P. Verdon, Stefan Szumański, Ryszard Chełmicki, Aleksander Leszczyński, Bronisław Barylski i Feliks Kowalewski, spełni'a miłe zadanie w dziele zbliżenia pol-
Kowalewski, spełnia miłe zadanie w dziele zbliżenia polczył komisji p. Stefan Szumański.

3. Jako delegatów do Komitetu Głównego Przyjęcia Wycieczki Sokołów Polskich z Ameryki, wyznaczono pp. prezesa Leopolda Kotnowskiego i wice-prezesa Stanisława Arcta z Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce, oraz pp. Kazimierza Lubomirskiego, prezesa Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, Aleksandra Leszczyńskiego, Ryszarda Chełmickiego z Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego.

4. Projektowane przez Towarzystwo Polsko-Amerykańskie wybudowanie placów tennisowych, niespodziewanie, wobec cofnięcia w ostatniej chwili przyrzeczeń ze strony Komitetu Odbudowy Pałacu Staszica, nie zostanie zrealizowane. Uprzednio pobrane pożyczki od członków T. P. A. na budowę placu tenisowego zostaną zwrócone.

5. Prezes L. Kotnowski odbył w dn. 3 czerwca b. m. konferencję z p. ministrem Grabowskim, naczelnikiem Wydziału Prasy i Propagandy M. S. Z. w sprawie udziału Polski w Wielkiej Międzynarodowej Wystawie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, urządzanej z okazji 150-ej rocznicy ogłoszenia niepodległości Stanów. W wystawie tej główne miejsce, obok Ameryki, mają zająć Francja i Polska, które wspólnie walczyły o uzyskanie niepodległości Stanów.

6. Przyjęto do wiadomości zrzeczenie się p. A. Barber'a z godności członka Rady Am.-Po. Izby Handl.-Przemysłowej w Polsce.

P. Paul Klopstock listem swoim z dn. 30 maja b. r. zawiadomił o zrzeczeniu się godności członka Rady Izby oraz członka wspierającego.

7. W poczet członków Izby przyjęto p. Antoniego Ligęzę-Stamirowskiego.

8. P. Minister Spraw Zagranicznych Aleksander Skrzyński wyjeżdża wraz z p. Michałem Kwapiszewskim do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w celu wygłoszenia tam szeregu odczytów o Polsce.

9. Przyjechała do Warszawy p. Eleonora E. Ledbetter, przedstawicielka Amerykańskich Bibljotek Publicznych, w celu zakupu większej ilości książek.

10. Reprezentantem warszawskim firmy „E. C. Atkins i Co., Inc. manufacturers of saws, saw-tools, machine knives et metal cutting machines"—zosał Albert Victor Frank, Nowy Świat 34.

11. T-wo Pol.-Am., wespół z innemi organizacjami rządowemi i komunalnemi przygotowuje uroczyste święto ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w dniu 4 lipca b. r.

12. Dnia 10-go b. m. o godz. 9 min. 20 przybył do Warszawy p. Dillon w towarzystwie pp. I. A. Logan i W. W. Fiske. Na dworcu witali przybyłych gości przedstawiciele Min. Skarbu pp. Adamski i Kirkor, sekretarz premjera,

p. Angerman i członkowie Poselstwa Amerykańskiego. Przybyli Amerykanie złożyli wizytę p. Prezesowi Rady Grabskiemu, poczem byli w Min. Spraw Zagranicznych oraz w Min. Przemysłu i Handlu, gdzie ich serdecznie witano. O godz. 1 min. 30 p. Minister Przemysłu i Handlu Klarner podejmował gości amerykańskich śniadaniem.

O godz. 8 min. 30 wiecz. w pałacu Prezydjum Rady Ministrów odbył się obiad, urządzony przez p. Premjera Ministrów, na którym Amerykańsko-Polską Izbę Handlowo-Przemysłową w Polsce reprezentował p. prezes Leopold Kotnowski.

13. W poczet członków Izby przyjęto firmy: „Ulen et Co" i „Warszawska S-ka Akc. Budowy Parowozów".

14. W poczet członków Towarzystwa przyjęto: p. A. W. Dubois i p. Tadeusza Skarzyńskiego.

15. Bawiący w Warszawie profesorowie F. J. Schoell i William Caldwell przyjmowani byli przez Prezesa Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, Kazimierza ks. Lubomirskiego w jego apartamentach prywatnych w dn. 18-go czerwca b. r. Wytworny raut zgromadził przedstawicieli Rządu, sfer naukowych, dyplomatycznych i t. d. Ożywione uprzejmością serdeczną gospodarzy, zebranie przeciągnęło się do późnej godziny.

16. Uformowano Komitet Wykonawczy obchodu święta ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki w dn. 4-go lipca, w skład którego weszli pp.: Kazimierz ks. Lubomirski, Leopold Kotnowski, Wacław Brun, Stefan Szumański, Ord. Bispingowa, Wacław Kremky, Emil Waydel, Stanisław Lipczyński, prezes Wankowicz.

17. Amerykańsko-Polska Izba wystosowała listy do Rady Opieki Społecznej Wychodztwa Polskiego w Ameryce, oraz najwybitniejszych osób wśród kolonji amerykańskiej w celu zasięgnięcia opinji, dotyczącej organizacji udziału Polski we Wszechświatowej Wystawie w Filadelfji w roku 1926, organizowanej z powodu święta 150-lecia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki.

18. Na mający się odbyć w Warszawie Kongres Unji Międzynarodowej Stowarzyszeń Ligi Narodów przybędą niżej wymienieni delegaci Stanów Zjednoczonych: MM. dr. Henry Atkinson, miss Dorothy Adams, dr. William H. Buckler, dr. Stephen Duggan, Edward W. Frost, Manly C. Hudson, miss Mary Kelsey, Theodor Marburg.

ZAGRANICZNE PAPIERY PROCENTOWE NA RYNKU AMERYKAŃSKIM ORAZ SYTUACJA OGÓLNA.

Papiery procentowe. W ciągu kwietnia ceny akcji powróciły zasadniczo do normy po marcowej zniżce. Co do przemysłu, to średnia zwyżka wynosiła tylko połowę zniżki, której uległy w marcu. Średni powrót do normy akcyj kolejowych jest stosunkowo niewielki, a to częściowo dzięki słabej tendencji akcyj niektórych kolei zachodnich.

Na rynku obligacyj zaznaczyła się mocniejsza tendencja cen, a średnia cen obligacyj pierwszorzędnych towarzystw (korporacyj) osiągnęła blisko wysoki poziom z 1922 r.

Obligacje państwowe (Stanów Zjednoczonych) osiągnęły również wysokie ceny na cały rok, lecz zato obligacje zagraniczne, z wyjątkiem wypuszczonych przez Anglję, były naogół słabsze, aniżeli w poprzednich miesiącach.

W wielkiej sumie papierów procentowych, wypuszczonych w kwietniu, zaznaczyło się zaofiarowanie najlepszych akcyj na sumę $ 85.000.000 i obligacyj na sumę $ 75.000.000 zakładów samochodowych p. f. Dodge. Finansowanie kolei było również ciężkie; wypuszczono natomiast wielką rozmaitość papierów innych typów, włączając w to $ 64.240.000 pożyczek zagranicznych, wśród których największą stanowiły Japońskie obligacje użyteczności publicznej na sumę $ 14.000.000, $ 8.000.0— pożyczki miasta Oslo, oraz bony skarbowe prowincji Ontarjo za $ 20.000.000. W pierwszym kwartale tego roku sprzedano tu pożyczek zagranicznych na sumę $ 295.000.000, czyli trochę więcej, aniżeli w tymże kwartale roku zeszłego. W roku minionym pożyczki te wypuszczane były przez państwa lub poszczególne miasta, a w tym roku przeważnie przez towarzystwa prywatne.

Włochy. Powiadają tu, że pożyczka w sumie $ 100.000.000 wypłacona będzie wkrótce Włochom przez bank J. P. Morgana et Co.

Tyrol. Syndykat z F. I. Lisman et Co. na czele zaofiarował 7½%, gwarantowane pierwszą hipoteką, amortyzowane obligacje złote firmy Tyrol Hydro-Electric Power Co. na sumę $ 3.000.000.

Miasto Oslo: firma Kuhn, Loeb et Co. sprzedała 6% amortyzowane funduszami zewnętrznemi obligacje złote miasta Oslo na sumę $ 8.000.000 po kursie 99½.

Kopenhaga: The Guaranty Co. zakupiło za $ 2.000.000 obligacyj długoterminowych firmy — City of Copenhagen Telephone Co. Obligacje te są 6%, a zaofiarowane były po kursie 99¾.

SPRAWY MIĘDZYNARODOWE.

Ujmując kwestję z praktycznego punktu widzenia, byłoby prawie niemożliwem zaofiarowywać obecnie publiczności w New-Yorku papiery procentowe Europy wschodniej.

Banki inwestycyjne nie są nastrojone nieprzyjaźnie, lecz podejrzliwie względem rozwoju wypadków w Niemczech, i trzeba będzie pewnego czasu na to, aby publiczność inwestująca swe pieniądze oraz pośrednicy przekonali się czem jest właściwie wybór Hindenburga, którego mowa inauguracyjna i polityka będą miały wielki wpływ na tutejszy rynek finansowy, chociaż naogół sądzi się tutaj, iż uzna on plan Dawes'a i że będzie kontynuował program ekonomiczny, trwający od paru miesięcy.

Najszersza opinja publiczna uważa tutaj, że Niemcy powracają do militaryzmu i monarchji, a wybór Hindenburga dokładnie uwidacznia uczucia i postawę narodu niemieckiego, i to jest właśnie przyczyną obecnego wzdragania się banków z lokowaniem pieniędzy w papierach europejskich.

Powrót Anglików do złota. Wiadomość, że Anglja powraca do waluty złotej, powitaną tu była entuzjastycznie przez czynniki skarbowe oraz ekonomistów kraju. Powrót do złota w Anglji jest, zdaniem ich, jednym z największych, od ostatniej wojny, posunięć na drodze ku osiągnięciu równowagi ogólnej umysłowej świata.

Wśród wysokich czynników oficjalnych przeważa opinja, iż są bardzo małe szanse ku temu, aby zaofiarowany w Ameryce kredyt w wysokości $ 300.000.000 dla zabezpieczenia kursu funta mógł być zużytkowany. Kredyt ten otwarty jest w Banku Federalnym na $ 200.000.000 i u J. P. Morgan'a na $ 100.000.000.

Sądzą oni, iż psychologja odegrałaby znowu znaczną rolę, gdyż przy zapewnionym kredycie chwilowy spadek funta, którego należałoby oczekiwać wówczas, wyda się nieznacznym, ponieważ czynniki oficjalne, kierujące usiłowaniami, będą wiedziały, że fundusze są zapewnione do poprawienia każdej sytuacji.

Rynek akcyj ocknął się z przygnębienia, w które wpadł w ostatni poniedziałek wobec wiadomości, że Hindenburg zdobył fotel prezydjalny i wpadł w nagłą wesołość. Zupełnie podobnie zachowywały się rynki obligacyj rządów zagranicznych i rynek walutowy, a wszystkie inne rynki mniejszego znaczenia poszły ich śladem. Stan rynku akcyjnego uwidocznił się w cenach końcowych, które wykazały przewagę zysków nad stratami. Stosunek był jak 8 do 1. Z pośród obligacyj zagranicznych obie klasy obligacyj konwersyjnych rządu angielskiego osiągnęły nową zwyżkę, a co do walut obcych, to korony norweskie i duńskie wykazały również zwyżkę.

Bankierzy amerykańscy określili obecny stan interesów, jako „good business". Powstanie kredytu dało w wyniku nie tylko powrót do parytetu złota w całej Anglji, lecz również i to, że wielka nadwyżka pieniędzy w Ameryce, których ona narazie nie potrzebuje, będzie mogła być użytą korzystnie.

C. HANDEL I PRZEMYSŁ.

Handel zagraniczny. Wwóz i wywóz towarów wzrosły znacznie w ciągu marca. Eksport wynosił $ 452.000.000, i jeżeli nie weźmiemy pod uwagę wielkiego wywozu zboża i bawełny, które miały miejsce w październiku i listopadzie roku zeszłego, to będzie to największy wywóz w czasie od stycznia 1921 r. Import był o 20% większy, aniżeli w marcu roku zeszłego i wyniósł $ 385.000.000.

W Stanach Zjednoczonych znajduje się 64% wszystkich telefonów świata. Na całej kuli ziemskiej jest w użyciu dziś około 25.000.000 telefonów, a z tej liczby 16.116.550 przypada na Stany Zjednoczone. Na każde sto osób ludności przypada aparatów telefonicznych:

w Stanach Zjednoczonych	13
Kanadzie	11
Anglji (w 1922 r.)	2,1
Francji	1,3
Finlandji	2,1
Danji	8,2
Nowej Zelandji	7,6

Z 60.000.000 mil. ang. drutów telefonicznych, istniejących obecnie na świecie, 40.000.000 przypada na Amerykę Północną.

Produkcja węgla. „The Railroad Age" stwierdza, iż zapas węgla na d. 1 kwietnia jest o 24.000.000 tonn mniejszy, aniżeli w d. 1 kwietnia 1924 r. Produkcja węgla bitumicznego zaczęła od początku tego roku spadać, a rynek węglowy charakteryzuje w dalszym ciągu słabe zapotrzebowanie i niskie ceny. Strajk górników w Virginji Zachodniej nie wpłynął w stopniu oczekiwanym na ogólną ilość węgla wyprodukowanego w tym rejonie.

Sytuacja rolna. Amerykańskie Biuro Ekonomji Rolnej stwierdza skłonność kraju do powiększenia w 1925 r. powierzchni zasiewów, co powinno powodować większe zbiory, aniżeli w 1924 r., jeżeli oczywiście skłonność ta zostanie zrealizowaną i jeżeli pogoda dopisze. Stosunek procentowy zamierzonej powierzchni zasiewów w r. 1925 do powierzchni zbiorów, dokonanych w 1924 r., przedstawia się dla niektórych płodów rolnych w sposób następujący:

Rodzaj zbiorów:	Procent:
Pszenica stanów południowych	113,9
Pszenica 4 stanów północnych	112
Siemię lniane	96,7
Kukurydza	102,3
Owies	105,6
Jęczmień	123
Siano plantacyjne	100
Ziemniaki Irlandzkie	96
Ziemniaki słodkie	129,5
Tytuń	109,5
Orzeszki ziemne (peanuts)	104,5
Ryż	111,0

Przemysł jedwabny. W roku bieżącym wyprodukuje się w Stanach Zjednoczonych blisko 50.000.000 funtów jedwabiu sztucznego. W roku 1924 konsumcja tego jedwabiu wyniosła 40.000.000 funtów.

Lotnictwo. Henryk Ford zaangażował się wraz ze swym synem, Edselem, do interesów awjacyjnych. Podtrzymują oni finansowo firmy: Stout Metal Airplane Co. i Aircraft Development Corp., z których pierwsza wytwarza samoloty zrobione całkowicie z metalu, a druga—balony sterowe do celów handlowych, kryte metalem.

Mapa Stanów Zjednoczonych kosztem 50 miljonów dolarów. Czterystu topografów rządowych udało się w tym miesiącu w pole, celem spełnienia swej dorocznej pracy przy wykonaniu mapy St. Zjednoczonych, której kosztorys wynosi 50 miljonów dolarów. Mapę tę rozpoczęto już przed 45-ciu laty i ostatni kongres zdecydował, aby wykonanie jej odbywało się w szybszem tempie i zostało zakończone w ciągu 20 najbliższych lat. Rada Inżynierów Amerykańskich reprezentująca 28 towarzystw inżynierskich, powiadamia nas dzisiaj, iż ta największa z wykonanych dotychczas panoram kartograficznych kraju, będzie tak szczegółową iż wzięty będzie pod uwagę każdy akr ziemi, a nawet każde zabudowanie farmerskie będzie oznaczone. Dopiero trzecia część pracy została wykonaną. Mapa ta, nazwana „Atlasem Topograficznym St. Zjednoczonych", mieści się na pojedyńczym „arkuszu", który mógłby pokryć cały akr ziemi. Arkusz ten podzielony jest, oczywiście, dla dogodności na 6.000 części. Mapa ta, oświadcza Rada inżynierów, po ukończeniu, pozwoli zaoszczędzić miljony dolarów, wydawanych obecnie na roboty eksploatacyjne przy rozplanowywaniu miast, szacowaniu gruntów, konserwowaniu dróg bitych i budowie dróg żelaznych, budowach wodociągowych i wogóle przy wykonaniu robót publicznych.

OFERTY I ZAPYTANIA

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

355/25 Firma nowojorska pragnie oddać przedstawicielstwo na sprzedaż 2-tonnowych samochodów ciężarowych.

771/25 Firma kalifornijska wyraziła życzenie importowania papieru gazetowego z Polski.

270/25 Firma nowojorska chce importować z Polski fasolę.

455/25 Fabryka aparatów i przyborów rentgenowskich odda przedstawicielstwo solidnej polskiej firmie handlowej w tej branży.

551/25 Firma w Filadelfji życzyłaby sobie wejść w stosunki z polskiemi eksporterami szmat, płótna workowego i odpadków bawełnianych.

352/25 Firma w Oregon poszukuje odbiorców na świeże i suszone owoce.

Następujące zapytania zostały nam nadesłane przez Konsulat Amerykański w Warszawie. Zgłoszenia należy adresować do naszej Izby lub do Konsulatu.

Są to dowody żywego zainteresowania się firm amerykańskich naszym rynkiem.

101/k Pragnie eksportować radjo aparaty.
102/k Pragnie eksportować amerykański słód.
103/k Pragnie eksportować kawę.
104/k Pragnie eksportować mleko kondensowane.
105/k Firma pragnie eksportować mrożoną rybę.
106/k Firma chciałaby eksportować ciężkie chemikalja.
107/k Firma chce eksportować pompy.
108/k Firma pragnie eksportować kompresory powietrzne.
109/k Pragnie eksportować piłki do metali.
110/k Firma pragnie eksportować elewatory, połączone z sortownikami.
111/k Firma chciałaby eksportować wszelkiego rodzaju wagi.
112/k Firma chce eksportować maszyny rolnicze.
113/k Firma chce eksportować automobile ciężarowe.
114/k Firma chce eksportować skóry.
115/k Firma chce eksportować aparaty radjo.
116/k Pragnie eksportować aparaty radjo.
117/k Firma pragnie eksportować instrumenty weterynaryjne, chirurgiczne i dentystyczne, jak również meble szpitalne.
118/k Firma pragnie eksportować wszelkiego rodzaju wagi.
119/k Firma pragnie eksportować fonografy.
120/k Firma poszukuje przedstawiciela na farby i materjały budowlane.
121/k Firma pragnie eksportować meble biurowe i szkolne.
122/k Firma pragnie eksportować pakunki termo-izolacyjne i dla przygłuszania dźwięków.
123/k Firma pragnie eksportować tytoń i papierosy.
124/k Pragnie eksportować używane worki jutowe.

AMERYKANIZACJA EUROPY

W roku 1914 zadłużenie Stanów Zjednoczonych wobec Europy wynosiło 4 miljardy dolarów. Obecnie zmieniły się role: Ameryka w okresie ostatnich dziesięciu lat cały swój dług spłaciła i ponadto udzieliła Europie i innym częściom świata pożyczek na sumę zgórą 22 miljardy dolarów. Są to już liczby bez mała astronomiczne. Stany Zjednoczone nazwano „Złotym kontynentem".

Przed wojną porty amerykańskie codziennie wchłaniały kilka tysięcy Europejczyków, nasycających gospodarkę amerykańską siłą roboczą. Do Europy zaś przyjeżdżali nieliczni tylko bogacze amerykańscy. Dziś fale emigracyjne ucichły, natomiast hotele europejskie przepełnione są obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Kilkanaście lat temu prasa europejska zbyt wysoko się ceniła, by pisać o rzeczach amerykańskich. W poczuciu swej wyższości kulturalnej traktowała Amerykę narówni z innemi krajami egzotycznemi—Chinami, Indjami, Afryką. Dziś cała prasa europejska: angielska, francuska, niemiecka, włoska etc. jest nietylko przepełniona tematami amerykańskiemi, ale forma, styl i duch amerykanizmu opanowują ją coraz więcej.

Z jednej strony sir Sidney Low w pracy swej przewiduje całkowite opanowanie Anglji przez Amerykę zarówno w materjalnem, jak i kulturalnem znaczeniu. Z drugiej strony nawet Rosja Sowiecka organizuje cały swój przemysł i gospodarkę narodową na wzorach amerykańskich, a „ideałem dziennikarza sowieckiego—mówią — powinien być publicysta amerykański."

Londyn, ongi giełda pieniężna świata całego, już dawno ustąpił miejsca Nowemu Jorkowi. Paryż w dziedzinie mód i kabaretyzmu pasuje przed Ameryką. Potężny kiedyś rozwój nauk ścisłych, psychologji i filozofji niemieckiej wydaje się już karłem zdegenerowanym wobec ogromu prac uniwersyteckich w Ameryce. Egipt, Ateny, Rzym mają obecnie więcej badaczy amerykańskich, aniżeli europejskich. Gdy Europa cała w drgawkach epileptycznych szuka rozwiązania swych problemów politycznych na drogach nowej demokracji, Ameryka buduje gmach swej cywilizacji na zasadach racjonalnego demokratyzmu, jak na niewzruszonym granicie.

Wobec wszystkich tych faktów mimowoli zwraca się myśl nasza do owych „cyklów kulturalnych" Oswalda Spenglera i w hegemonji Stanów Zjednoczonych każe widzieć kolebkę nowego cyklu kultury amerykańskiej i jednocześnie trumnę dla kultury „świata zachodniego."

Pomimo jednak tych horoskopów pogrzebowych nie widzimy powodu do smutku i trwogi. Raczej naodwrót: świadoma myśl nasza, postrzegając jutrzenkę nowych form współżycia ludzkiego, tem snadniej czerpać może z doświadczeń tych twórców nowej potęgi świata i, opierając się na nich, nie trumnę szykować dla siebie, lecz kolebkę dla narodu i nowego Państwa naszego.

Amerykanizacja Europy to nie zanik jej, to odrodzenie Świata Starego. Im prędzej i doskonalej zrozumiemy taki stan rzeczy, tem łatwiej wnikniemy w orbitę prądów kultury nowożytnej, wybierając z plew wszelakiego rodzaju ziarna co lepsze i zdrowsze.

TREŚĆ NUMERU SZÓSTEGO

Okładkę wykonał artysta-malarz
Nowina-Przybylski.

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna	zł. 27.—	Roczna	dol. 6.00
Półroczna	„ 14.—	Półroczna	„ 3.20
Kwartalna	„ 7.50	Kwartalna . . .	„ 1.70
Numer pojedyńczy	„ 2.50	Numer pojedyńczy	„ 0.60

Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT, Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl.-Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, CZERNIAKOWSKA 225.

Czasem i umarli się bronią

Autor „Monsalwatu“ i „Ku czemu Polska szła“ zebrał z literatur całego świata i prześlicznie opracował szereg klechd najciekawszych. Oto ich tytuły:

Podzwonne, Czarci klasztor, Mątwa, Pomsta, Próba, Spór z władcą piekielnym, Poszukiwacz wieczności, Bramin małpą, Sagan, Dwie Terenie, Dom bez dzieci, Bajka o dwóch brzoskwiniach, Jak bajka, Czasem i umarli się bronią, Siwe włosy, Trędowata, Chojny kutwa, Księżniczka i włóczęga, Waza chińska, Także przyjaciele.

Poniżej przytaczamy jedną z nich, bardzo charakterystyczną pod tytułem: „Czasem i umarli się bronią“.

Bywają ludzie, zajmujący się z zamiłowaniem obrabowywaniem umarłych z ich dobrej sławy. Ku ich przestrodze przypomnijmy tu sobie, co się przydarzyło w Chinach obywatelowi Czu, zwykłej coprawda, „hienie grobów", to znaczy rabusiowi, trudniącemu się okradaniem zmarłych. Myszkował on z bandą swoją w okolicy Honkongu, i kiedy noc dobrze ciemna pozwalała na to, przełaził mury cmentarne i rozkopywał groby. Czasem można się było na takiej wyprawie obłowić; najczęściej jednak trafiano tylko na kości. Zawód okazał się nie tak intratny, jakby się jednak tego po nim spodziewać należało, — zaczem obywatel Czu wpadł na pomysł, bardzo modny i u nas od pewnego czasu, ale w Chinach bardzo starodawny: urządził w ścisłem kółku swoich towarzyszy seans spirytystyczny, aby się od duchów samych dowiedzieć o bogatszych grobach w tej prowincji.

I duch wzywany zjawił się. Był to duch góry, na której rozpościerał się cmentarz, ostatnio przez bandę zbezczeszczony. Duch ten zagroził rabusiom, że potracą swe szacowne głowy, jeżeli natychmiast nie zarzucą swego haniebnego rzemiosła.

Przerażeni rozbiegli się. Ale po roku, gdy praca ciężka nie przypadła im do smaku, zeszli się znów. Aby wypróbować wyrocznię, urządzili seans nowy, liczyli tym razem na wspólnika pośród zmarłych. I duch jakiś przybył istotnie na to ich wezwanie, służąc chętnie wiadomościami, jakich wyczekiwali. Nad jeziorem wschodniem — wypukał im — stoi pagoda, poniżej pagody znajdziecie cysternę. Na wschód od niej leży grób bogacza, a w nim tysiąc srebrników...

Wesoło wyruszyła cała banda we wskazanym kierunku, z motykami na ramieniu — i w nocy rozpoczęła koło pagody swoje poszukiwania. Nie szło to łatwo, bo rzeczona cysterna była zasypana kamieniami. Wkońcu jednak znaleźli ją i z pośpiechem wzięli się do kopania. Na jakie cztery stopy w głębi ziemi natrafili motykami na wierzch kamiennego sarkofagu. Odrzucili ziemię dokoła niego. Sarkofag był rozmiarów olbrzymich. Zabrali się w pięciu do ruszenia płyty, aby wsunąć w szparę drąg żelazny i podważyć a potem zrzucić całe wieko. Ale straszliwy ciężar kamienny oparł się wszelkim ich wysiłkom.

Brać jeszcze kogoś do pomocy było niebezpiecznie, tem bardziej, że trzebaby tu zawezwać nie jednego. Zasypali sarkofag z powrotem, i rano udali się do znajomego im bonzy w pobliskim klasztorze, który umiał zaklęciami słownemi podnosić w powietrze kamienie i sztaby żelazne. Oczywiście, musieli mu wyznać o co chodzi i przyrzekli podzielić się łupem.

Bonza zamrugał oczami i zgodził się. Na drugą noc wybrali się wszyscy razem, szybko odrzucili ziemię, bonza usiadł, podwinął nogi pod siebie i rozpoczął monotonne wygłaszanie zaklęć, chwiejąc się zlekka z zamkniętemi oczyma. Nic nie przerywało ciszy rozwidniającego się brzasku dnia. Banda, siedząc w górze na brzegu dołu, śledziła z niepokojem przebieg sprawy.

Upłynęło z pół godziny. Nagle płyta sarkofagu poruszyła się, uniosła w górę z jednej strony. Z głębi sarkofagu wyszło ramię, długie, sczerniałe, schwyciło bonzę za kark, wciągnęło w głąb grobowca, poczem płyta ciężko opadła.

Banda pierzchła, gnana przerażeniem śmiertelnem. Kiedy się zebrała znów, ochłonąwszy, władze zagarnęły ją na skargę klasztoru, który wiedział o tem, że Czu wywołał bonzę i wyszedł z nim razem.

Czu, posądzony o zamordowanie bonzy, powiesił się w więzieniu.

---

*) *Artur Górski.* KLECHDY. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Cena Zł. 6.— 96



Polska Żegluga Morska

Kilkakrotnie od czasu wskrzeszenia Państwa Polskiego czynione były próby utworzenia własnej polskiej floty handlowej. Społeczeństwo nasze widziało w niej nie tylko instrument własnej polityki handlowej, nie tylko lokatę kapitału, ale i zbliżenie się z polską i anglosaską ludnością Stanów Zjednoczonych. Próby czynione były i w „starym kraju" i w „nowym". Jednym i drugim stanęła na przeszkodzie zła konjunktura powojenna, wyrażająca się w okresie rozejmu w ogromnej drożyźnie tonażu, która niesłychanie szybko ustąpiła miejsce takiemu potanieniu, że amortyzacja kosztów nabycia okrętów stała się niemal niemożliwa. Dodać należy nadspodziewanie rychłe pojawienie się na wielkich szlakach oceanicznych handlowej floty niemieckiej, opartej o te same metody, środki i zasoby, które jej pozwoliły przed wojną z takiem powodzeniem torować drogę handlowi niemieckiemu. Prócz tych momentów ogólnoświatowych należy dodać do przyczyn niepowodzenia dotychczasowej na tem polu akcjii w Polsce fakt, że inicjatywa nie zawsze spoczywała w rękach powołanych.

Nowa próba podjęta została ostatnio w Warszawie, a inicjatywę objął Bank Gospodarstwa Krajowego z prezesem swym, dr. J. K. Steczkowskim na czele, powołując do życia Komitet założycieli Spółki Akcyjnej „Polska Żegluga Morska". Do Komitetu wchodzą najpoważniejsze instytucje bankowe, zrzeszenia kupieckie, przemysłowe i rolne, społeczne i prawno-publiczne (Izby), prezydja miast większych oraz krajowe firmy transportowe, zajmujące się żeglugą morską; wchodzą również członkowie Komitetu Przygotowawczego, mianowicie prezydjum Banku Gospodarstwa Krajowego, p. Klarner, dzisiejszy Minister Przemysłu i Handlu oraz pp. poseł Jan Załuska, Gabrjel Chrzanowski, dyrektor Departamentu Marynarki Handlowej Ministerstwa Przemysłu i Handlu i prezydjum Ligi Morskiej i Rzecznej.

Ten zespół, powierzenie gestji tymczasowej Bankowi Gospodarstwa Krajowego, oparcie zamierzonej Spółki o racjonalny statut akcyjny, wymagający efektywnej wpłaty całego kapitału akcyjnego, — pozwalają mieć nadzieję, że cel zostanie osiągnięty. Celem zaś jest utworzenie instytucji transportów morskich o formach czysto handlowych, ale o organizacji, świadomej naszych specjalnych potrzeb.

Statut spółki przewiduje w dwojaki sposób zabezpieczenie naszych narodowych interesów w „Polskiej Żegludze Morskiej", pragnącej objąć organizację transportów wodnych osobowych i ładunkowych:

Po pierwsze—przez skład akcjonarjuszy: z ogólnej sumy 240.000 akcyj, składających się na kapitał 6 miljonów złotych, musi 60% pozostawać w rękach obywateli polskich. Taki stosunek procentowy dotyczy, oczywiście, również dalszej projektowanej emisji 160.000 akcyj na 4 miljony złotych. Akcje, opiewające na 25 złotych, będą wszystkie imienne.

Po drugie — przez skład Rady Nadzorczej: dwie trzecie liczby jej członków, których może być 12—15, musi być narodowości polskiej. Żeby tak poważna inicjatywa nie zawiodła, trzeba powyższe formy gwarancyjne wypełnić drogą nabycia akcyj przez uświadomionych obywateli i wyboru do Rady Nadzorczej poważnych przedstawicieli wszystkich dzielnic, którzyby równocześnie reprezentowali najbardziej zainteresowane we własnej żegludze zawody. Posiadanie zaś głosu w sprawach „Polskiej Żeglugi Morskiej" jest nietrudne, gdyż akcje są tanie (po 25 zł.) i już 10 akcyj daje prawo do jednego głosu.

Rentowności przedsiębiorstwa po pewnym okresie organizacyjnym wolno się spodziewać, zważywszy, że nowa spółka powstaje pod egidą naczelnego państwowego banku i resortowego ministerstwa, które jej mogą udzielić transportów państwowych, stanowiących niewątpliwie gros naszych przewozów morskich.

Akcja założycielska prowadzona jest bez hałaśliwej reklamy. Mimo to wiadomość o zamierzonej spółce dojdzie do tych, którzy się nią mogą interesować. Chciałbym, żeby doszła za Ocean i obudziła tam stwierdzoną czynami sympatję, należną opartej na zdrowym programie działalności założycielskiej, której wynikiem ma być zbliżenie dwóch światów, będące również celem i programem „Ameryki-Polski".

Redakcja.

HUMOR AMERYKAŃSKI.

Ona: „Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego czarna krowa daje białe mleko, z którego się robi żółte masło?" — On: „Naturalnie, z tej samej przyczyny, z której czarne jagody są czerwone, kiedy są zielone."

„Do czego dojdą te nowoczesne dziewczęta", pyta z oburzeniem pani Dawnacka. — „Powoli, ale na pewno" — odpowiada mąż—„do takiego wieku, kiedy postawią to samo pytanie."

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, CZERNIAKOWSKA 225